



DZIEWCZYNA
z zapawkami

Anna

JANKO



*Wtedy dopiero warto brać się za pisanie, jeśli
mamy odwagę napisać to, czego nie mielibyśmy
odwagi powiedzieć w oczy.*

Emil Cioran

Anna Janko

Dziewczyna z zapalkami

Wyszłam za mąż jak na wolność, a już o czwartej nad ranem gonił mnie stukot moich własnych obcasów na pustej ciemnej ulicy. Jakieś pięć metrów przede mną, w mętym świetle latarni, szedł szybko prawie biegnąc ten obcy facet, który był moim mężem i co minutę wściekłym głosem rzucał za siebie: Prędeży! prędeży! prędeży!

Noc poślubna była krótka i bez znaczenia, ponieważ o 4.45 odchodził ekspres do Warszawy i trzeba było zdążyć na dworzec. Autobusy miejskie drzemały w zajezdni, a my, nowo poślubieni, niewyspani i pełni wzajemnych pretensji, pędziliśmy w ciemnościach przedświt, oblani potem, w ciężkich kozuchach (na wszelki wypadek, gdyby wróciła zima...), z torbami podróżnymi, które co chwila, z gwałtownym szarpnięciem, zjeżdżały z ramienia w dół.

Oczywiście, gdyby to ode mnie zależało, wstalibyśmy trzy kwadransy wcześniej. Ale co zależeć miało ode mnie, a co nie, tego jeszcze nie wiedziałam, tymczasem cały swój świat, wraz z czasem i przestrzenią, złożyłam w ręce Pawła, który jak dotąd robił wrażenie człowieka zorganizowanego i odpowiedzialnego.

Kiedy wpadliśmy do przedziału, poobracaliśmy się w wąskim przejściu upychając torby na półkach, zrzucając niewygodne, buchające żarem okrycia, kiedy wreszcie opadliśmy na siedzenia naprzeciwko siebie cali mokrzy i zziębnięci, spojrzałam na dużą świecąca twarz mego

dwudziestojednoletniego męża i jęknęłam w duszy: A więc to TEN? Jak ja go wytrzymam...!

On zaś rozjaśnił się i klepnąwszy mnie w udo, powiedział wesołym głosem: No to jedziemy, Hanuś!

Rozzochrani, bez tchu, zakochani, potworni. Są to słowa Wiktora Hugo, który ponoć pierwszej nocy posiadał swą żonę dziewięciokrotnie.

Z mojej podróży poślubnej pamiętam późne śniadania w wiejskim pensjonacie, do którego dotarliśmy autobusem z Warszawy.

Przedpołudniami Paw (zdrobnienie imienia Paweł) przygotowywał się do egzaminu z prawa jazdy. Ja siedziałam wsparta na wysokich poduchach i czytałam *Mdłości Sartrea*. Potem szliśmy na spacer brzegiem rzeki, pośród gnijących przedwiosennych badyli.

Płowa ścieżka pod butami, niebo szare, od czasu do czasu w gałęziach wysokich drzew błysk, jakby błękitnej chusteczki, wyszarpiętej przez wiatr spomiędzy chmur.

Atłasowa kołdra w wielkim łożu była chłodna, śliska i - różowa.

Musiałam (to oczywiste) być naga, więc było mi zimno. Wolałabym spać, spać całą noc, ale musiałam być przytomna, bo to przecież była nasza podróż poślubna! Przez siedem kolejnych wieczorów spędzonych w pensjonacie przedłużałam kolacje, aby skrócić noce. Skupiałam się na dokładnym żuciu chleba z szynką, następnie z żółtym serem, i wreszcie z dżemem, który rezerwowo podawano tym, którzy nie mogli się nasycić daniem głównym. Potem, już w pokoju, z ochotą grałam w „refleks” kulką ugniecioną ze srebrnego staniolu. Byłam w tym lepsza od Pawia, wybuchałam szczerym śmiechem za każdym razem, gdy jego łapa, wielka

jak pysk psa dużej rasy, zamykała się o ułamek sekundy za późno, a srebrna kulka z cichym cyknięciem spadała na parkiet.

Bywało, że bawiliśmy się tak nawet godzinę, jak dzieci.

Potem już - trudno... W czarnych oczach Pawia ukazywało się drugie dno, czarniejsze i gorętsze niż smoła topniejąca w upał. Było mi od tego nieswojo i słodko zarazem. Bo to przecież z mojego powodu, przeze mnie i dla mnie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie było... niedobrze. Za szybko, za mocno i jakby - niedokładnie. Po każdym kolejnym akcie moje ciało błyskawicznie stygło pod tą lodowatą kołdrą, a ja miałam wrażenie, że ono, umęczone i rozczarowane, w ogóle nie było potrzebne w tej bitwie, choć wiadomo, że bez niego nie mogłoby dojść do żadnego starcia.

Pamiętne pierwsze lato w Sopocie. Słodki i gęsty sierpień, moje osiemnaste urodziny. Oto właśnie przeprowadziliśmy się całą rodziną z Wrocławia nad morze. Czekala mnie tutaj matura, studia, a następnie cała reszta życia. Uwielbiam zaczynać wszystko od nowa, w nieznanym miejscu, z innymi ludźmi, od nowego roku, od poniedziałku, od jutra...

Chodzę po deptaku sopockim nazwanym imieniem Bohaterów Monte Cassino w upalny dzień i usiłuję skojarzyć tę barwną rzekę ludzi, rozprażony tłum sunący jednocześnie w dół i w górę, ku molo i z powrotem, trący o siebie przeciwbieżnie, lecz przyjemnie, słodko - usiłuję skojarzyć tę ulicę, tak nazwaną, z czerwonymi makami na Monte Cassino, co „zamiast rosy piły polską krew”.

Czy wtenczas we Włoszech też tak prażyło słońce i był upał, gdy tamci chłopcy, spoceni, biegli po trawie z metalowymi rozgrzаныmi narzędziami do zabijania w rękach? Czy ich podkoszulki pod mundurem

były mokre i wydzielały ostrą, podniecającą woń młodego potu i dojrzałej wojny? Czy pić im się chciało i któryś pomyślał o zimnej lemoniadzie z miodem? Albo o domowym sorbecie truskawkowym, który matka podawała w południe, na tarasie, zazwyczaj w niedzielę i to najchętniej wtedy, gdy przybywali z wizytą sąsiedzi? Czy któryś przypomniał sobie może, na ułamek sekundy, jak cudownie chłodne były wargi dziewczyny, gdy wróciła z lasu, przybiegła zgrzana, zdyszana, i przywarła do niego ciałem całym, twarzą, a wewnątrz jej ust było zimne i śliskie jak jedwabna chustka? Czy takie wspomnienie, tuż przed śmiercią, nie jest jak prezent od życia, które właśnie się żegna, w upale pogody, w płomieniach krwi pędzącej przez tętnice, w ogniu wojny, która wybucha zawsze z winy życia?

Szłam sobie, tak myśląc niezobowiązująco wobec historii, pojednana z tłumem, i zaglądałam przez szyby do rozmaitych sklepów, do jubilera, gdzie leżały prawdziwe korale, ręcznie szlifowane, zawsze o takich marzyłam, zaglądałam do nudnego Galluksu, a potem do komisu, gdzie na wystawie leżały nonszalancko rozrzucone austriackie bluzeczki w cieniowanych kolorach od bladego różu do bordo i od lila do granatu. Po niebie łążyły obłoczki, puszyste wilgotne twory bez żadnych wyraźnych powinności wobec nieba i ziemi...

I nagle wydało mi się, że pośród dziesiątków kolorowych, niemal zmiksowanych postaci, ujrzałam Kogoś. Wysoki, smukły, ciemno-włosy chłopak to się pojawiał, to znikał w ciżbie. Ruszyłam za nim szybciej, by go dogonić, a nawet wyprzedzić, i zobaczyć, kto to jest.

Jego poruszające się płynnie ramiona, chód lekki, a zarazem stanowczy, głowa o wydłużonym, oksycefalicznym kształcie, błękitny

podkoszulek - wszystko to zadziało jak znak dla mnie i miało siłę hipnotyczną...

Strumień mojego istnienia, jeszcze przed chwilą leniwy i rozlewny, sprężył się nagle i ruszył do przodu, ku młodemu mężczyźnie idącemu energicznie deptakiem nadmorskiego miasta. Czułam, że muszę zobaczyć jego twarz. Co od tego zależało? Obrót gwiazd?

Pokój na ziemi? O, jeszcze więcej. Tak przemożnego pragnienia, determinacji wręcz, nie czułam w sobie chyba nigdy wcześniej. Jakby tylko ten jeden człowiek mógł być odpowiedzią, wytchnieniem, rozwiązaniem. Odpowiedzią na jakie pytania? Wytchnieniem po jakich napięciach, niepokojach, trwogach? Rozwiązaniem jakich egzystencjalnych rachunków?

Tego wiedzieć nie mogłam, bo niewiele się wie, mając lat osiemnaście, chociaż przecież czuje się już wszystko, bo mniej więcej wtedy właśnie uzyskuje się dostęp do całej puli uczuć danych nam na życie. Ja miałam pewność, że czeka mnie niewiarygodnie ważne życie, pełne miłości i samotności, szczęścia i rozpacz. Wierzyłam, że aby osiągnąć pełnię, choć na krótko, muszę spotkać drugiego człowieka, dokładnie takiego samego jak ja, ale przeciwnej płci. Pomysł to oczywiście starożytny, ale w młodości ma się ów niezwykły talent odkrywania na nowo odwiecznych prawd.

„Odwróć się” - powtarzałam w myślach, idąc za chłopakiem w błękitnym podkoszulku. Zaklinałam go, patrząc intensywnie w je-go kark, opalony, okrągły. Te czary nieraz mi się udawały, ćwiczyłam je od dawna na przypadkowych ludziach. Należało mocno patrzeć i wypowiadać zaklęcie z uporem, ale zarazem tak, jakby nam na tym nie zależało,

bocznym torem świadomości. Byłam tuż za nim, gdy odwrócił się wreszcie i nasze oczy się spotkały.

Na ułamek sekundy zapanowała cisza absolutna i zamarł wszelki ruch na świecie.

W jego spojrzeniu ujrzałam lasy, które przejdę, góry, na które wejść, miasta, które zwiedzę, sny, które prześnię. Mój los w jednej chwili odbił się w lusterkach źrenic, w ciemnych oczach obcego człowieka, jakby był tam zakodowany.

Lecz zaraz tłum znowu ruszył, wybuchł hałas, ruszyła taśma z filmem o bieżącej rzeczywistości, chłopak odwrócił wzrok, a ja poczułam się tak, jakbym właśnie została okradziona z pieniędzy całego życia. Bunt! Żal! Ból! Okazja minęła. Nie zatrzymałam go. Moje oczy nie dały się przeczytać. Nie nawiązaliśmy łączności. Okazałam się dla niego nic nie znaczącym elementem krajobrazu. Nigdy go już nie zobaczę. Pozostanę niespełniona, porzucona w niedoistnieniu i nikt nigdy nie dowie się, kim naprawdę jestem.

Przeznaczenie dało znak - po czym rozsypało się w drobny mak!

Stałam przez chwilę w rwącym nurcie własnych emocji i w pracy, w dwie strony naraz, rzece turystów na ulicy Monte Cassino.

Błękitny podkoszulek ostatecznie utonął w tłumie.

Przedostałam się na lewo, pod kino Polonia. Potem dotarłam do delikatesów, gdzie kupiłam zimną, zaparowaną butelkę coca-coli, bo upał był doprawdy nie do zniesienia. I zaraz poczułam, jak od tej butelki trzymanej w ręce lodowacieją mi kości przedramienia, aż po łokieć, pod mięśniami, i jak to promieniuje aż do mózgu, przez który przeleciał mróz i błyskawicznie wychłodził przegrzane synapsy.

Jednocześnie zamarzło i utrwalilo się w mojej głowie - jak matryca, wzorzec, model - marzenie o Wysokim Brunecie z Wydłużoną Czaszką, i Oczami Czarnymi jak Antracyt.

Z Pawłem chodziłam do jednego liceum we Wrocławiu. Wtedy nic nas nie łączyło. Jednak jakiś czas po moim wyjeździe do Sopotu, zimą, zaczęliśmy pisywać do siebie listy. To w listach zaczęłam nazwać go Pawiem. Zazwyczaj ludziom nieobojętnym odkształcam imiona, by lepiej przylegały do mnie.

Imię jest krótką melodyjką, przywołującą jedną duszę do drugiej.

Powinna być szczególna i zaufana. Imię jest jak klucz, który ma dwa takie same końce i musi otwierać i mnie, i ciebie za jednym razem.

Pisałam więc: Cześć, Pawiu! Lecz on odzywał się konwencjonalnie: Miła Haneczko. Mdlilo mnie od tej „Haneczki”, bo zaprawdę, żadna ze mnie Haneczka, nawet Hania, a nie daj Boże Hanusia. Pozostawałam więc jakby bezimienna. Zresztą odczuwałam to stale, bo słowo, którym ochrzcili mnie rodzice, nie przemawiało do mnie nigdy, było puste w środku, jak futerał bez instrumentu. Nie było w nim mojej melodii. Byłam więc dla siebie samym tylko inicjałem, Ha-literą, po której nie następowała żadna mojość. Koniecznie potrzebowałam jakiegoś fonicznego kodu, by złapać się za tożsamość. Czekałam na wynalazek, który otworzy mnie dla mnie samej i dla kogoś drugiego.

Kiedy więc Paw za którymś razem rozpoczął swój list zawołaniem: Mój Haniele! - poczułam do niego prawdziwą sympatię i uznałam, że ma twórczy umysł, co dobrze rokuje na przyszłość. Niestety, owa przyszłość dość prędko zdegradowała mnie znów do poziomu Hani, a nawet Hańci...

Dlaczego Hańcia wyszła za mąż za Pawia? Prawdopodobnie dlatego, że wybrała się w drogę w poszukiwaniu swego imienia i - zabłądziła...

Ha. Opuszcza rodzinny dom. Wyjeżdża, daleko. Przeczuwa słodki smak niespodzianki, jaką szykuje dla niej los. Emocjonalnym wehikułem tej podróży jest niewątpliwie wykrzyknik: ach!

„Ach!” wypełnia całą Ha. „Ach!” jest lżejsze od powietrza i unosi Ha., tak że płynie ona przez dworzec kolejowy, zamiast normalnie iść. „Będę żyła” - myśli Ha. i ta myśl jest jak pieśń szczęścia. Górne C wibruje w jej gardle i brzuchu. „Będę żyła nareszcie własnym życiem!” O, brzuch jest bardzo potrzebny do szczęścia. Rozanielona twarz jest tylko zewnętrznym wyrazem błogostanu, mimicznym odwzorowaniem tego, co dzieje się w głębi duszy, a dusza na pewno wyrasta w głębi brzucha, mniej więcej dwa palce poniżej pępka. Starożytni Chińczycy nazywali to miejsce „hara”. „O tak, tam znajduje się fabryka tego, co jest mną. Tam się przedzie i rozwija jedwabna nić mojości, Ach! jak to będzie słodko być sobą” - myśli Ha., śpiewa Ha. i płynie peronem ku wagonowi numer 7 pociągu relacji Gdynia- -Wrocław przez Sopot, Gdańsk, Tczew, Malbork, Iławę i tak dalej. Za wagonem 7 jest jeszcze 8 i 9, spod 9 wybiegają dwie lśniące i twarde szyny, biegną wstecz i wreszcie wbijają się w tło, w krajobraz, który Ha. pozostawia za sobą.

„Ach, na południe, na południe od wszystkiego! - śpiewa w myślach Ha. - Wszystko dotąd ogłaszam przeszłością! Wyzwolona! Jadę na stworzenie świata! Od teraz będę miała prawdziwe życie!” Akcent pada na „prawdziwe”. W głowie Ha. trwa festiwal sentencji i ogólnych wniosków... A dwa palce pod pępkiem intensywnie i rozkosznie wytwarza się mojość Ha.

I płyną wstecz świetliste szyny. Nie, to się rozwija strumień światła, pas lśniącej materii, szeroki pas błyszczącego dżerseju „queen” w kolorze ecru, który pięć miesięcy temu Ha. i Paw kupowali razem na suknię ślubną. Bela materiału w rękach ekspedientki rytmicznie i nieco głucho uderzała o blat, a odbrzmiewały jej dźwięcznie szybki po lewej stronie, tam gdzie widniała w ladzie mała witryna z kra-watami męskimi w ukośne paski i kosteczki karo. Teraz to wszystko się wyświeśla jeszcze raz na ekranie pamięci i tak ładnie wygląda.

Pobrali się 29 marca. Po wspólnie spędzonym tygodniu poślubnym trzeba było się rozstać, by pozdawać ostatnie egzaminy i zamknąć rok akademicki. Jednak cały tydzień spędzili we dwoje w Oborach pod Warszawą. W oficynie pałacyku z nieczynną fontanną. Siedzieli w swym pokoju, albo leżeli, mało co wychodzili. Było zimno, często padało, wiosna wykluwała się z trudem, zima pękała opornie, ciekły rozpuszczone lody. Wiatr to przypadał do zrudziałych, poskręcanych jak zardzewiałe sprężyny traw, to nasłuchiwał pośród nieczynnych pni i pustych koron drzew, albo się ocierał o nabrzmiące, szare łona chmur, które po tej pieszczocie rodziły zimny deszcz pomieszany z gradem.

Ha. i Paw popatrywali w wysokie okna pałacowej oficyny, w której dostali pokój z wielkim małżeńskim łóżem na środku. Popatrywali, wciągali nosem wilgotne powietrze przeciskające się przez nieszczelne futryny, ale niosło ono wyłącznie zeszłoroczne informacje, mocno przestarzałe, zbutwiałe nawet, dla dwóch ludzkich istot świętujących swoje zjednoczenie w najmniejszym stopniu nieinteresujące.

Najczęściej więc pozostawali we wnętrzu. W łóżu z dwiema ogromnymi poduchami i śliską ciężką atlasową kołdrą. To było pierwsze,

próbne, gniazdo ich nowego istnienia. Istnienia we wspólnocie dwojga. Leżeli w łóżu i rozmawiali, opowiadali sobie swoje życie.

Matka Pawia urodziła go w późnym wieku i z dużymi trudnościami, w wyniku czego Paw do dziś ma blizny na głowie za uszami.

To ślady po kleszczach, którymi położnik wyciągał go na siłę z łona matki. Macica tej blisko czterdziestoletniej wtenczas kobiety kolejnymi skurczami przez całą noc i cały dzień zasysała płód z powrotem, zamiast wydać go na świat. Gdy słońce, zachodząc, zabarwiło już sprzęty porodówki na czerwono, lekarz chwycił się w końcu owych kleszczy, sporego narzędzia, i parę minut później wysapał: Chłopiec.

Chłopiec miał spłaszczony wielki nos, wydłużoną jak kabaczek czaszkę i krwawe wybroczyny na czole i potylicy. Na powitanie świata wydał z siebie tylko krótkie chrypięcie, po czym natychmiast został zabrany od matki w celu uzupełnienia tej części życia, która zdążyła ujść z małego ciała w drodze przez mękę.

Po tygodniu dopiero zwrócono noworodka zaborczej rodzicielce i odtąd już Paw miał się czuć jak mysz, na którą spadł beret, i przez następne dwadzieścia jeden lat poruszać się miał po świecie razem ze swoim więzieniem, nieświadomy, że ciemności, co go otaczają, zawdzięcza mrocznemu spojrzeniu matki, która ani na moment nie odrywa wzroku od swego jedyne go syna.

I tak to Ha. z Pawiem w O. całymi dniami siedzieli na wielkim małżeńskim łóżu, bo padało, bo wiało, i opowiadali sobie - jak to jest w zwyczaju zakochanych par - swoje dzieje. Ha. obejmowała wyrosnięte ciało Pawia, słuchała historii trudnych narodzin i surowego wychowania, i

z czułością całowała dwie małe bliźny (po owych kleszczach) za uszami młodego męża.

Jej sytuacja była inna. Urodziła się dwojgu studentom, którzy mieszkali w akademikach. Matka Ha., cudem uratowana z pacyfikacji wsi podczas wojny, dzieciństwo spędziła w sierocińcu, gdzie wpojono jej uczucie wdzięczności wobec Związku Radzieckiego i Stalina, który wygnał Niemców z ojczyzny i przywrócił ład. Ha. odziedziczyła owo poczucie wdzięczności wobec bratniego narodu. Z mlekiem matki wyszała także lęk i nienawiść w stosunku do Niemców, którzy pewnego czerwcowego świtu 1943 roku spalili i wymordowali całą wieś, pozostawiając na świecie garstkę oniemiałych z przerażenia dzieci.

Ha. miała głęboko zakorzeniony strach przed wojną: kilka razy do roku śniła straszne sny, w których uciekała przed Niemcami, przed bombardowaniem, przed torturami. Z czasem Niemcy „wynarodowili się” w jej wyobraźni i stali się mężczyznami w ogóle. Śniła więc, że jest ścigana, gwałcona, okrutnie okaleczana i porzucana gdzieś w lesie. Przebudzenie po tych koszmarach bywało czarniejsze od nocy, która je przyniosła. Nieważne, jaka była pogoda o poranku, ile światła sypało się z nieba, ile życia w niewiadomo ilu formach puszyło się na dziedzińcu świata; przebudzenie i tak przypominało ocknięcie się umarłego pod wiekiem trumny. Trumny zakopanej w ziemi. (Ziemi krążącej w opustoszałym kosmosie.)

Gdy Ha. miała dziesięć lat, przeczytała Dymy nad Birkenau Seweryny Szmaglewskiej. W domu nikt jej nigdy żadnych książek z ręki nie wyjmował, przyswajała więc, co się nawinęło. Dymy zostawiła ciocia Kropka, młodsza siostra matki, wyjeżdżając po świątecznej wizycie.

Kropka też przeżyła pacyfikację, ale nic nie pamięta, bo miała wtedy dopiero dwa lata. Nie pamięta, że jej mama, czyli babka małej Ha., wtenczas i na zawsze dwudziestosiedmioletnia, trzymała ją w ramionach, gdy Niemiec strzelał z wielkiego karabinu. Babka upadła prosto w zboże, a Kropka ocalała, wysypała się z jej rąk w miękką ziemię, gdy ręce babki się rozplotły i rozłożyły bezwładnie.

Nikt nie wie, czy Kropka płakała, czy zamarła w bezgłosie na polu, pośród zboża, bo trwał apokaliptyczny hałas, potężny huk pożaru przecinany suchymi seriami pocisków i dzikim krzykiem zabijających i zabijanych. Ona sama niczego nie pamiętała i tak jak mała Ha., urodzona paręnaście lat po wojnie, wszystkiego dowiadywała się z mądrych książek i opowieści rodziny. Mała Ha. często wyobrażała sobie maleńką Kropkę leżącą pośród sprężystych zbożowych witek, które purpurowiały pomiędzy dwiema łunami: ognia pożaru i ognia wschodzącego słońca.

Dymy to była trzecia „dorosła” książka w czytelniczym doświadczeniu Ha. po Mitach greckich i Encyklopedii zdrowia, które to fundamentalne dzieła czytywała w kółko zamiast broszurek z serii „Poczytaj mi mamo”. Do nimf, driad, centaurów, cyklopów, tytanów, harpii, oraz trądu, czyraków, słoniowacizny, zajęczych warg, kłykcin kończystych, wodniaków jądra, dołączyły wiotkie, słaniające się, wygłodzone, przerażone postacie z ogolonymi głowami, ubrane w pasiaste pizamy. To wszystko mieszkało stłoczone razem w jednej głowie, jasnowłosej, z grzywką i końskim ogonem. Po dwudniowej prawie nieprzerwanej lekturze Dymów nad Birkenau, co było jak trans, albo nawet paraliż, mała Ha. wyciągnęła z szafki swoją czerwoną piłkę w żółte gwiazdki i przez godzinę kozłowała, biegając w kółko po pokoju. Dopóki

sąsiadka z dołu nie zaczęła stukać kijem od szczotki w swój sufit. Wtedy mała Ha. ustawiła poduszkę pod ścianą, usiadła na podłodze i kołysała się, uderzając plecami rytmicznie w puchowe oparcie, tak jak to robiła w dzieciństwie, które jeszcze przecież nie całkiem minęło.

Matka Ha. cierpiała na depresje, związane najprawdopodobniej z traumą wojenną. I kiedy nie leżała na tapczanie w zamkniętym pokoju, to wszystkimi siłami starała się ochronić swoją psychikę przed możliwymi ciosami losu. Dlatego dorastająca Ha. wracała po lekcjach prosto do domu, zamiast szlajać się z innymi po ulicach, dlatego wieczory spędzała czytając książki, a nie „chodząc po chałupkach”, czy nie daj Boże pijąc wino na młodzieżowych prywatkach.

(Takie nieobecności byłyby dla matki źródłem niepokoju, mogłyby się skończyć rozstrojem nerwowym.) A już najgorszą rzeczą, jaka by się mogła przydarzyć młodej dziewczynie, oprócz picia wina i palenia papierosów, byłaby sprowokowana, zbyt wczesna dojrzałość seksualna. Ha. nie uczęszczała więc na żadne imprezy, koncerty, sylwestry, dyskoteki. Ponieważ jej matka pod nieobecność córki chodziłaby od drzwi do okna i z powrotem, nie śpiąc całą noc, wyobrażając sobie niechciane ciążę, gwałty, a nawet zabójstwa, o co przecież bardzo łatwo podczas młodzieżowych spotkań bez nadzoru dorosłych.

Ha. wyobrażała sobie matkę chodzącą całą noc od drzwi do okna i z powrotem, i natychmiast czuła, jak oplątuje ją ciężka metalowa sieć. Traciła swobodę ruchów i wszelki zapał do walki o wieczorne wyjścia.

Tak więc Ha. przeżywała okres dojrzewania raczej bez konfrontacji z rówieśnikami, w miarę spokojnie. Jej bunty pojawiały się jak przygruntowe siewki na wiosnę, były blade z pochylonymi łebkami, choć

przeżyły się w górę dzielnie i gdyby tylko były warunki, prawdopodobnie Ha. dość prędko dorosłaby do siebie samej, nie czując się tak bezimiennie. Jednak niepokój matki, jej bezsenność, depresja, ba, groźba schizofrenii, nawet szpitala psychiatrycznego, wisały nad młodością Ha. niby ciężki żyrandol na cienkiej żyłce.

Jedynym ekscesem, na który zdobyła się Ha. podczas tak decydującego dla reszty życia okresu pokwitania, była wycieczka pod szkołę, pod osłoną wieczoru i pod pretekstem spaceru z psem. Celem wyprawy był zabór mienia społecznego, a dokładnie metalowej tabliczki na patyku z napisem: „Nie deptać trawników”. Tabliczka znalazła się w panińskim pokoju Ha. Wyraz „trawników” zniknął zalepiony zielonym papierem, dzięki czemu pozostały tekst zyskał oczekiwaną wieloznaczność i był jak mantra dla wytłumionej psychiki Ha. Był także jej pierwszym konceptem literackim, po którym przyszły następne, jednak powstające już w sposób bardziej konwencjonalny, na biurku, w zeszycie.

Ha. często wpatrywała się w zieloną tablicę z napisem „NIE DEPTAĆ”, bo czuła wtedy przyrost ducha i nabierała odwagi. Chwilę potem wsuwała swój prywatny, sekretny zeszyt pod książkę na przykład do algebry i przytrzymując lewą ręką okładkę podręcznika w pionie, utrwałała na kartkach w kratkę dynamiczny wykres skrywanego buntu, wściekłości i żalu za bezpowrotnie traconą młodością.

W trakcie zapisywania ósmego już zeszytu miała miejsce przeprowadzka całej rodziny z Wrocławia do Sopotu, co przy okazji zaowocowało obfitą korespondencją z Pawiem, kolegą licealnym Ha. Paw chodził do klasy mat.-fiz., rok wyżej (bo rozpoczął naukę przedwcześnie), a w szkolnym przedstawieniu występował w jednej scenie z Ha. Tak się

poznali, na próbach teatru. Gdy Ha. opuściła Wrocław, Paw prawdopodobnie uświadomił sobie, że była fajną koleżanką, z którą warto utrzymywać dalsze kontakty. Między Sopotem i Wrocławiem poczęły więc krążyć listy z wypisanym czarnym druczkiem adresem wrocławskim (listy Ha. do Pawia) oraz podłużne koperty adresowane na Sopot płaskim rozciągliwym niebieskim pismem (listy Pawia do Ha.).

Po mniej więcej trzech latach korespondencji, po dziesiątkach telefonów międzymiastowych i po iluś spotkaniach, które trwały od jednego do kilku dni - uknuli małżeństwo z miłości (tak im się zdawało), wzięli ślub na przedwiośniu, odbyli podróż poślubną w granicach kraju rodzinnego, po czym wrócili na swoje uczelnie, by kuć do sesji, a po egzaminach połączyć się ostatecznie.

Właśnie przed chwilą Ha. pomknęła pociągiem pospiesznym relacji Gdynia-Wrocław przez Sopot, Gdańsk, Tczew, Malbork, Iławę i tak dalej, na spotkanie ze swoją niedoścignioną wciąż Wolnością...

Wolność Pawia miała pojawić się automatycznie wraz z przybyciem młodej żony... Ach!

Dlaczego odepchnęłam swoją historię tak daleko - na odległość trzeciej osoby liczby pojedynczej? Czy dlatego, że nie lubię niedookreślonej Ha., a Hanuś, żonka Pawia, też mi się nie podoba? Że wołałabym nie mieć z tamtą sobą nic wspólnego? „Nie mam z nią nic wspólnego” - to brzmi dobrze. „Ja tylko opowiadam” - czysta sprawa. Tymczasem „ona” wypełnia mi głowę gęstą narracją, do której usiłuję się zdystansować gramatycznie, jednak pod powierzchnią uporządkowanego paradygmatu tarzam się w chaosach i nie mogę się wyosobnić, skrytalizować.

Ona, czyli ja.

Albert Camus napisał gdzieś, że życie innych zawsze wydaje nam się ułożone i sensowne, a nasze własne przeciwnie - bezładne i nic nie warte. I że to złudzenie optyczne. No więc jeśli ja biorę dystans względem swego życia, próbując być „oną”, to może usiłuję zobaczyć siebie w jakimś porządku, a nawet próbuję dowartościować własne życie? O, być częścią wyrazistego, widzialnego świata Na Zewnątrz!

Marzenie, które swobodnie realizują pisarze w swych książkach...

Na moim biurku stoi lusterko. Gdy podnoszę głowę znad zeszytu w kratkę, spotykają się dwa spojrzenia: moje i „jej”. Przyglądamy się sobie badawczo, ale i z niedowierzaniem. Ona, czyli ja. Przysuwam twarz do srebrnej powierzchni i - mój wzrok wpada w bezdenne źrenice. Czyje??? Przez ułamek sekundy lecę w jakąś otchłań, która nie jest ani wewnątrz mnie, ani na zewnątrz. To bardzo przykre.

I niewytłumaczalne.

Kto tam jest w środku, kto jest we mnie tym kimś, który przeraża?

Był koniec lutego, kompletnie ciemno. Wracalam z zajęć na uczelni. Miałam dziewiętnaście lat, byłam na pierwszym roku polonistyki. Górny Sopot, osiedle w trakcie budowy, wokół las. Wiatr wył pośród pryzm betonowych płyt, rusztowań, żelastwa, ślizgał się jękliwie w żeliwnych rurach, od czasu do czasu porywając z dzikim gwizdem jakąś blaszaną płachtę, którą walił o plac. Panował nad tym księżyc w pełni, zarażając to miejsce swoją sinosrebrną chorobą. Kilka bloków już zamieszkanym świeciło dalekimi światłami, ale zbliżałam się do nich tak powoli, jakbym szła w miejscu, a przecież prawie biegłam gnana pierwotnym strachem.

Kiedy skręcałam w Malczewskiego, po lewej miałam już tylko czarny las.

W ciemności nie widać pojedynczych drzew, ale czuje się potężny magnetyzm lasu. Czuje się, jak ten olbrzym wstrzymuje swój ciężki oddech, jak ten oddech gęstnieje, zawiesza się coraz wyżej, by po chwili opaść szerokim poszumem gdzieś w głębi.

Życie zbiorowe drzew, we dnie oczywiste i przyjazne, nocą staje się obcym rytuałem. Las pije noc jakoś zwierzęco, strasznie, potężnie, jednocześnie jest boleśnie nadczuły, nadwrażliwy, zdaje się reagować na każdy najcichszy dźwięk, na trzask gałązki, dreszcz poszycia pełnego śpiących stworzeń, krzyknięcie przebudzonego ptaka. Jakby był przestraszony sam sobą, zdziwiony, że jest tym, czym jest, że ta niepojęta ilość istnień - od jednokomórkowych po wielozłożone, od pleśni i grzybów w ziemi przez szybko bijące serduszka jeży i ptaków, śpiące czujnie ciepłe ciała saren i zajęcy, po sosny i świerki, których czubki rysują chaotyczne wykresy w chmurach - że to wszystko jest właśnie nim, lasem.

Staralam się nie patrzeć w lewo, w stronę lasu. Pędziłam w górę drogi, miałam jeszcze ze sto metrów do domu - gdy nagle usłyszałam płacz niemowlęcia. Nie wierzyłam uszom, las milczał symfonicznie, raz po raz zaciągając się wiatrem, po prawej były tylko szopy robotników i składowisko materiałów budowlanych. A jednak właśnie tam jakieś dziecko to kwiliło żałośnie, to zanosilo się wściekłym płaczem, a chwilami wydawało się, że woła o pomoc.

Zrobiłam kilka kroków po nasypie w dół, ku stosom desek, piętrzącym się w sinym blasku księżyca, ale czym prędzej zawróciłam.

To absurdalne szukać po ciemku dziecka: samej, na budowie, pod lasem. Pobiegłam w kierunku zamieszkanego budynku. Zobaczyłam mężczyznę z wiadrem (zsypanie jeszcze nie działały). Akurat skręcał na dróżkę do śmietnika, gdy zawołałam za nim: „Proszę pana!”. Obejrzał się. „Proszę pana, na budowie jakieś dziecko płacze!” Człowiek z wiadrem przystanął i przyjrzał mi się uważnie. Prawdopodobnie jednak wyglądałam raczej na przestraszoną niż pomyloną, bo nie odchodził, postawił wiadro na ścieżce. „Słyszałam płacz niemowlęcia, tam na budowie, to niemożliwe, ale ja słyszałam, niech pan tam idzie!”. „Eeee, co też pani mówi... Na budowie? Dziecko? O tej porze?”

Mimo wątpliwości facet nie całkiem zdecydowanym krokiem, ale jednak ruszył w stronę budowy. Ja zostałam z żółtym wiadrem u stóp. Czekałam z dziesięć minut. Wrócił. Bez dziecka. Podeszedł do mnie blisko, bardzo blisko, i spojrzał mi głęboko w oczy. Pochylając się po wiadro, przesunął wzrokiem po moim ciele, od biustu do pępka. Podnosząc się, powiedział powoli, dzieląc wyrazy:

- Tam. Nie ma. Żadnego. Dziecka.

- Ale przecież ja słyszałam... - tu zamilkłam skonsternowana, bo on odwrócił się i jakoś tak bezradnie machnął ręką, jakby spisywał mnie na straty.

W domu natychmiast opowiedziałam o tym zdarzeniu. Ojciec popatrzył na mnie dziwnie.

- To koty - rzekł.

- Co koty? - spytałam.

- To koty marczą.

- To dziecko płakało!

- Nie, to koty tak krzyczą.
- Koty miauczą przecież...
- Zazwyczaj miauczą, ale czasami tak krzyczą.
- Ale dlaczego???

Miałam dziewiętnaście lat. I pół. Rok później wyszłam za mąż.

Z bardzo niewielkim bagażem wiedzy o życiu intymnym ssaków...

Po lutym przyszedł maj. Czas dla zakochanych, czyli wszelkich istot, które podlegają imperatywowi rozmnażania. Wracalam o dziewiątej wieczorem po zajęciach na uczelni. Było jeszcze jasno; po skarpie, która zazieleniła się już dziką trawą, biegało kilkoro dzieci, piszcząc i pokrzykując. Byłam odprężona i szłam sobie do domu dobrze znaną drogą. Las, pogodny, otwarty, przyjazny wędrował po mej lewej stronie, oczywiście w przeciwną stronę.

Na wysokości pierwszego bloku zrównał się ze mną jakiś młody mężczyzna. Zwolniłam, aby mógł mnie wyprzedzić. On jednak także zwolnił, szliśmy więc równolegle. Czułam, że przygląda mi się intensywnie. Spojrzałam w jego twarz. Miał zaciśnięte usta, a w zmrużonych oczach jakąś świetlistą mgłę, przez którą przenikała dziwna siła, skupiająca się dokładnie na mnie. Zadrzałam.

- Chodź tu - syknął i chwycił mnie za łokieć. Szarpnęłam ramię i wtedy spostrzegłam, że rozporek jego oliwkowych spodni jest rozpięty, a on sam drugą ręką ściska wystającą stamtąd fioletowoszarą wielką larwę. W jednej sekundzie cały świat stał się nierzeczywisty, jakby obrócił się we własny negatyw.

- Chodź - powtórzył zduszonym głosem, łapiąc za rękaw mojego prochowca, a ja odruchowo ścisnęłam zwilgotniałą dłońią pęk kluczy, który miałam w kieszeni.

Nic więcej nie zrobiłam.

Szliśmy w tym samym rytmie, szliśmy razem, jakby szczepieni jego żądzą; on trzymał materiał mojego płaszcza jedną ręką, a drugą pocierał łeb wielkiej sinej larwy, ja ścisnęłam klucze, jak narzędzie samoobrony, wyobrażając sobie w napięciu, że uderzam nimi w te zamglone ślepie.

Nie odwracałam wzroku; zahipnotyzowana patrzyłam, jak on to robi, bo jeszcze nigdy na żywo nie widziałam tej rzeczy. Naprawdę była wstrętna. A więc jest aż tak wstrętna! Straszna, ohydna, obrzydliwa. Wyłazi z oliwkowych spodni. Do tego to mętne, nieprzytomne spojrzenie, które - czułam - wciąż jest wlepione we mnie.

Szliśmy nie słysząc i nie widząc nikogo i niczego poza nami, jakby oddzieleni od reszty świata pociemniałą szybą. I nikt nas nie widział i nie słyszał. Nie mogłam zacząć uciekać. Bo gdy się boję, nie mogę zrobić niczego ponad to, co akurat robię. Szłam więc. Szliśmy. On t o robił, ja ścisnęłam klucze. Patrzyliśmy: on na mnie, ja na jego lewą dłoń, która pracowała w napięciu.

Nagle stracił rytm, przytrzymał mocniej rękaw mego płaszcza i zamarł. Zamarliśmy oboje. W tej samej chwili larwa wypluła z siebie ciężką ciecz. Raz i drugi. Zdziwiłam się, tak jakbym nie wiedziała, że coś takiego jest na świecie. Wiedziałam, ale dotąd nie widziałam.

Podniosłam wzrok powyżej oliwkowych spodni i ujrzałam, jak jego oczy odwracają się pod czołem. Wcisnęłam język w podniebienie i

napięłam brzuch, by powstrzymać odruch wymiotny. Wciąż trzymał mnie za ramię. Wciąż nie mogłam od niego odbiec.

Gdy znów na mnie popatrzył, był już całkiem inny. Miał szerokie szkliste spojrzenie kogoś, kto ma za sobą podróż, ale nie cały z niej powrócił. Puścił mój płaszcz. Przez ułamek sekundy jakby usiłował sobie mnie przypomnieć, po czym jednym ruchem ręki uporządkował okolice rozporka i zaciągnął zamek.

Odwrócił się i odszedł.

Słyszałam odgłos coraz szybszych kroków. Stałam na ulicy jeszcze chwilę, tyle, by rzeczy wróciły na swoje miejsce: drzewa na lewo, bloki i dziecięce głosy na prawo.

Wróciłam do domu. Na widok ojca poczułam nieprzyjemny dreszcz. On też był jednym z NICH. Omijałam go wzrokiem. Potem zadzwonił Paw, mój chłopak. Nie mogłam z nim rozmawiać. ON

TEŻ... On też był TYM.

Rok później wyszłam za niego za mąż.

Maczek to zdrobnienie czyjegoś imienia. Maczek nie wiedział, że tak go nazywałam w myślach. Udawaliśmy przyjaźń, ale to była skrywana miłość. Dzięki nie wyznanym nigdy uczuciom ta przyjaźń, napięta i ekscytująca, przetrwała wszystkie cztery pory roku, po czym on ożenił się z pewną półszaloną pielęgniarką (grudzień?), a ja wyszłam za Pawia (koniec marca).

Miał po jubilersku wykrojone małe przylegające uszy, szeroki kark i mocną szczękę - optymalny zestaw. Fakt, że na środku twarzy widniał płaski, wgnieciony czyjąś pięścią nos, nie stanowił dla mnie estetycznego

problemu. Uśmiechał się ładnie bardzo porządnymi równymi zębami, wargi miał delikatne, blade, a czasem lekko liliowe.

Widywaliśmy się codziennie na uniwersytecie. Nigdy się nie umawialiśmy i to była nasza jedyna, niepisana, umowa. Siadywałam zawsze w takich miejscach, żeby nietrudno było mnie znaleźć.

Wiedziałam, że zajrzy do księgarenki koło szatni, i do czytelni, i do baru, parokrotnie przemaszeruje przez hol. Patrzyłam, jak idzie. Nosił swetry na koszule i całkiem niezłe, jak na tamte czasy, buty. Buty mówią o człowieku więcej niż jakakolwiek inna część garderoby; to naziemna część głęboko ukrytych tajemnic, materialna manifestacja duszy. Lubiałam buty Maczka, czułam do nich zaufanie.

Spotykaliśmy się „przypadkiem” każdego dnia (ciąg przypadków to już przeznaczenie). Lubiliśmy ze sobą rozmawiać. O książkach, o wierszach, o ludziach, o naszym życiu. Był inteligentny, czasem złośliwy, często czuły. O Arystotelesie opowiadał, jakby to był taki pan, który mógłby mieć u nas wykłady, ale niestety się jąka... (bo się naprawdę jąkał, tak pisał Diogenes Laertios). Umysł miał Maczek jak żyletka, a do tego ten miękki, ciepły głos opiekuńczego wujaszka.

Dawało to piorunujący efekt konwersacyjny

Dotykaliśmy się, ale tak jakby tylko niechęć. Ramieniem, dłonią, kolanem. Jego ciało było ciepłe, jasne, wypełnione energią, która mi sprzyjała. Pragnęłam tych przygodnych zetknięć, przelotnych, elektryzujących muśnięć i otarć, gdy podawał mi płaszcz w szatni, gdy szperaliśmy w tej samej szufladzie katalogu w czytelni, lub gdy przepuszczał mnie w drzwiach, a ja mijałam jego twarz o milimetry, gotowa policzyć wszystkie jasne rzęsy u jego powiek.

Kiedyś stuknęliśmy się czołami, schylając się po coś jednocześnie, i wtedy nasze spojrzenia wsparły się o siebie tak mocno, że było już po wszystkich wyznaniach.

Maczek poczerwieniał i szepnął tylko:

- Ach, ty mieszczo...

Rozumieliśmy się w pół słowa - to było pociągające i straszne.

Przy tym byliśmy oboje uczuciowo powściągliwi i erotycznie nieśmiali, co sprawiało, że ja kochałam się w nim w poniedziałki, środy i piątki, on zaś we mnie we wtorki, czwartki i tak dalej.

Pewnej nudnej niedzieli, kiedy to siłą rzeczy żadne przypadkowe spotkanie nie mogło nam się przytrafić, bo nie było zajęć na uczelni, ujrzałam go nagle z okna swego pokoju, jak idzie chodnikiem, w ten charakterystyczny dla siebie sposób, ostro wbijając pięty w podłogę, z zadartą do góry brodą. Z wysokości dziesiątego piętra miał nie więcej niż centymetr, a przecież nie pomyliłabym go z nikim, nigdy, nigdy.

Otwarłam okno, ale - jakże miałabym go wołać, z tak wysoka?

Prędko więc zamknęłam okno i wybiegłam z mieszkania. Co on tu robi w niedzielę? Tak daleko od Gdańska? Przecież tu nic nie ma, tylko bloki. Przecież nikogo tu nie zna. Tylko mnie. A więc przyjechał tutaj dla mnie! Na pewno!

Winda!

Martwa.

Druga? Gdzieś jeździ, nie przystaje.

Zbiegam schodami. Dziesięć pięter.

Kto nie zbiegał schodami z dziesiątego piętra w miłosnym napięciu, ten nie wie, że to droga bez końca. Zakręt za zakrętem, dłoń piekąca od

ślizgania się po poręczy, dusza w kształcie rozpędzonej, rozjarzonej serpentyny...

To niemożliwe, dziesięć pięter, a jakby sto!

To niemożliwe, że... że jego już nie ma pod domem.

Pusta ulica. Zniknął w parę sekund, razem z tym swoim parasolem, którym się podpierał dla ozdoby, bo taką miał fantazję.

Ulica po dwakroć pusta, a pustka przemnożona przez wszystkie te schody, które dopiero co przebiegłam, wstrzymując oddech, nie myśląc, co robię, dlaczego tak biegnę, w kapciach, nie umalowana, nie mając pojęcia, co mu powiem, gdy wypadnę nagle z klatki schodowej prosto w jego objęcia.

- Widziałam cię wczoraj - stwierdziłam lapidarnie następnego ranka, gdy spotkaliśmy się, oczywiście przypadkiem, w uniwersyteckim holu.

- Byłem na spacerze - odparł z prostotą.

- Często chadzasz tamtędy?

- Zdarza się.

Tego samego dnia wieczorem, nie mogąc się rozstać, parokrotnie odprowadzaliśmy się nawzajem i rozprawialiśmy z wielkim przejęciem o indyjskich dżinistach, co to chodzą z miotełkami i oczyszczają przed sobą ścieżkę, by nie rozdeptać mrówki ni pajęczka, z wielkiej czci dla wszelkiego istnienia tak robią, i czy to ma sens moralny, albo jakikolwiek inny, czy może jest to już skrzywienie etyczne, choroba umysłowa i bezczelne uprawianie absurdu... Rozprawialiśmy tak i nagle umilkliśmy, przystając na chodniku, zupełnie jakby w jednej chwili przestało nas interesować to wszystko, o czym była mowa, jakby był to jedynie pozór,

dekoracja ze słów, skrywająca prawdziwą treść, która właśnie teraz koniecznie musi się ujawnić, wyrazić, bo nie sposób dłużej tego dusić.

- Bardzo cię potrzebuję, Haniu - odezwał się cicho Maczek, a ja zadrżałam, bo słowa te wydały mi się małe i kompletnie nagie, nie ubrane w koncept żaden, nie owinięte najmniejszą nawet ironijką...

On sam wydał mi się jakiś wątpy, bezbronny.

Popatrzyłam w jego bladoniebieskie oczy, pod latarnią całkiem czarne, i zawołałam w duszy: „Pocałuj mnie wreszcie, pocałuj, idioto!” Czułam, jak pustoszeje mi serce, jak coś się z niego wymyka, to coś, co zbyt długo tam czekało.

Następnie nie stało się nic więcej, tak jakby skończył się tekst naszej sztuki i nie było już do zagrania żadnej kwestii, a nawet ostatnie zdanie, które padło, należało do innego, nie naszego, dramatu.

W grudniu Maczek wyznał na ulicy Malczewskiego, pod lasem, odprowadzając mnie do domu, że „nie może dłużej czekać” i że „postanowił się ożenić”. Jak to „czekać”, pomyślałam, na co, przecież nie na mnie. I powiedziałam „dobrze”, jakby chodziło o moją zgodę na jego ślub z inną i jakby wszystko było od dawna oczywiste. Niedługo potem podarował mi swą ślubną fotografię, na której miał taką minę, jakby pierwszy raz w życiu wziął do ust oliwkę, nie wiedząc, czy to owoc, czy grzybek, i czy lepiej będzie połknąć to, czy wypluć...

Spotkałam go jeszcze tylko raz, następnego roku, na plaży, we wrześniu. Był z żoną, rozmawialiśmy o pogodzie, popatrując na siebie z zaciekawieniem, pierwszy raz niemal nadzy. Biała skóra Maczka, zaogniona na ramionach i na czole, nie należała do słońcolubnych. Mrugał jasnorzęsymi powiekami, stojąc u boku swej śniadej Gosi, konwersując ze

mną niezobowiązująco. W pewnej chwili ramiączko jej stanika odpięło się i z miseczki wypłynęła owalna pierś zakończona czekoladową pralinką. Nikt nie zwrócił na to uwagi, tylko ja pomyślałam, że może M. wcale nie jest nieszczęśliwy z taką ładną piersią i może wcale nie wraca myślą do mnie, kiedy już się odsuwają od siebie po miłości. I pomyślałam najbanalniej na świecie, jakie to niesprawiedliwe, że jest się z kimś blisko, tak blisko, że dotyka się jego myśli w głowie samym tylko spojrzeniem w oczy, że brzmienie głosu i słowa, które są z tego głosu zrobione, powtarza się sobie przed zaśnięciem, przytula się je, jakby to były jakieś foniczne laleczki... a potem Ziemia się obraca o parę stopni, wszystko znika, jak gdyby nigdy nic, jest już inna pogoda, mówi się co innego innym uszom...

Maczek zapina ramiączko stanika swej żony, mruży powieki, patrząc na morze, ona coś trajkocze, nagle pojawia się jeszcze, nie wiadomo skąd, moja siostra i wita się spontanicznie, a jakaś obca kobieta z sąsiedniego koca robi uwagę w górnym stylu: „Niechże pan uciszy ten swój fraucymer”.

Maczek pośród „fraucymeru”, ładna historia.

Jutro wracam do Wrocławia po zdanym poprawkowym egzaminie. Mam mdłości, jestem w drugim miesiącu ciąży, powiedziałam o tym Pawiowi przez telefon dzisiaj rano. On wrzeszczał, ja płakałam. Poszłam na plażę i spotkałam Maczka.

Uświadomiłam sobie teraz, jak bardzo byłam uzależniona od tamtej napiętej, nerwowej przyjaźni podszytej niespełnioną miłością, jak bardzo podniecał mnie erotyzm naszych rozmów, gdy słowa i zdania, czegokolwiek by dotyczyły, zapalały się od siebie, pojęte głęboko, aż po niuanse, po prenatalne intencje, których nie ma w gramatyce ani w

słowniku. I gdyby nie coś drobnego, jak kamyk w bucie, jakaś przeszkoda w mózgu, nawet nie w sercu, która powstrzymała nas tuż przed przekroczeniem magicznej linii, tuż przed pocałunkiem, całkowitą bliskością, nie tęskniłabym teraz i wiele lat potem za kimś, kto ma takie jasne ciało, tak chodzi, jakby był pewien każdego swego kroku, i takie ma rzęsy prawie białe...

- Jutro wyjeżdżam - powiedziałam tylko do niego, w chaosie hałasu plaży pełnej ludzi, ale on nie odpowiadał, patrzył na morze (patrzenie na morze usprawiedliwia i dowartościowuje wszelkie milczenie) i nie potrzebował ode mnie żadnych dodatkowych informacji, i nie obchodził go mój żal, który wyzierał z tych dwóch ubogich wyrazów „jutro wyjeżdżam”. Mój żal i tak przecież nie mógł dotyczyć nikogo i niczego konkretnego, i nie miał współgrać z żadnym większym finałem, wyrażał jedynie chwilowy nastrój tamtego wrześnieowego dnia, gdy lato nad Bałtykiem miało się ostatecznie ku końcowi.

Strumień Czasu. Czas biegnie zawsze w przeciwną stronę niż my. Gdybyśmy szli razem z czasem, nie mijałyby nas minuty, godziny, dni ani lata. Mielibyśmy je wszystkie przy sobie. I zdążalibyśmy z nimi do morza czasu.

Ale tak nie jest. Idziemy pod prąd dni, a więc im szybciej żyjemy, tym prędzej wszystko przemija, bo przecież dodają się dwie prędkości, nasza i czasu.

Może więc dobrze jest w strumieniu tym na chwilę znieruchomieć, zasłuchać się, zapatrzeć, zamyślić? Mieć na imię Teraz i uważnie, z przyszłości do przeszłości, przekładać marzenia do wspomnień. Uważnie. O, tak, zaoszczędzilibyśmy na czasie stojąc. Stojąc i pochylając się w jego

strumieniu, by podnieść z dna coś na pamiątkę, kamyk, muszlę. Sięgając leniwie. Powoli się prostując. Mrużąc oczy w słońcu. Bo kim jest człowiek, który pędzi wciąż naprzód, nie przyglądając się minutom swego życia, który nie wita i nie żegna godzin, jak kogoś bliskiego, nie ogląda się za wczorajszym dniem?

Nie ma swej historii.

Jest nikim, naprawdę nikim.

Jest postacią z nie napisanej powieści, w języku, którym nie mówi żaden lud na ziemi.

Jest snem i dzieckiem snów z epoki, gdy nie było jeszcze jawy i nieprzebranych jej bogactw, i tylko sny obcowały ze sobą, kazirodczo, pomnażając coraz uboższą pustkę.

Czar męskiej koszuli. Żar serca przenikający przez cieką materię. Przytulałam policzek do męskiej piersi obciążonej bawełną i czułam gorącą skórę i ciepło mięśni upragnionego ciała.

Ciała, w którym żyła upragniona dusza.

Kochałam go tylko cztery tygodnie, ale jak! Od euforii przez rozpacz, aż po dogłębne odczarowanie...

Obejmowaliśmy się na przystani we Fromborku, czekając na prom do Krynicy Morskiej. On był młody i doskonale wyrzeźbiony, a koszula była w niebieską kratkę. Spomiędzy guziczków wydobywał się zapach soli i cytryn, gorący, kusicielski.

Olo, miał na imię Olo, przyciskał mnie do siebie z pasją i w rozterce zarazem; oboje mieliśmy w tym czasie inne zobowiązania wobec innych partnerów.

A jednak coś nas pchało ku sobie z niepojętą siłą. To młoda krew, rzeka kipiącej krwi, a w niej geny pędzące ślepo ku morzu nieskończonej Reprodukcji...

- O Haniu, Haniu - szeptał Olo.

- ... - milczałam, bo nic nie mówić, czekać na rozwój wypadków, to był mój stan naturalny.

- Haniu, co my robimy... - szeptał Olo, nurzając usta w moich splątanych włosach, które blask słońca zamieniał w miedzianą mgłę.

Wsiedliśmy na prom i popłynęliśmy, ani na chwilę nie przestając się dotykać. Morska woda kipiała pod dziobem stateczku, sierpniowe niebo raziło nieskazitelnym błękitem, błękitnym jak pierwsze ubranko nowo narodzonego dziecka płci męskiej. A my wczepieni spojrzeniami, jakby źrenice miały jakieś haczyki, stale byliśmy jak pod prądem i nie mogliśmy się z siebie wyplątać.

Na plaży w Krynicy zbieraliśmy muszelki, ale tylko różowe... Różowe jest żeńskie.

Morze było wielkie, mocne, podniecająco bezkresne i obce.

Całowaliśmy się wciąż od nowa, nie mogąc się nasycić, bo - całowaliśmy się samymi tylko wargami! Mieliśmy przecież inne zobowiązania wobec innych partnerów... Były to pocałunki okrągłe jak krzyk, namiętne i wściekłe. Języki drżały głęboko i były strażnikami lojalności. Takimi pocałunkami można się na śmierć zagłodzić!

Bo przecież Olo miał inną. „Inna” była nauczycielką w technikum, w którym Olo dopiero co zdał maturę. Odbił ją koledze z klasy, więc jako zwycięzca powinien trwać przy tryumfie. O, Olo, gdybyś wiedział, że to były moje pierwsze w życiu pocałunki, może nie skąpiłbyś mi swego

języka! Ja miałam Pawia, ale wtedy jeszcze to był ktoś nieważny, projekt dopiero, obiecany, napisany na papierze listowym, nierzeczywisty, niesprawdzony... I jakże łatwy do wyrzucenia z papeterii mojego życia! Czy wiesz, że byłeś piękny?

Wiesz, że byłeś piękny... Powtarzałeś z dumą: „Nie ma na mnie ani grama tłuszczu! Samo mięso”. I koszula na twojej piersi napinała się, a guziczki sterczały, jakby miały zaraz wyprysnąć i odsłonić nagi mięsień serca, króla organizmu, tego, co rządzi i ciałem, i duszą.

Była w tobie siła. I był plan. Ten plan mi się nie podobał. Ale siła zagarniała mnie i pragnęłam być w jej władzy, choć przez chwilę, troszkę nieprzytomna.

Miesiąc wcześniej, w lipcu, dostaliśmy się na studia. Stałam przed komisją egzaminacyjną w białej bluzeczce z koronkowym kołnierzykiem i wyrecytowałam wiersz:

Do krwi rozdrapię życie
Do szczętu je wyżyję
Zębami w dni się wpiję
Wychłęptam je żarłocznie
I zacznę święte wycie
Rozbyczę się rozjuszę
Wycharknę z siebie duszę
Ten pęcherz pełen strachu
I będę ryczał wolny
Tarzając się w piachu!

To był Tuwim i witalizm poetów Skamandra. O ten witalizm pytał mnie profesor B. i adiunkt N. i doktor C-a. Grzeczna panienska, „miła

buzia" i takie słowa zna na pamięć... Czy odgadli, że byłam dziewicą, wtenczas jeszcze nawet nie całowaną dziewicą? Że marzyłam, by mnie Coś wystrzeliło w kosmos, zgwałciło, zmarnowało i zamordowało, gdzieś daleko od domu? Pragnęłam nade wszystko wolności, rozwiąłości i szaleństwa...

Niewinne pytanie na egzaminie z literatury? Ale przecież poezja, która miała być odpowiedzią, nie była niewinna! Ktokolwiek dopuszcza niewinność poezji, jest sentymentalnym naiwniakiem. Trzewia duszy nie są czyste, grzeczne, niewinne. W nich się trawi świat - cały, jak leci. Brudy, gwałty, mordy, wymieszane z polami tulipanów i stawami całymi w liliach, grązelach i nenufarach. Zęby krokodyla zaciśnięte na krwawiącej zdobyczy i spojrzenie dwulatka, który się zgubił w wielkim sklepie. Róża i nóż. Szubienica z wisielcem i za-mglony krajobraz zza pleców Giocondy, której absolutny uśmiech wyraża słodycz niewtajemniczenia w nic. I roztrzęsione dłonie prawiczka, młodocianego anioła, nareszcie dotykającego Monstrancji.

I tępa złość, gdy odkrywamy, że reszta świata to tylko płatanina dekoracji, w które trzeba walić wszelkim narzędziem i które trzeba palić żywym ogniem. By móc słyszeć, jak wyje ten świat z bólu, bo mu się ten ból sprawiedliwie należy. Tym się żywi poezja.

Pod podszewką poezji zawsze tkwi ból.

Nieśmiały i namiętny Julek Tuwim, z myszką na policzku wielką jak prawdziwa mysz i z czarną plamą na sercu - ożeniony z pierwszą głupią miłością, z powodu kompleksów, nigdy się nie spotkał z żeńskim odpowiednikiem swej duszy. Był jak ogrodnik hodujący marchew zamiast lilii. Nomen omen, jego żona nazywała się Marchew.

Palnęłam na egzaminie, że Tuwim miał szansę stać się polskim Apollinaireem, ale ożenił się z nieodpowiednią kobietą i był jej niestety wierny. Śmiali się. I powiedzieli, że to nie tak, że nie całkiem był wierny. Myślałam, że mnie obleją, ale jednak - przyjęli mnie na te studia.

I pojechałam (na pierwsze całowanie) do pegeeru we Fromborku, w ramach studenckich praktyk robotniczych. Tamże, w proletariackim biednym hotelu, Olo obsypał moje żelazne łóżko płatkami róż, jak, nie przymierzając, Rudolf Valentino atłasowe posłanie Poli Negri w jej hollywoodzkiej willi...

Miałam akurat urodziny, dziewiętnaste, ale nic mnie to nie obchodziło, bo wszyscy, i ja także, byli wykończeni po ciężkiej robocie.

Tego dnia nasza grupa ładowała na przyczepy pięćdziesięciokilogramowe worki z pszenicą.

Siedziałam w łóżku z książką, gdy Olo wniósł do sali (w której pięć innych dziewczyn siedziało w łózkach z książkami...) bukiet róż.

Były to róże przekwitające już, osypujące się. Nie jakieś tryumfalne kwiaty-symbole (Olo pod osłoną nocy zrobił szybką rundę po fromborskich ogródkach, ciął co popadło), spadł więc na mnie deszcz płatków.

Na mnie, na bury koc w kopercie, na podłogę.

Żeńska widownia zamarła.

A ja chciałam i płakać, i śmiać się, i zapaść się pod ziemię.

Olo pochylił się i mocno mnie pocałował, przeszywając z bliska spojrzeniem ostrych źrenic, które jakby wystawały ze srebrnych tęczęwek. I natychmiast zniknął bez słowa, porzucając mnie w tej scenie z niemego

filmu, pośród kwiecica, w rozkosznym wstydzie, z pieczęcią po kłującym swym zaroście, którym na moment przylgnął do mej twarzy...

Przeżyłam dzięki niemu jeszcze jedno wtajemniczenie. W potężnej fromborskiej katedrze. Poszłam tam któregoś dnia z jego powodu, stęskniona i rozzalona, bo Olo po odwiedzinach u swej nauczycielki, z którą miał się ostatecznie rozmówić, wrócił obcy, nieprzystępny, obiad zjadł przy innym stoliku, a po obiedzie nie umówił się ze mną na spacer. Na pewno poszli do łóżka, myślałam, o tak, z tamtą mógł wszystko! Doświadczona, a nawet już z dzieckiem! A ja kimże jestem? Ledwie początkująca w zawodzie kobiety... Bo dla facetów tylko to jest ważne! Seks! A dla mnie, cóż, seks jest rzeczą tak odległą jak siódmy pierścień Saturna. Nie mogę, nie umiem przejść od wyobraźni do faktu. Nawet gdy całuję się z tymi jego pustymi ustami, to czuję, jakby to jakaś druga ja się całowała! Moje jest pragnienie, mój Pałacy żar, alarm i pogotowie, ale nie moje jest moje ciało i słodycz na dnie brzucha, i napięcie w piersiach, nawet mgła w oczach nie zasłania mi świata, bo widzę zanadto wyraźnie wszystko, co się z nami dzieje i nie potrafię, nie mogę się zapomnieć, zatracić się, zatonać...

Poszłam do katedry. Bo musiałam uciec dokądś, zniknąć na chwilę, znaleźć się poza dotkliwą rzeczywistością.

Pachniały stare ławki, pachniało pożółkłe światło, zamknięte tu od setek lat. Wiele pięter słabego, zetlałego światła.

Usiadłam, oparłam łokcie o wąski pulpit, ukryłam twarz w dłoniach. Chciałam być Poza Wszystkim.

I wtedy z góry, wprost na dno katedry, upadły jak olbrzymie głązy, jak grom, pierwsze dźwięki toccaty Bacha. Potem przez chwilę kruszywo

muzycznych igraszek i znów potężna nawałnica, która zmieniała moją duszę w pył.

Oparłam czoło o blat i wybuchnęłam płaczem. Byłam w środku sacrum, absolutnej świętości, ale to sacrum było gwałtem i przemocą. Dobrze. Niech mi to robi. Niech mnie unicestwi. Nic nie jestem warta i chcę zginąć w lawinie tej kamiennej muzyki.

Było wspaniale. Trwała wieczność. Najpierw majestatyczna, wszechwładna, ostateczna, potem jednak jakby lekko nużąca się sama sobą, zdążająca do końca...

Gdy na moment podniosłam wzrok, spostrzegłam, że nie jestem sama. Daleko po drugiej stronie kościoła, pośród ciemnych ławek, ujrzałam chłopca w jasnej koszuli. Trwał zasłuchany, wspierając głowę na dłoni. Kiedy długie, ciężkie, brokatowe dźwięki toccaty opadły ostatecznie, zaśmiał się cicho, szybko, radośnie. Ten jego śmiech zamigotał jak biały motyl w starym lesie. Zaraz potem chłopiec wstał i wyszedł, nie zauważając mnie.

To - był - Olo.

Jeszcze tego samego wieczora, w sali klubowej hotelu robotniczego, znów całowaliśmy się namiętnie. A Olo szeptał w moje włosy: „Haniu, co my robimy, Haniu”.

Sierpień minął. Praktyki robotnicze roku zerowego filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego dobiegły końca. Danina inteligencka na rzecz klasy robotniczej została złożona. W pamięci uwieczniły się kosmate konie z pyskami w workach z owsem, złote wzgórza pszenicy na klepiskach stodół, i czarne, rozgrzane wydmy rzepaku w dusznych

suszarniach. Na nich my, całujący się, ledwie mogący oddychać, ubrani w płócienne drelichy, spod których buchał żar uwięzionych ciał...

Wracaliśmy do Gdańska pociągiem przez Elbląg, stojąc w otwartych drzwiach wagonu, śmiejąc się i krzycząc. Wiatr trzymał nas za włosy, było groźnie i słodko.

- Och, Olo, wypadniesz, Olo, uważaj! - wołałam, bo Olo wychylał się, trzymając poręcz tylko jedną ręką, stawał na zewnętrznym stopniu, machał ramieniem i nogą. Ziemia, krzaki, słupy trakcyjne tylko migwały w tle. Czułam, że może odlecieć w przestrzeń, że tragedia jest tuż, i to było bardzo podniecające. Co parę chwil z powrotem wskakiwał do wnętrza wagonu, by mnie objąć, chłodny od wiatru i szalony jak wiatr, i dotykał mnie ustami, które były suche, szorstkie i zimne.

Umówiliśmy się. Że się spotkamy, najprędzej jak się da, już w pierwszych dniach września. Paw miał przyjechać ósmego, by mnie zabrać nad jezioro Osuszyno, na żagle, a więc koniecznie musimy się spotkać przedtem!

Wyszłam po Ola do autobusu, na przystanek. Zobaczyłam, jak idzie niepewny, ostrożny, źle ubrany, w grubej, dżinsowej koszuli wyszywanej w kaszubskie lilie i w wełnianych czarnych spodniach.

- Matka wszystko wyprała - tłumaczył się, jakby wyczytał mi z oczu całą dezaprobatę. Wydawał się jakiś chudy, poszarzały, prowincjonalny i pozbawiony wszelkiego czaru. Odwróciłam twarz, gdy chciał mnie pocałować na powitanie.

Poszliśmy na spacer, na Monciaka w Sopocie, ale rozboleł go brzuch, więc co chwilę gdzieś znikał i zostawałam sama, ściskając wiotki bukietek fiołków. O, jakże to wszystko w jeden dzień stało się bezbarwne,

niewygodne, udręczone. Zapragnęłam jechać z Pawiem na te żagle! Olo wracał z toalety, miał minę znękaną, brał moją rękę w swą dłoń, wilgotną i lodowatą, szliśmy sto metrów, a potem on znów, w trybie nagłym, zniknął w jakiejś kawiarni albo w korytarzach kina, poszukując WC, a ja tarłam rękę o spodni sztruks, przekładając z lewej do prawej więdnący bukiet, i marszczyłam się, patrząc w szare niebo. Co robić? Jak mu powiedzieć? Którego wybrać? Dać szansę tej przygodzie? Pawiu czy Olo? O, Boże, co ja mam robić...

Wybrałam Pawia. Pojechałam na żagle.

Olo szybko powrócił do swej nauczycielki. Zbyt szybko. To dawało do myślenia i potwierdzało słuszność decyzji. Nie uparł się przy mnie, nie namawiał mnie do siebie, uznał mój wyjazd za wyrok losu, słuszny i całkiem wygodny. Zresztą, cóż go ze mną łączyło - zaledwie wstępne pocałunki, gdy tymczasem z tamtą dawno już zwiedził cuda... Ożenił się z nią jeszcze przed moim ślubem z Pawiem. Swoje plany życiowe zrealizował beze mnie. Po polonistyce ukończył reżyserię, zrobił świetny film, nagrodzony na festiwalu w Berlinie. Potem zrobił duże pieniądze. Jeszcze we Fromborku powiedział mi, że będzie bogaty... To właśnie było to, co mi się wtedy nie podobało.

Po latach Olo się rozwiódł i ponownie ożenił. Cały czas jest bogaty...

Czy te strzępki to jest może opowieść o czyimś życiu? Bo przecież nie o moim. Własnego życia nie da się opowiedzieć, można je tylko obnażyć.

Obnażanie własnego życia.

Rozpinam skórę na piersi, jak się rozpina koszulę, i mówię: Patrzcie, co mam pod spodem. Pod ubrankiem ciała. To dusza. Jak sino-czerwona

chmura. Ach, jakie mnóstwo uczuć, wspomnień i marzeń, zwoje wątków logicznych (albo nie), kilometry zarejestrowanych zdarzeń; cała moja wewnętrzna filmoteka.

Ale i duszę też można rozebrać. Zdejmuje się ją razem z imieniem i nazwiskiem. Pod nią jest otchłań, do której prowadzi strach, czasem rozkosz. Niekiedy jedno i drugie naraz. Taka droga bywa szczególnie podniecająca.

Otchłani nie da się już obnażyć. Otchłań jest wszechotwarta i to przed nią trzeba się zamykać. Jest wspólna wszystkim istotom (myślę, że „wiedzą” o niej także rośliny i zwierzęta; a jeśli nawet woda i kamienie?). Zaczyna się może pomiędzy jądrem a elektronem, a kończy za Plutonem na skraju Układu Słonecznego. Oczywiście, że się nie zaczyna i nie kończy się nigdzie. Otchłań ucieka. Ucieka Drogą Mleczną. Ucieka pomiędzy jądrem a elektronem. Ucieka we wszystkich kierunkach, do i od, i porywa nas ze sobą. Dlatego musimy być na co dzień ubrani, szczelnie zapięci, doprecyzowani imieniem i nazwiskiem, zabezpieczeni. I jeszcze na dodatek mocno trzymamy się czegoś konkretnego.

By się nie dać.

By przeżyć, czyli umrzeć potem.

Można widzieć swoje życie z perspektywy ICKU przed starzeniem się, albo krótszej nogi, albo niedostatku pieniędzy. Wtedy decydujemy się na jakiś cząstkowy model wizji świata.

Większość ludzi patrzy na świat przez jakieś coś i w takim wycinku, opcji, w takim określonym „formacie” żyje. Pozostając we wzorcu społeczności, w historii i w teatrze życia codziennego. Pragnąc i dostając,

lub nie, rzeczy ze swego mrowiska, termitiery, ula, osiedla, miasta, kraju, kontynentu.

Egzystując pośród lokalnych hierarchii i tutejszościowych wartości wyniesionych jako godne pożądań i stosownie wycenionych. Cierpiąc udręki niespełnienia, bóle psychiczne i fizyczne, społeczne i indywidualne. Rozpacze, traumy, ideologie, walki religijne i te o sprawiedliwość. Bardzo poważne sprawy. Ale także: sąsiad się nie uklonił, przyjaciółka opłotkowała, dziecko odpyskowało, kochanek zdradził, sprzedawczyni oszukała, buty nie pasują. Bardzo po-ważne sprawy.

Miniaturowe, małe, średnie, duże, potężne, nieogarnione i niepojęte. Nano-makro. Życie.

Dusza. Dom. Dym. W dzieciństwie codziennie przechodziłam obok domu, któremu brakowało ściany, bo się zwała podczas bombardowania i tak już zostało na długie powojenne lata.

Widać było lamperie, resztki kaflowego pieca, a na ścianach prostokątne blizny po obrazach. Na pewno wisiał tam też jakiś ślubny portret, taki jak u moich dziadków w Brombergu, biało-czarny, retuszowany, z ustami i policzkami nowożeńców zabarwionymi na ostry róż. Panna młoda w płaskim, ciężkim welonie, bo takie welony miały wszystkie kobiety na przedwojennych ślubnych portretach. A u pana młodego obowiązkowo mały sztywny wąsik. Dwie pary ich oczu wpatrzone w obiektyw, czyli w samego Boga, bo przed wojną to jeszcze Bóg robił zdjęcia, dopiero potem się okazało, że oko Opatrzności zmieniło się w Nicość, i małżonkowie spoglądali już tam, gdzie się spotykają wszystkie spojrzenia, po zamknięciu powiek...

Gdy patrzyłam z ulicy w górę, na urwane sufity, czyli podłogi, na ściany trzy, bez tej czwartej, najważniejszej, bo zamykającej krwiobieg domu, na puste, pozbawione drzwi futryny, na ten przekrój podłużny ciała kamienicy, czułam, jak i ze mnie wypływa krew, jak ucieka ze mnie wszelkie ciepło i ogarnia mnie strach. Wyobrażałam sobie, że spadając ze ścian, wyskakując z ram, postacie ze ślubnego portretu zamykają oczy i, chwytając się za ręce, gdzieś tam pod spodem, poza kadrem, lecą w dół, pośród zawojów welonu, zerwanego przez wybuch z głowy panny młodej... Lecą do jakiejś drugiej, i ostatniej, przeszłości, skąd nie można już wspominać nikogo. '

Wojna odbiera życie nawet pamiątkom po ludziach. Wojna obnaża życie, które nie płynie, lecz biegnie w miejscu, biegnie do utraty tchu, w panice, nie posuwając się ani o krok... I dogania je śmierć.

Wojna kryła się za kulisą mego dzieciństwa i młodości. Mogła wyjść na środek w każdej chwili i zabrać wszystko, zanim poznam życie. Mogła przyjść przed pierwszym pocałunkiem, pierwszą miłością, przyjść, zanim będę miała własny dom i dzieci. Chciałam zdążyć mieć dom i dzieci, szybko. Chciałam poznać życie, wcisnąć je całe w jakieś niemożliwe międzywojnie. Na rocznicowych akademiach szkolnych zawsze to ja recytowałam wojenne wiersze, były to hymny i ofiary błagalne, by się wstrzymała jeszcze, by mnie nie zabijała przed pierwszym pocałunkiem... Idąc na lekcje, patrzyłam na rozdartą kamienicę i spieszyłam się coraz bardziej do swojej przyszłości.

I teraz, kiedy piszę o sobie, przypomniła mi się ta obnażona kamienica ze śladami po obrazkach, dom, z którego wywiało nawet duchy.

Chcę zatrzymać życie. I duchy.

Dusza. Dom. Dym.

Mam wrażenie, że napisałam już kilka początków, a żaden dalszy ciąg nie następuje.

Strach zacząć dalszy ciąg, skoro w moim życiu nic się nie chce od razu puentować...

Żmudę dalszego ciągu bajaranze załatwiali zdaniem: „...i żyli długo i szczęśliwie”. Tymczasem takich, co żyli długo i szczęśliwie, w ogóle nie ma. Szczęście to zjawisko momentalne i musi zniknąć w przypadku dłuższego życia, albo się przeobrazić w coś innego: w nudę, albo w „dole”, czy „los”.

Ani „c.d.n.” ani „itp.” ani „itd.” nie mają już ze szczęściem wiele wspólnego.

Gdy się tak rozglądam po swym życiu, to mam wrażenie, że składa się ono z samych początków. Nic tylko początki, zaczynanie od nowa, inicjacje, prologi i wstępy, preliminarze i projekty... Dobre albo złe początki, ale też i - miłe złego początki! Czy dlatego stale wyglądam na dziesięć lat mniej? „Już w wieku trzech lat wyglądała na dziesięć lat mniej” - czy nie byłby to frapujący początek książki?

Na przykład zabawnej książki o kobiecie pustej, z obsesją młodego wyglądu, która w puzderku rozumu trzyma kolor szminki i tragedię złamanego paznokcia. Albo całkiem innej powieści o życiu przed życiem, niesamowitej historii reinkarnacji na opak.

A więc c.d.n. nie nastąpi, nastąpią kolejne początki... Idąc naprzód, muszę się zarazem cofać, bo życie krąży, wyrywa się, i wciąż ucieka od swego kontinuum, i chce od swego końca trzymać się jak najdalej.

Paw Studiował fizykę we Wrocławiu i pisał do mnie listy. Ja studiowałam polonistykę w Trójmieście i oprócz listów pisywałam wiersze, o samotności, tęsknocie i - pisaniu listów. Czasami Paw wpadał do Sopotu, przeważnie na jeden dzień, i wtedy w pośpiechu budowaliśmy między nami cielesną bliskość, korespondencyjnie przecież niemożliwą.

Pociąg powrotny ze stacji Sopot do W. odchodził około północy, a więc w parę godzin musieliśmy zdążyć z realizacją marzeń o patrzeniu w oczy, o dotknięciach, o pocałunkach. A wcześniej trzeba było jeszcze porozmawiać grzecznościowo z moimi rodzicami, zjeść kanapki, no i stopniowo przywykać do siebie, co po dwóch, trzech miesiącach niewidzenia się szło opornie. Pokonywanie fizycznej obcości jest jak spacer przez szklany las, grozi skaleczeniem...

„Kocham Cię szaleńczo i opętanie” - powtarzałam w myślach słowa z ostatniego listu Pawia, dla rozgrzewki, gdy on głaskał mnie właśnie po rękę, a ja odczuwałam niestety niemiłe dreszcze. Wytrzymać samo powitanie w drzwiach, to już był dla mnie wyczyn i przedstawienie. Półnuty i ćwierćnuty moich uczuć, które żarzyły się na papierze listowym, odbzmiewały teraz chłodno, a każdy serdeczny gest, który musiałam wykonać, był jak przeprawa przez szklany chrust.

W końcu jednak znajdowaliśmy do siebie drogę, w moim pokoiku, słuchając Brahmsa lub Sibeliusa, bo Paw zawsze przywoził ze sobą jakąś taśmę, albo płytę, i edukował mnie muzycznie, na co byłam całkiem podatna. Koncert skrzypcowy e-moll Mendelssohna roztopiał we mnie wszelką krę i zaporę, tak że już po paru minutach słuchania czułam się jak płaczący sopel. Potem siadałam Pawiowi na kolanach i wtulałam twarz w jego ramię, wdychałam zapach jego skóry, ładny, czyściutki, na szyi miał

pieprzyk, z którego wyrastał kręcony włossek i to mnie dziwiło, śmieszyło i wzruszało, i było dowodem na to, że jesteśmy już bardzo blisko siebie.

Potem wychodziliśmy na dwór, by popatrzeć na niebo i być poza zasięgiem wszelkiej władzy rodzicielskiej. Staliśmy pod gwiazdami, a Paw, który wtenczas miał duszę prymusa i był poznawczo napięty, wznosił do góry palec i objaśniał mi wytrwale: O, tu, popatrz, Wielki Wóz, ma dyszel, widzisz? A tam jest Mały. Droga Mleczna to w rzeczywistości nasza galaktyka widziana od wewnątrz. Mgławica Andromedy to galaktyka spiralna należąca do lokalnej gromady galaktyk... To było naprawdę interesujące, ale ja chciałam, by mnie przycisnął do siebie i pocałował, bolał mnie kark od zadzierania głowy, co mi tam galaktyki, zaraz będziemy się żegnać, a ten gada...

- A Krzyż Południa, ten słynny Krzyż Południa w ogóle nie pokazuje się nad Polską - mówi Paw i pochyla się nade mną i wreszcie całuje.

Ma kompletnie lodowate zęby od tego gadania, a język ledwie letni.

Raz jeden umówiliśmy się w Warszawie, w czasie ferii zimowych, pod kolumną Zygmunta. Mróz chwycił za nogi i za gardła. Powietrze trzeba było bardzo ostrożnie wprowadzać do oskrzeli, by nie zmieniły się w srebrne drzewko w piersiach.

Wychyliłam się zza rogu Pivnej i widzę, że on już jest, stoi, sięga Zygmunтови do kolan prawie, taki jest wysoki. A na głowie ma, o Boże, włóczkowy berecik „z antenką”. Nie dam rady, pomyślałam, nie podejść do tego berecika, jak ja spojrzę w oczy Pawiowi, w te wielkie, czarne oczy, tak, by nie zobaczył w moich źrenicach dwóch małych strasznych berecików...

Cofnęłam się. Na pewno to matka kazała mu takie coś włożyć.

Ze względu na ten mróz. Głowę ma wielką, to i zmarzłby okropnie.

Podobno przez głowę uciec może prawie całe ciepło z człowieka, jakieś osiemdziesiąt procent. Muszę się przemóc i iść. Ale mnie mdli z samego środka mego gustu.

Odzież ukochanego! Jakże ważna jest w miłości! Nie można kochać ukochanego z pominięciem tego, co on na sobie nosi, bo szczególnie w pierwszym, płomiennym (i chybotliwym jak płomień), etapie rozwoju uczuć jest ten ukochany całością wyższego rzędu, jest nierozbieralny dosłownie i w przenośni, zrośnięty z wszelkim kontekstem, w jakim się pojawia. Nie o to chodzi, by odzienie było eleganckie, drogie czy modne, ale by nie stanowiło przeszkody, było miłe i swojskie, w jakimś tajemniczym sensie zrozumiałe.

Wychodzę zza rogu Piwnej. Paw nie widzi mnie jeszcze. Stoi tam taki długi, nieruchomy, samotny na mrozie. I nagle podnosi rękę, szybkim ruchem zdziera z głowy beret i wciska go do kieszeni kurtki.

Pokochałam go natychmiast! Kurtkę, którą wtedy nosił, brązową, zapinaną na kołki, szczerze lubiłam i nic już nie stało na przeszkodzie, by iść prosto do niego, na spotkanie.

Spostrzegł mnie i także ruszył w moim kierunku, i szliśmy do siebie jak Kaj i Gerda przez Lodowy Plac Zamkowy, długo, chwilami wiecznie, ale w końcu doszliśmy, guziki naszych okryć otarły się o siebie, dźwięknęły, policzki się zetknęły.

Pocałunek na mrozie jest taki smutny, jakby od razu był przeszłością, jeszcze zanim usta siebie dotkną...

Miałam prawy but o numer większy od lewego. Zawsze kupuję w takim napięciu, jakbym nabywała samą ideę rzeczy, a nie jej

egzemplifikację, widzialny kształt - więc nieraz w sklepie nie zauważam drobnych wad, usterek i trafia mi się jakiś bubel, a potem owa wada, usterka, wrasta mi w świadomość i nie mogę myśleć o czymś innym, tylko o tym, że jeden but mam o numer większy od drugiego i czy to bardzo widać. I właśnie mnie ta myśl napadła, gdy ruszyliśmy po chrzęszczącym śniegu ku Świętojańskiej, że mam stopy niesymetryczne, że te kozaki są okropne, że dawno bym je wyrzuciła, gdybym tylko miała pieniądze na nowe, ale przecież nigdy w życiu nie wydebnię od mamy na drugą parę tej samej zimy. Naprawdę ten prawy jest większy, nie da się ukryć... Ale czy Paw, z wysokości swoich dwóch metrów, może zmierzyć wzrokiem moje buty? Nie może.

Wpatruję się w te moje buty idące po skostniałym chodniku, głowy nie podnoszę, bo mi niezręcznie, lodowato, ale za Rynkiem jest już nieco lżej na duszy, a w okolicy Barbakanu prawie jestem oswojona z moim Pawiem, wkładam dłoń do kieszeni jego kurtki, bo zimno przecież, jego ręka już tam jest, o, i struchlały, zdradzony berecik także, jesteśmy więc razem w jednej kieszeni, grzejemy się. „Chodźmy do kawiarni czy gdzieś, bo się przeziębisz bez czapki - mówię ze stosowną troską - masz głowę tak dużą jak Apollinaire, on nosił skórzaną opaskę, a ty bez niczego na mrozie...” Paw pociąga nosem i ściska moje palce w swojej kieszeni, skręcamy w pierwsze drzwi na Freta, bucha gęste ciepło, papierosowy dym i Middle of the Road z głośnika, siadamy, zamawiamy herbatę, topnieją nam wargi, uśmiechamy się do siebie i znów zaczynamy czuć miłość.

Kochankowie są dobrzy. Bez końca gładzą swoje ciała, jakby karmili się poprzez dłonie. Głaszczą się wzajemnie, jakby się chcieli namaścić

blaskiem. Mrużą oczy z rozkoszy. Dotykają spojrzeniem, a widzą wargami. Ich usta są tak przewrażliwione, że samo muśnięcie oddechem zapala ogień w głębinach ciała. Języki-jedwabniki. Twoje policzki szorstkie o poranku. Witaj. Dotknij mnie. Połóż się na mnie, aby świat nie zniknął. Kochankowie są dobrzy. Każdego ranka wybaczą światu. Dotykanie, głaskanie, ocieranie się, przenikanie. Wczoraj, gdy usiadłeś przy mnie w czerwonym swetrze, wszystkie rzeczy napięły się w istnieniu, naprężyły się w swych kształtnych granicach. Linia twego karku i ucha fosforyzowała. Nie można nie istnieć! - pomyślałam. - Jakże można by nie być! Zaświeciły ryby w akwarium, książki na półkach wyostrzyły grzbiety. Jesteśmy. Wpatrzeni w siebie. Rozniecamy czyste życie, w sobie i wokół nas.

Patrzę W Oczy Pawia. Piękne, migdałowe, czekoladowe, pod szlachetną linią grubych brwi. Na dnie jego spojrzenia obiecujący czar, słodki, ciepły. I - mrok - też obiecujący. Cóż jest wart człowiek bezwzględnie jasny, wciąż promienny, określony, czytelny, oczywisty, spodziewalny, maszerujący prosto przed siebie?

Paw się często zasępnął i zamykał. Ja pozostawałam na zewnątrz. Niespokojna i pełna lęku. Ale i dumna, dowartościowana i upewniona w słusznym swym życiowym wyborze. Bo jeśli się zasępnął i zamykał, to znaczy, że posiadał duchowość, ku której się obracał.

Ja, żona, czekać powinnam na brzegu, aż powróci i opowie.

Pawciu, głaskałam go po głowie w takich chwilach, co ci jest, kochany, powiedz, może coś poradzimy razem. Bo może ty gdzieś błędzisz, a tymczasem wyjaśnienie jest proste. Co dwie głowy, to nie jedna, no, powiedz, o co chodzi, Pawciu.

Ale nie mówił. Zwieszał głowę, uniemożliwiając mi kontakt wzrokowy, i trwał w oderwaniu, niezależny ode mnie i nieczuły na całą tę moją psychologiczną gospodarzę. Mężczyzna, którego nie można pojąć... to też jakiś skarb tajemny, który się ma. I chociaż nie da się go otworzyć, obejrzeć, oszacować, to może samo posiadanie go jest wartością. Samą w sobie.

Pierwszy raz zasepił się tak poważnie mój Paweł jeszcze w narzeczeństwie, gdy pojechaliśmy na pierwsze wspólne wakacje, dzięki ciotce Kropce, która odstąpiła nam swoją sypialnię na tydzień, w mieszkaniu, w bloczku, w miasteczku nad jeziorem. W tymże pokoiczku, bez wiedzy swych matek, z których każda jak mogła strzegła dziewictwa swego potomka, mieliśmy doznać ważnych wtajemniczeń. Nie doszło jednak do pełnej, a nawet do żadnej nie doszło penetracji. O, mowo ludzka! O, języku! Bywasz zabójcą intymności.

Oprawcą czułości. Mordercą, który spada jak pięciokilowy słownik na motyla, co wleciał do mieszkania. Język oznajmia: nie doszło do penetracji. Ja chciałam powiedzieć: wstydziliśmy się, baliśmy się, nie ufaliśmy ciałom, bo były jeszcze całkiem nowe, niesprawdzone, ale też i święte, więc jakby nietykalne?

Ale dotykaliśmy się, godzinami, przez siedem wieczorów; przeplataliśmy sobie wzajemnie nogi i ręce, języki i spojrzenia w świetle księżycy, który płynął powolutku po cienkiej różowej zasłonce.

Zasypialiśmy głodni i przesyleni zarazem.

Rankiem biegliśmy do jeziora zmyć z siebie to wszystko nieczyste, wypłukać, przekąpać, i wyprażyć w słońcu, na gorącym piasku.

Pojawialiśmy się w ciotczynej kuchni późno, prawie na obiad, z niepewnymi minami, zapinając kołnierzyk najwyżej jak się da, okręcając szyję apaszką, aby ukryć - przybyłe tej nocy malinki...

I właśnie w przeddzień wyjazdu, wieczorem, Pawiu usiadł po turecku na podłodze pod ścianą, spuścił głowę i bezwzględnie się zasępił. Dreptałam wkoło niego i nie był to bynajmniej taniec godowy. Byłam mocno przestraszona, bo z takim jego stanem, prawie katatonicznym, nigdy dotąd nie miałam do czynienia. W czym zawiniłam?

Co z nami będzie?

Kucnęłam, próbując zajrzeć mu w oczy.

Potrzymałam dłoń na jego ramieniu. Dość długo.

Szepnęłam, że może przyniosę herbatę?

W końcu solidarnie usiadłam razem z nim, po turecku, mając nadzieję, że w tej samej co on pozycji łatwiej pojmę, co się z nim dzieje.

Mijały kwadranse, noc się pogłębiała, cisza ogłuchła, nic się nie działo. Ja zaczęłam odczuwać senność.

A kiedy wydawało się, że stąd do wieczności jest tuż, tuż, bo stan, w jakim trwamy, nigdy nie przeminie, Paw uniósł pociemniałą twarz, poklepał mnie po plecach i powiedział: „Nic się nie martw, mała”.

Nigdy się nie dowiedziałam, o czym wtedy myślał i co czuł, siedząc ponad godzinę po turecku pod ścianą. Gdy go o to raz po raz Pytałam nieśmiało, odpowiadał, że nie wie, o co mi chodzi i niczego nie pamięta.

Po latach, gdy go lepiej poznałam, w podobnych sytuacjach stawiałam przed nim kieliszek z kroplami na żołądek, nie dociekając, czy problem jest gastryczny, czy metafizyczny. Ale to po latach dopiero, gdy

już tak nie drżałam o naszą wspólną przyszłość, bo terażniejszość była od dawna - rozłączna.

Odepchnąć. Odejść. Odbiec. 29 marca 1980 roku stałam przed lustrem w moim sześciometrowym pokoiku na dziesiątym piętrze wieżowca, skąd widać Zatokę Gdańską. Miałam na sobie długą suknię w kolorze ecru, a mama przypinała mi do włosów toczek z woalką z cienkiej siateczki.

Chciałam zupełnej zmiany. Dom, miasto, ludzie - żeby wszystko było nowe. To, co znane, jest więzieniem: nawyki, schematy, układy rodzinne i towarzyskie, droga do autobusu, widok z okna - wszystko to krata i klatka.

Odepchnąć, odejść, odbiec. Z rodziców trzeba się rozebrać jak z ciasnego ubrania, co hamuje ruchy, uciska w ramiona i wpija się w krocze. W rodzinnym domu wciąż jesteśmy strofowani, ustawiani, ograniczani, a nawet podglądani i śledzeni. By móc dalej żyć i rosnąć, musimy uciec i przekląć stare formy, w tym matkę i ojca.

Po to właśnie stałam przed lustrem w tym dziwacznym przebraniu, w którym miałam bezpiecznie przekroczyć granicę. A matka przypinała mi do włosów toczek z woalką. Była wzruszona, ona też chciała tego pożegnania, bo też miała do zyskania wolność. Wolność od wieloletniej pedagogicznej troski. Od strachu przed nieszczęściami, które mogłabym przywlec do domu. Tak to sobie wyobrażałam. Teraz grała ostatnią kwestię swej roli, czuła żal, że coś się jednak kończy, ale przecież tak być musi, tak jest naturalnie, w przeciwnym wypadku zaczną się fermenty i gnicie. Obie zgodnie wykonywałyśmy poszczególne przygotowawcze

czynności, które miały nas w najprzyzwoitszy, społecznie akceptowany i gwarantowany moralnie sposób szczęśliwie rozdzielić.

Przez ten dzień pamiętny przetoczyły się wszystkie możliwe pogody. Od ciemnego poranka w deszczu, przez burzę z piorunami podczas ceremonii, gradobicie w trakcie uroczystego obiadu, aż po wielki wyblýsk słońca zwieńczony tęczą późnym popołudniem.

Tęcza wsparła swój łuk o chodnik wprost przed naszym domem i obejmowała sobą zalesione wzgórze, kończąc się po drugiej stronie widoku. „To niezwykle, to symboliczne”, powtarzali goście weselni - tęcza to jest spektrum całego życia, będzie wam dane wszystko i nic nie będzie wam oszczędzone... Tęcza, która się zaczyna niemal pod stopami...

Nikt, łącznie ze mną i Pawiem, nie przewidywał tamtego dnia, że nasza wspólna droga po tęczy potrwa dokładnie siedemnaście lat, podczas których świętowana właśnie nowa wolność całkiem się zużyje, wyniszczy, poobija i powyciera na tych kocich łbach ze światła... Że potem trzeba będzie znów się gdzieś wyrywać, bo każda ziemia obiecana staje się okłamana, gdy już się ją ma pod stopami, a nie w marzeniu.

Odepchnąć. Odejść. Odbiec.

Stałam przed lustrem w samych majtkach. Miałam włosy zaplecione w dwa ciasne warkocze, związane razem z tyłu głowy, i wypinałam do przodu klatkę piersiową i brzuch.

Coś było nie tak.

Ha. stała przed lustrem w samych majtkach. Niebieskich. Miała dwa ciasno splecione warkocze związane razem z tyłu głowy i grzywkę, rozwichrzoną, nad zielonymi oczami. Normalna, chuda jedenastolatka,

której można policzyć wszystkie żebra, gdy wypnie Pierś do przodu i nabierze powietrza do płuc.

Ale z tymi żebrami coś było nie tak.

Coś się na nich pojawiło.

Z prawej strony coś spuchło, coś urosło, coś, co przypominało tapicerski guzik, i bolało. Po lewej wszystko było jak dawniej: małe, brązowe, całkiem płaskie kółeczko. Ale symetrycznie, po prawej, zaczynała rosnąć PIERŚ.

Niestety. Pierś.

Jeszcze tydzień temu mała Ha. powiedziała siostrze, że to osa ją użądliła, ale po co oszukiwać. Od dawna wszyscy wiedzieli, że Ha. będzie kobietą. Jednak przecież dopóki nie było piersi, nic nie wydawało się przesądzone!

Było. Tylko się o tym nie myślało. Latało się po podwórku z łukiem zrobionym z wieszaka i gumy do majtek. Wspinało się na kasztanowiec, w którego konarach było sto mrocznych komnat, bo to był zamek Żelaznego Rycerza, który wracał z wojny, wymachując mieczem zrobionym z dwóch skrzyżowanych liniałów powiązanych sznurowadłem. Się nie myślało, biegając po rżysku w samych majtkach, o kobiecie, którą trzeba będzie być.

A więc to koniec.

Niedługo pierś będzie tak olbrzymia, że wszyscy ją zobaczą. Potem urośnie druga. Jeszcze większa. Potem ta pierwsza urośnie jeszcze bardziej. I wszystko się skończy.

Pierś na moim ciele. Patrzyłam w lustro na opuchniętą brodawkę, która wyglądała jak choroba. Naciskałam ją palcami, aż do bólu, bo chciałam płakać, a łatwiej jest płakać, kiedy coś nas boli.

Wyrastała mi pierś.

Będzie odtąd rosła codziennie.

To ostateczne i nieodwracalne.

Nigdy już nie będę, kim byłam. Nie będę, nie będę już sobą, wszystkowidzącym okiem, którego nie widzi nikt.

Teraz będę na widoku.

W pułapce.

Będą mnie oglądać ze wszystkich stron i patrzeć, czy wszystko ze mną w porządku, czy jest jak należy, czy się zamieniam w kobietę, jak należy.

Staś Bobrek, ten mikrus, będzie mnie boksował w piersi, tak jak to robi Grażynie Haupe, która jest nad wiek wyrośnięta i rzy jak koń, gdy on tak przed nią podskakuje, zaciskając pięści. Rudy Marek Tuskiewicz z siódmej „c” przewrócił ją pod salą gimnastyczną i leżał na niej, a ona tak wyła jak elektroluks, co się zatkał papierem.

Gdy na to patrzyłam, ścisnęło mnie w gardle z oburzenia i pogardy, ale nic nie mogłam zrobić. Teraz też mnie tak ścisną. I też nic nie mogę zrobić.

Dlaczego ja też muszę być TYM!!! Właśnie teraz, tak wcześnie, zanim jeszcze zdążyłam porządnie pożyć...

Odtąd nic już nie będzie jak było.

Nadmuchałam plażową piłkę i usiadłam na niej przed lustrem w przedpokoju. Moje opalone kościste kolana obejmowały ziemski glob, bo

piłka była pomalowana w morza i kontynenty. Dotykałam swej prawej piersi, zakrywałam ją dłonią, pomyślałam nawet, czy by jej nie zakleić plastrem.

Ale i tak czułam nieuchronność losu. Będę musiała zacząć nosić stanik, jak mama, stanik, tę śmieszna, głupią rzecz. Może i halkę, długą, śliską, różową, wstrętną halkę!

Kula ziemską pode mną stopniowo zamieniała się w jajo, ponieważ korek był nieszczelny i z piłki z cichutkim sykiem uchodziło powietrze.

- A co ty się tak mażesz? - nagle usłyszałam głos matki, która właśnie wróciła z miasta. Rzuciła z hałasem pęk kluczy na półeczkę i ustawiła pod ścianą torby z zakupami. Po czym zsuła kremowe czółenka, ciągnąc je za wysokie cienkie obcasy. - Co się stało?

Mała Ha. siedziała na mocno już spłaszczonej piłce; pomiędzy jej zgiętymi nogami wybrzuszała się Afryka, siedziała i patrzyła na matkę za pośrednictwem lustrzanej tafli. Miała twarz mokrą od łez, ale w jej oczach już tlił się gniew.

- To przez ciebie! Wszystko przez ciebie! - zawołała nagle, podrywając się gwałtownie ze swego siedziska. I pobiegła w głąb domu, przyciskając rękę do piersi, jakby miała tam ranę, która jest i bólem, i wstydem, i przeznaczeniem. - PRZEZ CIEBIE!

W chowanego się bawiliśmy, po piwnicach.

W długie lipcowe wieczory, gdy dzień ma premię, prolongatę, trzydzieści procent więcej.

Matki, oszukane naddatkiem światła, wychylały się z okien bloków, by zwoływać swe pociechy na kolację, z dużym opóźnieniem, a do tego

były jakieś niepewne, odurzone, zaczarowane, zupełnie jakby nie chciały tego, czego chciały... - Hania! Marek! Grażynka!

Do domu!

My odkrzykiwaliśmy: - Zaraz! Jeszcze chwilkę! Jeszcze tylko jeden raz!

I znikaliśmy z pola widzenia, a one chowały się za oknami i wszystko z powrotem pogrążało się w magii letniego zmierzchu, który nie mógł się skończyć, który się pod wieczność podszywał, a wszyscy ludzie duzi i mali pragnęli, by trwał ten międzyczas, bo przecież najpewniej nie wliczał się on do rachunku życia...

Tamtego dnia ukryłam się za załamkiem muru, przy drzwiach piwnicy numer 12, i zamarłam w wilgotnej, grzybowej i mysiej ciemności, czekając, aż ten, co szuka, pojawi się gdzieś blisko. Przytuliłam policzek do chropowatej nie otynkowanej ściany i trwałam w napięciu, raz po raz marszcząc spocony nos, z którego zjeżdżały mi okulary.

Wtem usłyszałam tuż nad sobą oddech. Poczułam oddech, który się kładzie na moich włosach. Jeden, drugi, kolejny. Ktoś wysoki stał za mną, pochylał się nade mną i oddychał w moje włosy. Karbowane, pofalowane, pogięte, bo w ferworze nieustającej zabawy rozplotły mi: się warkocze. Oddech ten oddychał coraz goręcej, aż wreszcie zaczął mówić. Mówił: - Ładnie pachniesz, jak ty ładnie pachniesz... Mała, jak ty ładnie pachniesz.

Zesztywniałam i nie mogłam się poruszyć przez cały ten czas, kiedy Marek Tuskiewicz (bo to był Marek Tuskiewicz z siódmej c") stał nade mną i oddychał w moje włosy. Wysoki, rudy, pryszczaty Marek Tuskiewicz, którego ojciec był majorem w zielonym mundurze, a matka była piękna i z rudej przefarbowała się na czarną, i uciekła do Szczecina z

kochankiem, a potem wróciła, rozwalila drzwi siekiera i się powiesila na klamce w pokoju, który znajdował się dokładnie za ścianą naszego mieszkania...

Przez cały ten czas w mrokach piwnicy ani drgnęłam, a Marek Tuszkiewicz stał tuż obok i oddychał w moje włosy, miałam trzynaście lat, małe piersi nierównej wielkości i okulary na nosie, a on dy-szał w moje włosy i całował mnie po głowie.

Byłam jak martwa. Martwa i podniecona.

Byłam czarną studnią przerażenia, którą przeszywa zimny fosforyzujący promień.

Czułam obrzydzenie i pragnęłam uciec, ale jednocześnie ogarniał mnie słodki bezwład i musiałam tak trwać, i nie byłam w stanie zmienić niczego w tej scenie.

- Szukam! Szukam! - zawołał gdzieś niedaleko Waldek Walczak, który zaklepywał.

Wyrwałam się zza muru i, jakby paliła się na mnie koszula, popędziłam korytarzem ku schodom. Dopadłam trzepaka, zaklepałam się, środkowym palcem podsunęłam ześlizgujące się na czubek nosa okulary i opadłam na ławkę, ciężko dysząc.

Moje szeroko otwarte oczy były puste jak niebo nad osiedlem, topniał w nich szybko ostatni blask dnia, który w tej właśnie chwili naprawdę się kończył.

Usiadłam przy stole i podsunęłam sobie gazetę. W radiu Maryla Rodowicz śpiewała akurat: „Zakopane to znaczy tylko ja i ty”. Pochyliłam się i zaczęłam czytać notatkę zapisaną drobnym drukiem w rogu po prawej

stronie: Zbiorowy gwałt na Janiskach. Janiska to u nas, pod miastem. Byłam tam kiedyś na wagarach i widziałam lisa utopionego w studni.

Gazeta pisała, że siedmiu młodych mężczyzn w wieku od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat zgwałciło szesnastolatkę na Janiskach. Najpierw kazali jej pić wódkę z zardzewiałej puszką po rybach, a potem wszyscy kolejno ją gwałcili.

Obok płynęła rzeka. To było na wale nadrzecznym, na trawie, więc płynęła tam rzeka. Potem usiłowali poderżnąć jej gardło pokrywką od tej puszką, ale ostatecznie ją zwyczajnie udusili. Zeznali, że płakała. I obiecywała, że nikomu nie powie. Ale jej nie uwierzyli.

Przeczytałam tę notatkę do końca, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, bo to czytanie było straszne, ale zarazem jakoś dziwnie wciągające. Czytałam wiele razy, bo mnie pchało do tego strachu i tej przyjemności, która spod strachu wypływała jak słodki syrop spod roztrzaskanego dna butelki.

Potem wstałam. Podeszłam do okna, popatrzyłam na nasz kasztanowiec, pole kapusty i boisko szkolne obok pola.

Teraz już czułam wyłącznie strach. Bez słodyczy. Bałam się picia wódki z zardzewiałej puszką. Bałam się stada mężczyzn, którzy mnie otaczają coraz ciaśniej i ciaśniej. Bałam się, że rzeka płynie obok.

I nie tylko płynie. Był to strach głęboki, tajemny, mroczny i przerażający jak kosmiczna studnia, z której przez całą wieczność wyławia się pojedyncze istnienia po to, by je unicestwić.

Być kobietą.

Błagam cię, Boże, ja nie chcę być kobietą.

Tak strasznie się boję być kobietą... Boże, pozwól mi, jeszcze trochę, pozostać nikiem, którego nie widzi nikt...

Poszłam do łazienki zrobić siusiu. Zsunęłam majtki i nagle zobaczyłam krew. Była ciemna, fioletowa, prawie czarna. Na niebieskiej bieliźnie krew jest fioletowa.

To musi być pierwsza miesiączka.

A więc wreszcie mam miesiączkę. Już dawno powinnam mieć.

Mam czternaście lat. Jestem dojrzała.

Teraz już zawsze będę miała miesiączkę.

Wróciła mama. Zdjęłam majtki i zniosłam, żeby jej pokazać.

- Zobacz, co mi się stało - powiedziałam.

- Co ty robisz! - krzyknęła. - Zabierz mi to zaraz!

- To chyba okres, boję się - wykrzywiłam twarz i poczułam prysnic w nosie, jak zawsze wtedy, gdy mam się rozpłakać.

- Weź ligninę z łazienki.

- I włożyć do majtek?

- Tak, włożyć do majtek.

A więc to koniec.

Nic już nie będzie jak było.

KONIEC

Zdaje się, że byłam jedynym wybuchem wolności Pawia, po czym ogień zgasł, pyły opadły i trzeba było sobie jakoś radzić na dnie jamy, która powstała po tym wydarzeniu, czyli po ślubie ze mną - ślubie wbrew woli (jego) rodziców, w wieku (ich zdaniem) nieomal dziecięcym... Mieliśmy po dwadzieścia jeden lat, przy czym ja jestem cztery miesiące młodsza od Pawia. A jednak Przystąpiłam próg domu męża jako ta, co

porwała do ołtarza niewinnego chłopca, przewróciła mu w głowie, rzuciła zły urok, skusiła, przewlokła przez łóżko, zaraziła seksem, stanęła na drodze do kariery i nastawiła przeciw matce. Jezus Maria! A cóż to jest za kobieta, ta JA, czyją w ogóle znam?

W tamtych czasach moja wyobraźnia była całkiem sielska, idealistycznie sielska, nastawiona na scenki Bliskości Dwojga i na Odczuwanie. Ona do niego biegnie. On ją obejmuje. Całują się drżąc ze szczęścia, a słodkie dreszcze prują ich jestestwo z góry na dół. Ogólnie jest bardzo świetliście, nawet gdyby noc była czarna, bezksiężycowa.

Byłam bardziej eteryczna niż erotyczna. I raczej elficzna, a nie demoniczna! Ta zaś wizja mej osoby, która zrodziła się w głowie teściowej, jest najlepszym dowodem na słuszność poglądów tych filozofów, którzy twierdzą, że świat to nie jest zjawisko obiektywne, a prawda sprowadza się do tego, co się komu wydaje.

Mnie się wydawało, że kocham Pawia. I wydawało mi się, że miłość jest nade wszystko wyzwoleniem. Że oboje jesteśmy absolutnie dorośli i najwyższy czas zacząć wreszcie naprawdę żyć. To była nadbudowa. Baza zaś wyglądała tak, że Paw był moim Pierwszym, w dodatku Pierwszym z Brzegu.

Bariera dziewczęcego wstydu i strachu była w moim przypadku tak wielka, że uroki pierwszych erotycznych doznań były mi prawie niedostępne, a słodkie drżenie oczekiwania na cowieczorny cud bycia razem znikало jak ręką odjął na widok pościelonego łóżka.

Kto wie, czy nie przyczynił się do tego także ów wypadek na tapczanie, kiedy to na samym wstępie małżeńskiego pożycia, pewnej niedzieli o zmierzchu podczas miłosnych igraszek doznałam wywichnięcia

stawu barkowego (mam podobno stawy zbyt elastyczne, tak to zdiagnozowano). Ja się zwijałam z bólu, a Paw po chwili dramatycznej rozterki zarzucił coś na siebie i poleciał po sąsiada z naprzeciwka, początkującego chirurga.

Leżałam naga na białym prześcieradle (blada jak to płótno), bo ból był tak silny, że nie było mowy o tym, by doprowadzić swój wygląd do porządku. Pola widzenia, słyszenia i rozumienia miałam znacznie ograniczone, jednak obszar wstydu, przestrzeń poniżenia, morze bezsilności fosforyzowały w mej świadomości i bolały drugim, o wiele podlejszym bólem.

Gdy się ów sąsiad-lekarz pojawił, poczułam się jeszcze podlej, jak jakiś preparat, wijący się na laboratoryjnym szkiełku. Jakaś Marsjanka złapana na niecnym uczynku. A oni dwaj pochylali się nade mną, nie patrząc w oczy, szacowali mą urodę pozbawioną jakiegokolwiek kontekstu, wyjętą z kultury i obyczaju, macali mnie, wyginali mi ramię pośród okrzyków i stękania, dobywających się z moich ust - ust jeszcze przed chwilą namiętnie całowanych.

U wezłowia tego łoża madejowego stało moje superego, diabeł stróż, który wyświetlał na mój wewnętrzny ekran obraz kobiety o potarganych włosach, obnażonych piersiach, dzikiej, krzyczącej, usidlonej, bezimiennej, niczyjej...

Po nie wiem jakim czasie sąsiad powiedział, że on tu nic nie wskóra, bo jest co prawda chirurgiem, jednak nie ortopedą, a miękkim, chirurgiem miękkim, i lepiej wezwać pogotowie.

Poczułam mdłości i wydało mi się, jakby wywrotka wysypywała tonę piachu wprost na moją głowę. Jest taki dowcip o babie, co poszła do

ginekologa, a trafiła na malarza w białym fartuchu. Ten ob-leśny żart wtedy mi się przypomniał. Tuż przed tym, jak straciłam przytomność.

Ale wracając do miłości.

W tamtych czasach słowo „orgazm” w ogóle nie przechodziło mi przez gardło, pomimo udanej w końcu miłosnej inicjacji. Delikatne, kruche, słodkie istnienie miłosnej rozkoszy określane medycznie, ostrym narzędziem słownym, natychmiast traci sens.

Słowo to jest ciasne, bezczelne i źle się wymawia. Hasło „orgazm” w miłości to jak widelec w bukietku konwalii. Jest zdradą, oszustwem, sztywnym fantomem, który wyśmiewa siebie i ciebie. Ktoś ma orgazm albo nie ma orgazmu. Tego się nie ma! Tym się jest! Tym Się świeci przez wieczną chwilę, a potem od tego się znika... znika się ze swojego życia, czując najjaśniejszą w całym kosmosie ulgę odejścia od siebie, i przyjścia do Wszystkiego.

To słowo nie przechodziło mi nie tylko przez gardło, ale nawet nie przychodziło mi na myśl. Gdy Paw spytał mnie pierwszy raz, I bezceremonialnie, z prostotą czytelnika poradników Michaliny Wisłockiej, jak mi było przed chwilą, i czy, konkretnie, miałam czy nie miałam, byłam tak zaskoczona, że subtelna konstrukcja wdzięczności wobec kochanka za podarowane mi czary runęła w jednej chwili, i Wcisnęłam twarz w poduszkę; chciałam, by świat zniknął. Zastanawiam się teraz, czy nie zmarnowałam młodości. Żadne fallusy nie przelatywały po moim erotycznym niebie, nie snułam fantazji o wielkich kosmatych członkach, które wpychają się na siłę do aksamitnych pudełeczek, w ogóle kochankowie moich marzeń zaczynali się od pasa w górę, a poniżej prawdopodobnie działo się jakieś mroczne misterium, którego lepiej było

nie podglądać, by cała przyjemność nie przepadła z kretesem. Pod spodem czystej miłości niewątpliwie pracowała jakaś demoniczna machina, niestety.

Jednak dopóki się dało, nie chciałam przyjmować tego do wiadomości.

Pełny serwis, z naddatkiem, otrzymałam dopiero półtora roku po ślubie, na porodówce, w szpitalu, pośród mężczyzn wykonujących zawód ginekologa-położnika. Znów byłam preparatem, Marsjanką, obnażoną, wijącą się na prześcieradle, a obcy mężczyźni, jeden, drugi, trzeci, pochylali się nade mną, macali, nie patrząc w oczy i wkładali we mnie palce, gdzieś pod spodem mojego ja, które błyskawicznie zniknęło jak złota grudka w wodzie królewskiej.

Nicość, zrobiona z bólu i wstydu, którą się kończył seks, była czymś całkiem innym od ekstazy wszechistnienia, darowywanej przez miłość.

Dziecko. Dziecko. Muszę mieć dziecko, inaczej nigdy tu nie zamieszkać. Dziecko zbuduje mi dom, dziecko się mną zaopiekuje. Dziecko mi znajdzie przyjaciół. Oswoi dla mnie teściową i teścia. Będzie moje. Będzie Pawia. Będzie nasze. Będzie jak śliczna kokardka, która zwiąże nas i ozdobi...

Postanowiłam mieć dziecko.

Nietrudno mieć dziecko.

Wystarczy chwila nieuwagi.

Wystarczy usiąść na prześcieradle w mokrym miejscu.

W całej Polsce strajki, Paw nie chodzi do Instytutu, wciąż jesteśmy razem.

Gdy byłam małą, mama mówiła, że dziecko się rodzi, gdy rodzice stale są razem, mocno chcą być razem.

Jesteśmy za mocno razem i ja już mam trochę dość, wolałabym, by wszystko wróciło do normy. Żeby Paw rankiem spieszył się do pracy (jest jeszcze studentem, ale ma już pół etatu), żebyśmy wstawali, pili kawę, myli się, a nie leżeli w łóżku godzinami i kochali się, a potem się bali i pytali, co będzie z tą Polską („oczywiście, że cię Kocham”), czy wróci stare, czy będzie nowe. A wszystko takie rozmamłane, leniwe, słońce już na dachu, my wciąż w pościeli, Kochamy się, przestajemy, znów się Kochamy, nudno, jałowo, jeszcze trochę wytrzymam, ale jak mam czuć miłość, gdy nie tęsknię, nie pragnę i tylko skrytomyślnie rozważam, jak tu się wyrwać z łóżka, by wreszcie zrobić coś konkretnego, pójść dokądś, załatwić coś, posunąć to życie do przodu, o kawałeczek.

Może dziecko? Tak, dziecko. Muszę mieć dziecko. W tym mdlącym chaosie dziecko oddzieli światło od ciemności, wody od lądów, zrobi nam porządek...

Już nie mogę rozkoszy... Już mi się nie chce. To jakiś rozkoszmar jest. Obrzucanie tortem - oto co mi się przypomina - odwieczne gagi filmowe z bitą śmietaną i kremem, ludzie, co rzucają w siebie ciastkami, otwierają usta, przecierają oczy, jest bardzo śmiesznie, ale nikt już nie ma apetytu...

Zwierzęcy powab kobiety powstrzymuje ponoć mężczyznę w jego poszukiwaniach duchowej doskonałości. Kobieta to tylko pomost, istota pośrednia pomiędzy siłami natury a kultury (czyli mężczyzną). Istota żeńska to chaos i brama diabła. Złodziejka nasienia.

A więc jestem ta obca, ta, która „wtargnęła i rozsadza więzi”...

Matka Pawia nienawidzi naszej miłości i postrzega ją jako grzęzawisko, w które zapada się jej syn. Karmiła go piersią do drugiego roku życia, w ścisłych porach, żaden dodatkowy płacz się nie przebił przez jej serce. A może i bolało ją, gdy tak krzyczał, aż mu żyły wychodziły na skronie, ale wierzyła księżce, a w księżce napisano: nie ulegać dziecku, bo dziecko to mały tyran, który urośnie na wielkiego tyrana. Stawała więc pod drzwiami, zza których dochodził krzyk nieprzerwany, ale nie była w stanie nacisnąć klamki, bo mądrzy ludzie przebadali, napisali, kazali, zawyrokowali, a ona przecież wierzy w ład, hierarchię, słowo drukowane, bo jest legalistką i chciałaby żyć w uporządkowanym świecie...

A potem, gdy podrósł, tak samo była konsekwentna. Stale powtarzała: Nie zostawia się nic na talerzu (nawet włochatego agrestu z kompotu...). I żadnych kolegów z ulicy, żadnych papierosów. Po szkole prosto do domu, tylko do piekarza po bułki, i zaraz do odrabiania lekcji. Jedyna wolność to nauka do późna, razem z matką, w jednym niemal pomieszczeniu, bo tylko drzwi szklane dzieliły ich biurka, ich łóżka, drzwi na stałe otwarte, tak że mogła chodzić za nim wzrokiem, zaglądać przez ramię, być nieustannie za, przed i obok, i obejmować go zmysłami, i rozpuszczać jego osobowość sokami swej jaźni...

Nie mogła już więcej kontrolować syna, gdy wprowadziłam się ja - katastrofa, upadek i śmierć życiowych planów. I to właśnie wtedy, gdy akurat się doczekała jego dorosłości, gdy już ukształtowała go sobie, gdy zaczęli czytywać te same książki, i chadzać razem do fil-harmonii. Mógłby jej wreszcie zastąpić nieudanego małżonka, być towarzyszem na tej ziemi bezludnej... Zabrałam bóstwo jej podległe, jej Horusa, Attisa, Ozyrysa, kapłanosynomeża...

I jakby tego było mało, wprędce uczyniłam go ojcem.

Dla Pawia matka to było stale płonące ognisko W jego duszy, oświecające i parzące zarazem, którego nie mógł nigdy w sobie zagasić, zdeptać. Już w wieku chłopięcym cokolwiek robił, stale się oglądał, czy ona nie nadchodzi, nie wyrasta gdzieś nagle tuż przy nim. Wieczorami nie mógł się oczywiście onanizować, bo przecież spała półtora metra od niego, na swym wąskim twardym tapczaniku, tuż za progiem szklanych drzwi, stale otwartych, a w dzień przechodziła przez jego pokój kilkanaście i więcej razy, bezszelestna jak duch.

Z czasem przywykł do tego, a może nawet sądził, że tak to wymyśliła natura, że sypialnia matki przylega do pokoju syna, bo to matka przecież daje życie i powinna być zawsze obok. Przywykł, jak się przywyka do lęku, który jest podstawowym składnikiem powietrza, tak jak tlen i azot. Drżał tylko, gdy czasami zaskrzypiała podłoga pod jej pantoflem, i czuł te igiełki strachu wbijające mu się w skronie, bo przecież ona zaraz pochyli się nad nim i sprawdzi, co on tam pisze, co czyta, jej greczny chłopczyk, jej mały partner, z którym będą sobie razem w życiu... Pojadą sobie razem do Paryża, jak tylko będzie większy, do Luwru, z bedekerem w rękę, a wrócą przez południe: Marsylia, Włochy, Wenecja, gondole z lampionami... Pawełek. Jej Pawełek. Co za szczęście, że nie wdał się w ojca. Bo ojciec zawiódł. Wprędce po-pękała na nim politura i ukazał się spod spodu materiał całkiem su-rowy, oporny na wygładzanie. Ale Pawełek, Paweł, to jest krew z jej krwi, kość z kości...

Jego pokój był pasem granicznym pomiędzy osobnymi sypialnia-mi rodziców, wałem ochronnym, gwarancją bezpieczeństwa.

Teraz panuję tam ja, OBCA KOBIETA.

Po sierpniu (po decydującym Sierpniu) wszyscy wrócili do pracy. Ja pojechałam do Sopotu. Miałam we wrześniu zaległy egzamin z romantyzmu. Zdałam. Lato kończyło się piękną pogodą, prawdziwym teatrem kolorów. Patrzyłam w niebo, które było coraz cieńsze i cieńsze, ale wciąż błękitne jak japońska porcelana, i miałam nadzieję.

I byłam przy nadziei!

Będę miała dziecko! Ach, wrócę do domu męża i zacznę się prawdziwe życie. Bardzo ważne życie. Polska się jakoś poskłada. Na to wygląda. A ja mam mnóstwo siły i nie będę się już bać. Przecież matki niczego się nie boją, z natury są odważne. Tego mi trzeba.

Jeszcze tylko pożegniam się z morzem. Jeszcze tylko zadzwonię do Pawia i mu powiem, że już na pewno jestem w ciąży...

Powiedziałam.

On był wściekły, krzyczał.

Pożegnałam się z morzem.

Na plaży spotkałam Maczka.

Pożegnałam pożegnanie...

Przybywa ból i niweczy nasze „ja”. Pozbawia nas imienia i nazwiska. Wspomnień i marzeń. Planów na przyszłość. I przejmuje dowodzenie nad „porzuconą jednostką”. Lekarze nadają nam nowe imiona: tamtej jest Cysta, tej Anemia. Ona jest Podwójna Macica, ja jestem Cięża Zagrożona. A tamta to Aborcja. Wszystkie jesteśmy z krainy Septyka.

Jechałam autobusem. Trzymałam się uchwyty. Autobus gwałtownie zahamował. Szarpnięte ramię wyskoczyło ze stawu (znów). Litościwy współpasażer wyprowadził mnie z pojazdu i posadził na kubie na śmieci w

pobliskim sklepie mięsnym. Zadzwoił stamtąd na pogotowie. „Tylko szybko, bo kobieta w ciąży jest i mdleje”.

W sklepie nie było mięsa, ale był telefon. Czarny ebonitowy telefon na półce z białych kafli. Ludzie stali. I patrzyli na telefon. Przyjechała karetka i zawiozła mnie na Krakowską. Nastawili mi staw barkowy. Potem na Hirszfelda - na położnictwo.

Fotelem na kółkach wjechałam na salę porodową. Ujrzałam cztery łóżka oddzielone od siebie parawanami. Cztery głowy czterech kobiet. Cztery wysokie brzuchy ponad głowami. I zakrwawione prześcieradła.

Na krótką chwilę ucichł ten zgiełk bólu, który od paru godzin trwał w moim ciele. Patrzyłam na scenę mojego widzenia. Teatr grozy, teatr absurdu. Nierzeczywistość.

Piąty boks jest pusty. To dla mnie.

Pielęgniarz pchnął mój fotel w kierunku postaci w białym kitlu siedzącej przy biurku, sam pozostając na progu.

Nazwisko, imiona, z domu, imię ojca, imię matki, data urodzenia, zawód, adres, samotność, strach, nieodwracalność, noc, koniec.

Leżałam na wózku na ciemnym, szpitalnym korytarzu, przykryta prześcieradłem, wprost na ceratowym obiciu.

Krew płynęła ze mnie jak z przechylonego wiadra.

Dygotałam, dzwoniłam na trwogę.

Mój właśnie urodzony syn krążył gdzieś daleko, jak ukradziona planeta...

Była szósta rano. Byłam lodowata. Pusta. Otwarta i pusta.

Po stworzeniu świata nie zostaje nic.

Maleńkie dziecko to wielki Reduktor. Mam teraz tylko ręce i serce (do roboty i do kochania). A w głowie - jak w spalonej bibliotece...

Cała się oddaję gospodarstwu domowemu, bo Polska to państwo bardzo wymagające, gdzie nic nie dzieje się po prostu i nic nie jest na swoim miejscu. By przeżyć w tym kraju, trzeba wszystkie swe myśli, siły i czas poświęcić strategii przetrwania, całą swą uwagę skierować na organizację podstawowego bytu.

Teściom udało się wczoraj kupić świnie od chłopca, z czego my wzięliśmy pół. W związku z tym kroiałam i kroiałam martwe zwierzę na części, cząstki i cząsteczki (raz po raz odskakując ku swemu dziecku, by podtrzymać je przy życiu, karmiąc i przewijając), po czym wszystko pakowałam do zamrażarki, nadając kolejnym fragmentom stosowne tytuły: „Łopatką”, „Szynek”, „Schab”, „Nóżki”, a także: „Na gulasz” i „Dla psa”. „Głowizny” nie chciałam w ogóle oglądać, zostawiłam ją Babce Meir. (Matkę Pawia przechrzciałam w myślach na Babkę Meir, bo ma teraz wnuka i powinna być stara.) Na koniec spłynął na mnie spokój: dom zasobny, to dom bezpieczny.

A tymczasem w całej ojczyźnie w sklepach puste półki. Cieszymy się, że w tej Nocy Cywilizacyjnej, jaka w tym kraju nastąpiła, rankiem jeszcze dzień biały dowożą.

Usiadłam wreszcie. Nenek Śpi. Żeberka upieczone.

Zupa ugotowana.

Siedzę i piję herbatę z galaretką jabłkową, co powiększa tylko ból głowy. Od rana boli mnie głowa. Kawa by pomogła. Ale kawy nie ma. I nie będzie. Kawy, jak świnie, polski chłop ze wsi nie dostarczy, bo mu nie rośnie. A marynarze, co pływają do Hamburga, mają do Wrocławia za

daleko, zresztą już w Gdyni na hali targowej wszystko im ludzie wydrapią...

Dwa tygodnie temu udało mi się dostać 10 deko w sklepie „Pod dębem”. Lubię tam chodzić, bo tam nigdy nie ma awantur, ludzie stoją karnie i biorą według rozdzielnika, nikt się nie ustawia dwa razy, bo się wszyscy znają. Za to dopuszcza się po dwie osoby z jednej rodziny. Tylko że ja na Pawia nie mam co liczyć, bo go stale nie ma, a w tych chwilach, gdy przydałby się najbardziej, nie ma go tym bardziej— A teściowie? Z nimi nie mam co wchodzić w kawowy interes, bo piją kawę trzy razy dziennie, czyli trzy razy po dwie łyżeczki razy dwie osoby to się równa dwanaście łyżeczek, czyli sześć deko, a więc paczka wystarcza na półtorej doby, to ja bardzo dziękuję, niech się sami ze sobą dzielą.

Dziś po mojej kawie nie pozostał już nawet cień zapachu w szafce.

Galaretką jabłkowa. Zrobiła ją Babka Meir. Bo ja jeszcze jesienią nie byłam za bardzo dopuszczana do kuchni. Dopiero jako matka wnuka otrzymałam pełne prawo poruszania się po tym sanktuarium.

Galaretkę dostałam, ale miała być oczywiście tylko dla Nenka, „dla Kochasia”. Niestety muszę i ja skorzystać: oryginalny aromat herbaty „Ulung”, unoszący się nad kubeczkiem (bez ucha) to kompozycja fenolu i mydlin. Bez galaretki z jabłek czy porzeczek ani rusz.

„Kochaś” śpi i nic nie widzi...

Zapalę papierosa, może to przytłumi ból głowy.

O, Boże, przecież pralka wyprała już ze dwie godziny temu!

Powiesić pieluchy. Nastawić pościel. I jeszcze podłoga do umycia.

Już ze mnie całkiem doświadczona matka.

Potrafę wyobrazić niemowlę na wszystkie strony, nie połamać, nie uszkodzić, od góry nakarmić, od dołu poobcierać, termometr w pupę włożyć, nos przedmuchać gruszką, wypędzłować w środku buzię, paznokietków nie poobcinać razem z palcami, chociaż do tej akurat czynności to by trzeba lupę w zębach trzymać! Gdy Nenek się dławi, a dławi się trzy razy dziennie, to go błyskawicznie do góry nogami przekręcam i wytrzepuję mleko z niewłaściwej dziurki.

To się nazywa instynkt macierzyński.

Cywilizacyjnie nie zaburzony.

Rzadko nie wiem co robić i niemal od pierwszego tygodnia jego życia nie boję się swego dziecka!

Wczoraj zawekowałam dwanaście słoików fasolki szparagowej.

Dziś smażyłam konfitury. Naprawdę! Gdy pomyślę, że pierwszy raz w życiu jadłam prawdziwe konfitury dopiero przed rokiem, tu, w domu męża... Bo moja mama jest z domu dziecka, a ojciec z bursy; pojęcia nie mieli więc, jedząc dżem lub marmoladę „Społem”, o takich kulinarnych subtelnościach. A tymczasem ci tutaj cały czas celebrowali jakość życia, jak nie w PRL-u. No i teraz żyję w takim domu, w którym wszyscy (prócz mnie) potrafią zagrać na fortepianie Fur Elise Beethovena i Marsz turecki Mozarta, gdzie na podwieczorek jada się konfiturę poziomkową i tarte gruszkową, dwa razy w sezonie przychodzi „człowiek do ogrodu”, a przed zimą - „człowiek do węgla”...

Teraz oto los dał mi szansę: przebudzona jako kobieta, opasana j fartuchem, mieszam w wielkim płaskim garze wielką drewnianą łyką - złocistą rozkoszną maź.

Konfitura z moreli.

Ależ tam jest z półtora kilo cukru!

Mieszam i mieszam, a ona gęstnieje i gęstnieje i szkli się pośród słodkich oparów.

Na szafce stoi rząd wyparzonych słoiczków oraz taśma-pryszczatka (poprawnie zwana gęsią skórką), bo w gospodarstwie mej teściowej wszystko jest podpisane i opatrzone datą. Chcę się wszystkiego nauczyć.

Też chcę mieć prawdziwy dom. Z tradycjami.

Dzisiejszej nocy, karmiąc Nenka, zasnęłam bezwiednie na siedząco, a on, okutany w kocyk, zsunął się z moich kolan na podłogę. Ocknęłam się przerażona i on też, aż mu się strużka mleka uląła z buzi.

W nocy wstaję co godzina, bo Nenek wciąż płacze. Biegnę do niego na bosaka. Albo pić, albo jeść, albo smoczek, albo pielucha.

Rano wstaję nieprzytomna i nie wiem, za co się chwycić najpierw: czy zęby myć, czy przewijać dziecko, czy kaszkę grzać, czy kawę parzyć (o ile właśnie jest na stanie).

Głos Nenka działa na mnie podprogowo. Jeszcze zanim on nabierze porządnie powietrza w płuca, ja już jestem na nogach i biegnę, jakby to nie płacz był, ale krew, którą trzeba błyskawicznie zatamować.

Wczoraj rozkrzyczał się akurat, gdy się z Pawiem kochaliśmy. Chciałam się natychmiast zerwać, ale Paw jeszcze mocniej przydusił mnie do tapczanu. Prawie nie mogłam oddychać. Czułam, z jaką nienawiścią robi dalej to, co robił, a co miało być miłością. Jak by mnie bić chciał. Wyrywam się, jadę do stolicy, bo dają mi nagrodę za wiersze. Za moje dawne wiersze. Te wiersze gdzieś daleko na mnie pracowały, gdy tymczasem ja od dawna nie pracuję już na żadne wiersze.

Przebrałam się wżyciu za kogoś całkiem innego, obracam się w zupełnie innych dekoracjach. Gram rolę w przedstawieniu pod tytułem, na przykład, Konfitura z estrogenów.

Tymczasem coś gdzieś się dalej kontynuuje, bez mej wiedzy i woli, i dostaję wiadomość, wezwanie, na inny poziom istnienia...

Reżyser R, znajomy z poprzednich czasów, obiecał, że odbierze mnie z dworca i dowiezie na uroczystości, bym nie błąkała się sama po Warszawie, bo przecież mam mało czasu, bo muszę prędko do małego dziecka wracać.

Reżyser R ma rudego psa i ten pies był częściowo rozwłóczony po wnętrzu auta, którym jechałam po odbiór nagrody przez centrum stolicy. Auto reżysera, niebieski mały fiat, wyglądało w środku nie inaczej niż psia buda: stare koce oblepione sierścią wyścielały siedzenia dobrze już powgniatane; na podłodze szmaty, miska i plastikowe butelki do obgryzania, szyby mętne, jakby ów pies jęzorem przez okna wyglądał. No i ten odór kennelowy, rozpierający ciasną przestrzeń, odór tak mocno obecny, że wydawało się, iż posiada osobowość i na dodatek zajmuje wszystkie miejsca w samochodzie.

Jadąc ze mną do Pałacu Staszica (pies został w domu), reżyser R wymusił pierwszeństwo na skrzyżowaniu Pięknej i Kruczej, w wyniku czego gwałtownie wytraciliśmy prędkość i to z takim hałasem, jakbyśmy się otarli o podwodną skałę, po czym z przeraźliwym piskiem hamulców zatrzymaliśmy się na środku ulicy. Drzwiczki od strony pasażera (czyli mojej) otwarły się z impetem, jak w zegarze z kukułką, i tak już zostały.

Jak zawsze w takich razach najpierw są „trzy minuty ciszy”, no, powiedzmy 45 sekund, na oprzytomnienie tych, co „zobaczyli, a nie

uwierzyli", po czym do naszych nozdrzy dotarł charakterystyczny swąd palonej gumy, a do uszu - dziki wrzask kierowcy białej syreny. Tenże przyskoczył do nas (od strony pasażera, czyli mojej) i „najgorsze wyrazy wykrzykiwał po kilka razy”:

- Cojest-dokurwynędzy! Jeździć-nieumiesz-niechcie-szlag! Po-
świeżym-lakierzeprzejechał-kurwajęgomać! Pojebie-co-tak-sie-dzisz-
wtymrumplu! Wychodź-dokurwynędzy!

Reżyser R, co już miał pierwszy siwy włos na swojej skroni, nie na darmo był ulubieńcem miejskiego ludu oraz inteligencji pracującej razem wziętych, i nie na darmo wykonywał swój zawód z takim sukcesem społecznym, że na jego film Rejs ludzie się na nocne emisje po domach umawiali. Począł jeszcze troszeczkę, siedząc na swoim miejscu, aż syreniarz wypieni się do końca, następnie wysiadł z auta i - przejął dowodzenie.

Przemówił tym swoim szepczącym, lekko rwanym głosem trenera piłkarskiego, co uspokaja zdenerwowanego zawodnika. W trakcie przemowy poklepywał syreniarza po ramieniu, nawet na krótko zmniejszył dystans, jakby się zwierzał z bólu zębów, po czym odchylił się i wyciągnął portfel. I to był ten gest, który przesądził o zwrocie akcji. Syreniarz „grał” teraz ciszej i z widoczną ulgą, bo w końcu się okazało, że chociaż fiat jest złom, to jednak wypłacalny, i się obejdzie bez milicji.

Pożegnali się męskim uściskiem, z kulturą, w którą tamten wskoczył z ochotą, jak w kostium, który widział na szkolnym przedstawieniu. Za nimi stały oba auta w półobrocie, z otwartymi drzwiami, jak w tańcu, w ukłonie zatrzymane. Patrzyłam na tę scenę jak urzeczona i nagle przypomniałam sobie, że siedzę w samochodzie reżysera R, który miał

wystawiać moją sztukę w Warszawie (napisałam sztukę, jeszcze w czasach przedmażeńskich, a reżyser się nią wstępnie zainteresował), ale oddał ją innemu, mniej sławnemu, na prowincję, co się właśnie niedawno okazało, za to po starej znajomości i w ramach rekompensaty miał mnie odwieźć do Pałacu Staszica, gdzie w Sali Lustrzanej, za pięć minut, mam odebrać ważną nagrodę za całokształt początków twórczości...

Poranek 13 grudnia osiemdziesiątego pierwszego. W naszym domu - lodówka. Nie ma koks - bo nie ma na koks. A przydziałowy prawie się skończył. Pali się ćwiercią porcji. Na parterze 13 stopni. Na górze trochę cieplej, o ile 15 stopni to jest jakieś ciepło.

Zasmarkany Nenek w ceglastoczerwonym dresie raczkuje po podłodze. Grzeje go chyba tylko kolor ubranka. Czuję, jakie ma lodowate rączki, gdy postukują jak szklane breloczki na mosiężnej blasze przed wystygłym kominkiem. My, dorośli, siedzimy na poniemieckich fotelach w blade różyczki, wokół poniemieckiego stolika z intarsjowanym blatem i nie pijemy kawy (nie ma). Niczego nie jemy. Siedzimy i poddajemy się narastającej grozie. Za oknem siny, mroźny dzień z całkiem nowego kalendarza. Poddajemy się narastającej grozie, nagle przez nią zjednoczeni. Babka Meir, Huczny Dziadzio, Paw i ja z dzieckiem. Krzyżowy ogień naszych codziennych gwałtownych emocji znikł (Stwórca potrafi odwoływać żywioły w sekundę). Siedzimy cisi, ze zdławionym gardłem, zgodni w strachu, z poczuciem, że wraca po nas: HISTORIA WRACA PO NAS.

- Ten cholerny bałagan. Ktoś wreszcie coś z tym zrobił (to Huczny Dziadzio).

Cisza, łapczywa, natychmiast zjada całe to zdanie.

- To wszystko musi się źle skończyć (Babka M.).

Druga cisza. Słowa znikają natychmiast. Tego ranka wszelkie słowa natychmiast wsiąkają w nicość. A ja nie wiadomo dlaczego zobaczyłam nagle w wyobraźni czerwoną rękawiczkę toczącą się po stoku lodowca, w silnym wietrze.

- Ruscy się w końcu wpięprzą (Paw).

I znów pauza. Tylko Nenek stuka w blachę kolanami i słuchamy tego stukania.

- To przez te strajki. Wszystko przez te strajki. Jak od tego miało być mięso w sklepach... (to ja, Hańcia). Wałęsa rządził, rząd się wałęsał...

W telewizorze „Smaragd” jeszcze raz komunikat o narastającej anarchii i wrogich siłach. Diabeł w mundurze, tak go widzimy, z twarzą jak maska z teatru kabuki (sami jesteśmy jak sparaliżowani) powtarza wątlym głosem, że w nocy podmienił nam kraj na inny. A raczej wyciągnął go spod nas, gdy spaliśmy, jak materac. Więc teraz leżymy na gołych sprężynach.

- Ruscy się w końcu wpięprzą (Paw powtarza swoje).

Ruscy już w tym domu byli. Wiem o tym z opowieści Hucznego Dziadzia. Rozpalili ognisko i pili spirytus. Za fortepianem do dziś jest spalony parkiet. W czterdziestym piątym ostrzelali zewnętrzne tynki i wpadli do środka. Szukali esesmanów. Bo to esesmańska willa. Dom, zbudowany na studni, przez Sturmbahnfuhrera Halschkego (studnia w piwnicy to bardzo niedobrze dla mieszkańców).

Jego brat, też z SS, miał tuż obok, przy Salamanderweg, identyczną willę z tarasem od ogrodu i kopertowym dachem. „Nasz” Halschke był lekarzem wojskowym ożenionym z piękną Żydówką. Edith była delikatna

jak kwiat zimowitu. I trująca - mogła wygubić całą rodzinę. Chociaż miała fiołkowe oczy. Edith, „ha” nieme na końcu. Na wszelki wypadek nie wychodziła dalej niż do ogrodu. Tym bardziej, że córeczki miały oczy ciemne. Lotta i Sarah. Niestety.

W ostatniej chwili wszystko się wydało. I „nasz” Halschke poszedł za karę na front wschodni. Skąd nigdy nie wrócił. Drugi brat zginął tu, w Festung Breslau, na lotnisku, gdzie dziś jest plac Grunwaldzki. Miał normalną żonę i stuprocentowe dzieci, które ewakuowały się w optymalnym momencie.

Po zdobyciu miasta Rosjanie zajęli pobliskie koszary i małymi grupkami polowali na nieliczne pozostałe kobiety z okolicy. I inne dobra. Do Salamanderweg mieli niedaleko. Raz wpadli do „naszego” domu i zamknęli go od środka. Walili w klawisze fortepianu butelkami, wzniesając upiorne dźwięki. Odstrzelili po kolei trzy klosze żyrandola w jadalni. Spalili podłogę na werandzie. Stłukli szybki w nadstawce kredensu. Zgwałcili dwunastoletnią Sarę, a potem wrzucili ją do studni, która jest w piwnicy (studnia w piwnicy to bardzo niedobrze dla mieszkańców). Edith z młodszą dziewczynką wyskoczyły z balkonu na piętrze, prosto w to miejsce, gdzie dziś rosną krzaki forsycji. Uciekały przez ogrody. Potem dalej i dalej. Aż się zatrzymały gdzieś w Argentynie czy Brazylii.

Są cuda na świecie...

- Ile razy można słuchać tego komunikatu? To nam nic nie da.

Wyłączmy ten telewizor, po prostu.

- Jest zupa z wczoraj.

- Temu dziecku należałoby włożyć rękawiczki, jeśli ma się bawić-

na blasze. Przecież jest zimno nie do wytrzymania.

- Słuchaj, trzeba napalić w kominku. Trzeba porąbać pieńki na szczapy.

- A ja wam mówię, że Ruscy się w końcu wpieprzą, to jest więcej niż pewne. I wtedy się dopiero zacznie.

- Przestań.

Jedziemy z Pawiem do „mat-fiz-chemu”, czyn do Wiesiów. On - fizyk i matematyk, ona - chemiczka. To taki typ ludzi, którzy dają psu na imię Dupek, synowi Barabasz, i uważają obie te rzeczy za zabawne. Tak właśnie zrobili. Cieszę się, że w ogóle gdziekolwiek razem idziemy. Nenek został z Babką M. i butlą kaszy kukurydzianej.

Wyszliśmy i idziemy. Idziemy, idziemy. Już jesteśmy na rogu. Skręcamy w lewo, ja po zewnętrznej, z dużą prędkością kątową. Wtedy to Paw może lekko zwolnić i ma okazję rzucić na mnie okiem. I twarz mu tężeje, czuję to bardziej niż widzę. Zatrzymujemy się.

- Co ty tam masz? - Paw dotyka palcem swej brwi. Nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi.

- Jak to, co mam?

- No co ty sobie zrobiłaś z brwiami?

- Nic sobie nie zrobiłam, to makijaż, biały cień.

- I ty myślisz, że tak pójdziesz? Ze mną?

- Przecież to jest zwykły cień do powiek, o co ci chodzi?

- Nie, kochana, tak nie będziesz wyglądała, zmas to.

I Paw wyciąga rękę w moim kierunku. Ja się odchylam. Czy powinnam obrócić to w żart („Może mi kupisz kwef pod choinkę?”), czy

po prostu iść dalej do tramwaju? Albo przeciwnie, obrazić się i odejść, nie na zawsze, ale do domu?

I nagle czuję, że niepewność mija mi i ogarnia mnie kompletny spokój. Przestaję w ogóle widzieć Pawia. Odłączam się od niego.

Wchodzę do sklepu, który jest w tym miejscu od czasów przedwojennych.

Kupuję paczkę miękkich marlboro. Wychodzę ze sklepu i siadam na murku, który jest w tym miejscu od czasów przedwojennych. Zapalam papierosa. Zaciągam się dymem.

I mglistym niebem nade mną.

Ech, nie ma pogody. Nie ma. Rano padało. Asfalt na podjeździe ; jeszcze mokry pod nogami kapsle i pety.

Ludzie lubią tu siadać.

Jakiś kot na mnie patrzy. „Kot to wolny człowiek”, myślę bez sensu. Jest czarny jak smoła. I patrzy na mnie z taką uwagą. Jakby sobie szukał czarownicy?

Bardzo proszę, ramię wolne, wskakuj.

Kątem oka widzę, że Paw się zbliża.

Staje nade mną i milczy.

Tymczasem kot zeskakuje z murka i znika w krzakach.

Paw milczy pełnym tekstem. Ale nie zamierzam go rozumieć.

Wspinam się wzrokiem po rynnie domu ze sklepem na parterze. Mówią o nim „sklep pod dębem”, mimo że dąb ścięto piętnaście lat temu. Po rynnie w górę i w lewo brzegiem dachu, samiutkim brzeżkiem, spaceruję wzrokiem. Aż do końca dachu, tam topola, włoska topola,

wysoka i szczupła. Nerwowe rozedrgane listeczki. Chciałyby uciec, zerwać się i uciec. Ale każdy na nitce, na łądyżce uwięziony.

Biegną, biegną, ale wciąż w miejscu, i tak do jesieni. Odpadną, gdy już będą suche, pożółkłe.

Gaszę papierosa na murku. Wstaję i wyrzucam niedopałek do kosza, który stoi obok schodków. Paw chrząka. Mijam go obojętnie, kierując się w stronę pętli tramwajowej. On rusza za mną. Wygrałam. Jedziemy do „mat-fiz-chemu”.

Kiedyś na długo przed Ślubem Paw się przyznał, że on nigdy nie marzy. Po prostu nie ma żadnych marzeń. Że też tak istotną informację puściłam mimo uszu!

Ależ nie, przeciwnie, informację tę wchłonęłam całym ciałem, jak spragniona gąbka. Przecież ja o kimś takim marzyłam! To miała być moja gwarancja spokoju, bezpieczeństwa i życiowego porządku.

Nie artysta żaden, broń Boże szalony poeta, ale umysł ścisły, naukowe podejście do świata, najlepiej młody uczony, który zamiast mrzonek ma konkretne plany.

I zainwestowałam w tę miłość. W Pawia.

Młodość jest jak Wyrok, od którego można odwołać się dopiero po latach.

Może powinnam, zamiast samej wysilać się na naiwne definicje szczęścia, skorzystać z tego, CO powiedział Hlixley, że szczęście podobne jest do koksu - otrzymuje się je w formie produktu ubocznego, podczas wytwarzania innego fabrykatu.

Tak. Robię podstawowy błąd w głównym procesie życia. Nie tylko nie uzyskuję upragnionego produktu ubocznego, ale okazuje się, że i ten

główny to są tylko zwoje zmarnowanego czasu, szarobiałe zwoje, miękkie, ale kłujące jak tak zwana szklana wata.

Miłość, miłość. Dziewczyny wdychają jej zapach i na wdechu tym trwają upojone, jak we śnie. On i ja - myślą - przeciwko całemu światu. Matki, ojcowie - z drogi! Bo miłość idzie!

A wydech to co?

Fizjologia ma żelazne prawa. I małżeństwo okazuje się tym jednym, wielkim, monstrualnym - wydechem! Nieczysta rzecz i skład chemiczny mniej szlachetny...

Przerażeni i Szczęśliwi. Czasami człowiek, który ma orgazm, wyje. Z rozkoszy. Jak wiadomo, podczas tej intymnej sytuacji z gardeł pary ludzkiej wydobywa się cała gama rozmaitych dźwięków, od przydechów i westchnień, przez ćwierkanie i piski, kwiki, pomruki, wołania, okrzyki, aż po ogromne pierwotne wycie, nieokiełznane, bezwstydne, nagie, samotne jak księżyc i dalekie jak gwiazdy. Wycie do samego dna istnienia. Do jego prapoczątku, do pierwszego ogniska, które wydobył z ziemi Gromowładny, i w chybotliwe duszyczki praludzi wrzucił pierwsze ziarno szlachetniejszego uczucia. Tańczyli oni wo-kół ognia przerażeni i szczęśliwi, wyjąc, lecz i coraz bardziej śpiewając, pośród grozy brali w siebie tę niepojętą nadzieję, jaką niósł ogień. Z tego chaosu emocji urodziła się z czasem liryka, cywilizowany śpiew godowy.

Wycie i śpiew. Przerażenie i miłość.

Rozkosz to płonące drzwi donikąd.

Księżna Grace umarła. Umarł też ksiądz Klimuszko, który wyleczył mnie kiedyś z wrzodu żołądka i był jasnowidzem. Umarł więc ktoś, kto

jako jedyny na świecie znał datę mojej śmierci (oczywiście mi jej nie wyjawiał). Skoro go nie ma, jestem na powrót nieśmiertelna!

A na świecie - kocioł, wciąż się biją, w skali globalnej wojny nie ustają. W Polsce półwojna, stan wyjątkowy, i stan półgłodowy, bo nie ma czego i za co kupić.

Wczoraj trafiłam konserwy. Ta, którą otwarałam zaraz po przyjeździe do domu, zasyczała złowrogo i owionął mnie odór padliny dobrze wysaletrowanej.

Mam poparzone palce. Gaz na kuchence nie chciał się zapalić, a potem nagle wybuchł, gdy poprawiałam fajerkę. Skóra pod wpływem ognia tak bardzo się zmienia... Czy będzie jakaś wojna? Stale się boję. Żeby cały ten strach opowiedzieć, musiałabym zacząć tak naiwnie, że aż niepiśmiennie. To zapewne najstarszy strach na świecie. Boją się siebie nawzajem zwierzęta, a co dopiero ludzie, którzy wymyślili setki rodzajów narzędzi zbrodni.

Na przykład miotacze ognia. Niemcy we wsi mojej matki w czterdziestym trzecim spalili nowiutki dom jej rodziców, w pięć minut.

Moja babcia (Marynia) miała wtedy tylko dwadzieścia siedem lat, i była w kolejnej ciąży. Spalili dom i sklep, bo dziadek (Józek) nie miał ziemi tylko sklep.

Dziadkowie, wujowie, wujenki, ciotki, kuzyni, sąsiedzi, wszyscy z tej wsi, którzy na starych zdjęciach stoją albo leżą na trawie (uśmiechając się do fotografa, czyli do przyszłych pokoleń, a więc do mnie), i których mam w albumie z rzeźbionymi lipowymi okładkami, wszyscy oni zginęli jednego poranka, spłonęli żywcem w jednej chwili, chwili tak długiej, że wyszła poza czas i trwa do teraz w jakimś innym wymiarze. Ich krzyki

tonęły w falach huczącego ognia, ogień łączył się z ogniem, krzyk z hukiem, i to wszystko nie może się skończyć, chociaż już przecież ich życie się skończyło.

Ale w albumie jest spokojnie, wszyscy moi krewni się uśmiechają i z ufnością patrzą w przyszłość. Którą, tak się złożyło, jestem akurat ja, bo album trafił do mojego domu.

Lubię ich twarze, kilka z nich podobnych jest do mojej, bo to przecież moi przodkowie. (Babka Marynia jest tam niewiele starsza ode mnie, dotyka węzełka chustki pod brodą, gestem, który zdradza zażenowanie. Ja też czuję się niewygodnie, gdy mi robią zdjęcia. I ja też bardzo lubię chustki; nie używam ich, ale mam pełną szufladę rozmaitych jedwabnych apaszek i szaliczków; lubię je brać do ręki i głaskać...)

Najbardziej podobna jestem do ciotki Władki, tej, co na fotografii siedzi sobie na ławeczce przed sklepikiem. Najlepiej to podobieństwo widać, gdy się przyłoży lupę: jest taka podobna do mnie, że to aż nieprzyjemne. Bo ciotka Władka też oczywiście zginęła. Gdy na nią patrzę, czuję się tak, jakbym miała w domu własne zdjęcie nagrobne.

Kiedy się zaczynam bać wojny, to mój sprytny, dobrze poinformowany mózg wyświetla mi w głowie i nakłada na karty albumu inne obrazy: mężczyzn i kobiet, którzy stoją albo leżą na trawie, ale spaleni na spalonej...

I wtedy sielska cisza albumu staje się napiętą niemotą, a to już całkiem coś innego.

„Bandy wyrostków”, telewizja wciąż teraz opowiada o „bandach wyrostków”, którzy anarchizują państwo. Jakby jakaś zgraja dzieciaków mogła zagrażać Polsce... Jakby nie wiało grozą od zakratowanych

milicyjnych suk, wojskowych transporterów opancerzonych w mieście, od opuszczonych przyłbic zomowców, od nagich sklepów, od opustoszałych ulic o zmierzchu.

Spłoną, spłoną moje zeszyty... Tak sobie wyobrażam koniec mojego życia, bo przecież zapisuję je na kartkach dzień po dniu. Gdy one znikną, ja zniknę także.

Jestem dorosła, a brak mi elementarnego poczucia bezpieczeństwa. W strachu wszyscy jesteśmy jak dzieci.

Ja flądra. On furia. Mariaż to czy potwarz? Ze świata, z pracy do domu wpada, w drzwiach staje, wzrokiem wściekłym mieszkanie omiata, a tu na progu akurat - nocnik z siuškami; Nenek odmaszerował na czworakach, wołając: Ne, ne, ne, ne... a ja za nim, by ze schodów nie spadł, by mu portki podciągnąć, by mu pić dać.

Nocnik pozostał zapomniany, żółty nocnik na progu. A teraz Paw kopie go swoją długą nogą, nocnik przelatuje przez pokój, zawartość wyfruwa, na ułamek sekundy zyskując w powietrzu nieregularną, fraktalną formę, po czym - chlap na dywan. Pada i przekleństwo.

Wiadro z pieluchami (szło właśnie do łazienki, ale akurat wtedy zadzwonił telefon), w tej chwili wiadro z pieluchami wylatuje oknem z pierwszego piętra w dół. Nie rozbija się, bo pod oknami rośnie trawa gruba jak materac, „niedźwiedzia skóra”, a na niej śnieg. Wiadro jest niebieskie z białym uchwytem. Kupione okazji. Pokrywka została w łazience oparta o pralkę. Zdaje się, że szłam nastawić pranie. Szłam, ale zadzwonił telefon i usiadłam przy telefonie. Kątem oka widzę kostkę szarego mydła „Jeleń” (czy on je widzi?) na parapecie. Jest „nie na swoim miejscu”. Ale co ja

miałam z nim zrobić? Po co je tu przyniosłam? Pustka w głowie. Muszę się na chwilę położyć.

Natychmiast. Tylko żeby Nenek nie poszedł na schody. Na szczęście siedzi w kącie jak sparaliżowany. Kładę się. Stękam. Zamykam oczy. Na chwilę. Zapalenie miedniczek nerkowych, czy kłębuszków (wciąż mi się myli), przekłada się wprost na zapalenie całego gospodarstwa domowego. Wtedy nie ogarniam niczego. Wszystko stoi na głowie. Plecy dźwigają nogi, nogi się uginają i trzeba co chwilę kłaść się na tapczan, żeby wróciło życie. Leżę jak marionetka, której puściły sznurki. W tym czasie przewracają się dekoracje w teatrze. I nadchodzi Wilk...

Tabletka przeciwbólowa jest lepsza niż matka...

Babka Meir jest wstrętna i nie-wprost. Gdybyż stanęła naprzeciw mnie, popatrzyła oczami i powiedziała słowami, o co jej chodzi!

Ale nie, ona rozmawia ze mną plecami, patrząc w okno.

Przed chwilą zapytałam ją niewinnie, bo naprawdę nie wiem:

- Czy to jest mamy śmietana, ta na szafce, czy moja?

- Nie, nie moja.

- No, ale moja też nie, bo ja swoją wlewałam do innego słoika.

- Tamten słoik był mój.

- Jak to... był mój, po zielonym groszku.

- To był mój, do ziół.

- Ale przecież on był po zielonym groszku.

- Ja mam pełną piwnicę takich słoików!

- Tak, ale dwa były moje, po groszku.

I wtedy to ona już się odwraca przodem do mnie i woła cienkim, rwącym się głosem:

- Cała piwnica pełna jest moich zapraw, to się już nie liczy, tak?

Tylko ten jeden słoik!

No i masz babo placek... Afera z groszku. A ten słoik naprawdę akurat ze sklepu pochodził, nie z piwnicy, więc pretensja musi być starożytniejsza i pojawiła się przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Wczoraj lodowatym tonem Babka Meir powiedziała:

- W tym domu się nie trzaska drzwiami i proszę, żebyś to respektowała.

Przysięgam, że to przeciąg wyrwał mi klamkę z ręki, no ale ten ton odebrał mi mowę. Poczulałam się znów jak na lekcji matematyki w podstawówce, gdy pani Piąstka o wapiennej twarzy, w której poruszały się tylko cienkie wargi, powtarzała po moim występie przy tablicy nosowym głosem, grasejując: „To absuhhd! To nonsens! Mahhsz na miejsce! Phhoszę się zacząć uczyć whheszcie! Co za klasa!\".

Spaliłam Sobie rzęsy. I trochę włosów z grzywki. Junkers w łazience szwankuje. Wieczny płomyk stale gaśnie, więc zapalam zapałki, kładę je pod bimetalem i przesuwam wajchę. No i za którymś razem wybuchło. Przez ułamek sekundy byłam - dziewczyną o płonących rzęsach. Musiało tak być, bo rzęs nie ma.

Umarł Artur Rubinstein i wujek Benek z Nowej Rudy, który był ginekologiem. Ciotka telefonowała rano z wiadomością, od Rubinsteinów nikt nie dzwonił...

Pawiu uszczelnia okna (rychło w czas, 21 grudnia), wpuszczając do domu lodowate podmuchy. Nenka ukryłam w drugim pokoju, ale słysząc, jak co chwila powrzaskuje od tej niesprawiedliwej samotności. Ja siedzę pośród pasków gąbki i innych śmieci.

- Co robisz? - pyta Paw znudzony robotą.

- Piszę.

- Co piszesz?

- Dziennik.

- Podziwiam cię, moja droga, ja bym w takich warunkach potrafił napisać najwyżej testament.

Wczoraj na placu Hirszfelda spotkałam Marylkę Zmarz i Gonię Keczut. Marylka robi filmy dokumentalne, a Gonia uczy świrnięte dzieci. Ja studiuję zaocznie na ostatnim roku, dojeżdżając do Gdańska na seminaria, bo mam małe dziecko. Jezu, jak daleko! - wołają Marylka z Gonią. No ale za to do profesor Janion dojeżdżam! A, no to dobrze. Kamyk, w którym się kochałam w liceum, podobno robi doktorat. Co? Kochałaś się w Kamyku? Jak mogłaś! On jest taki nuuuudnyyy! A dla mnie był fascynujący. Od organelli komórkowych przez wiwisekcje żab po życie społeczne pawianów... Studiował biologię, a więc zgłębiał prawdziwą wiedzę. Hodował patyczaki w wielkich terrariach. Poza tym miał coś takiego rozczulającego w wyrazie ust... Jezu, a co on mógł mieć w wyrazie ust?! - woła Marylka Zmarz i podwija górną wargę, obnażając zęby, jak królik. Keczut wyznała, że kochała się w Pietrzyku, Kasia Wesołowska ponoć w Kamyku (ex equo ze mną), Sumakówna w Sepii, a Zmarz w takim blondynie w niebieskim sweterku.

Zaśmiewaliśmy się do łez, czekając na autobus C.

To wszystko zapisałam w swoim dzienniku, w dniu, gdy zmarł Artur Rubinstein i wujek Benek z Nowej Rudy, który był ginekologiem, a Paw uszczelniał okna, 21 grudnia 1982 roku...

Krótką przerwę w życiorysie gospośi, siedzę na strychu i kaszlę. Pawiu już prawie zdrowy, Nenek jeszcze na dobre nie zachorował, mam więc czas do wieczora, na pewno dostanie gorączki.

Nie mam gdzie uciec. Paw znowu o coś się obraził i polazł na dół do mamusi pomówić w macierzystym języku. Bo ze mną to już zero porozumienia. Powiedział, żebym sobie pojechała gdzieś na parę miesięcy, „oczywiście z dzieckiem”. Niestety jest tylko ten strych.

I „odjazd” w czytanie, lub pisanie.

Mam dość jakiegokolwiek dialogowania z Pawiem. Wciąż słyszę:

„Czy ty naprawdę nie potrafisz?”, „Czy ty zawsze musisz?”

On przecież wie lepiej, którądy śpiewają słowiki i w którą stronę kartofla się obiera. (A może naprawdę ziemniak obierany zgodnie z ruchem wskazówek zegara pozostaje dłużej biały?)

Zrzęda, młody zrzęda.

Siedzę w tym jego domu kamieniem, jakby mi buty ukradli.

Ale ja naprawdę nie mam dokąd pójść (oczywiście z dzieckiem)...

Byłam z Nenkiem na szczepieniu. Rozpaczał bardzo. Wołał żałośnie: „Moki, moki, paji kuła, a-a-a!”, co znaczyło: Chcę smoczek, pani ukłuła, chcę iść spać.

Wciąż jestem okropnie zmęczona i zniechęcona, w domu tylko 16 stopni, bo na dole okna wciąż nie uszczelnione, koks się kończy, więc teść pali na pół gwizdka. Mówi, żeby dwa swetry wkładać.

Wczoraj przy kolacji pokazywali w telewizji urywki z wojny wietnamskiej: trzyletnie dziecko machało rączkami nad zastrzeloną matką, jakby przynaglając ją do wstania, z takim rozpaczliwym pośpiechem... Ścisnęło mnie w gardle. Dziecko w roli matki bolejącej. Pieta na opak.

Chyba po to te wypominki w TV, żebyśmy sobie pomyśleli, że, było nie było, mamy tu swój peerelowski komforcik. Mamy nie wojnę, ale całkiem znośny „stan wojenny”. Bo cóż to za problem, to nasze „nie ma sera”, „nie ma cytryn”, „nie ma majtek”. Przecież wciąż jest o niebo lepiej niż mogłoby być, nieprawdaż? Prawdaż. Nie chce mi się żyć.

„Mama pije karne” - wczoraj Nenek powiedział nareszcie swoje pierwsze zdanie, z podmiotem, orzeczeniem, dopełnieniem!

27 sierpnia. „Zamykam młodość, księgę do znudzenia znaną”. Dziś kończę dwadzieścia pięć lat.

Siedzę. Noc. Paw leży w poprzek łóżka. Śpi. Wprost na kocach, bez prześcieradła. Ja w czerwonym szlafroku przy biurku, pod lampką, którą nazywam „żołnierzykiem” z powodu metalowego klosza, który przypomina hełm.

Pomyślałam, że jestem teraz - bardzo wesołym smutnym człowiekiem. Często żartuję i staram się, żeby po wierzchu było wesoło.

Wtedy mniej odczuwam tę powagę bytu, która jest mi ciężarem...

Paw znów dostał list od E. J., tej z wakacyjnego stażu w Jabłonie.

Wyjęłam go ze skrzynki i badałam palcami, i otwierałam cienką myślą... Czego ta mała chce? Trzy dni temu był poprzedni list. Nic mnie to nie obchodzi.

Ależ obchodzi!

To jest moja klockarnia! To jest moje życie!

Gdy przewracam kartki wstecz i odczytuję te swoje zapiski, to tak jakbym zapalała zapałki w ciemności. Obrazki, scenki z życia wyłaniają się z mroku na chwilę i gasną razem z wątłym płomykiem. Ale przecież są zatrzymane i znów mogę „rozpalić” od nich swoją pamięć.

Nie tak wiele zostaje „na zawsze”, a jednak wydaje mi się, że to, co zapisane, zostaje uratowane i jest potem jak odnaleziony skarb, cenne znalezisko, wiecznotrwała chwila.

Ludzie, którzy nie zapisują swego życia, wydają mi się szaleńca-mi, lekkoduchami, umierają cali każdego dnia, nawet Ile jest warta moja nadzieja? Kto da mniej? Sprzedane...o tym nie wiedząc.

Milczymy tajemniczo, by nie mówić głupio. Ile razy tak było? Ludzie chętnie nazywają milczenie złotem, by ukryć pustkę, którą mają w głowie, albo i w sercu. Więc lepiej nie zmuszajmy do mówienia tych, co uciekają w milczenie. Zachowajmy złudzenie...

Niedziela. Nenek chory. Paw wściekły, ja - w gipsie do pasa (z powodu zwichnięcia stawu barkowego), z katarem i dodatkowo po przykrym zabiegu ginekologicznym. Jakby mogło być jeszcze coś dodatkowo! (Sama nie mogę uwierzyć, że sięgnęłam jedyną sprawną ręką po pióro).

Dziś rano, obolała po wczorajszym zabiegu, starałam się drzemać jak najdłużej, półmarząc o innej sobie, gdzie indziej, z kimś innym...

Jednak o 8.30 Nenek włączył taką syrenę, że usiadłam gwałtownie na łóżku, wyrywając z poduszki wszystkie mrzonki po korzonki. Podniosłam rękę do oczu i... po raz kolejny zwichnęłam ramię!

Teraz to się już nazywa „nawykowe zwichnięcie stawu barkowego”, bo przydarza się przy czynnościach tak banalnych, jak po-drapanie się w głowę albo sięganie pod łóżeczko w celu znalezienia upadłego smoczka. W takim momencie słyszę nieprzyjemny zgrzyt kości wysuwającej się z panewki, po czym ból zaczyna szybko narastać, rzeczywistość rozpuszcza się i traci kształt, już nie mogę drgnąć z bólu, w ustach słodko (do

zemdlenia) i wydaje mi się, że pada wielki deszcz albo piach się sypie prosto na dach. Szumi, szumi, a ja od-pływam, coraz dalej od epicentrum bólu.

- Pawiu, Pawiu, obudź się, zwichnęłam rękę - wystękałam słabnym głosem.

Paw wyskoczył ze snu jak z płonącej koszuli.

- Co??? No i kurwa mać! Znów zaplanowany dzień diabli wzięli!!!

Paw nie znosi być zaskakiwany. Mimo to błyskawicznie się znalazł w sytuacji.

Ubrał się.

Pomógł mnie się ubrać (pośród okrzyków bóleści).

Zaniósł dziecko matce na dół.

Wyprował samochód (pożyczył od swego taty).

Na pogotowiu czekał ze mną na rentgen, czekał na wywołanie ;z zdjęcia. Czekal, aż mi nastawią kości. Aż mnie owiną zimnym mokrym cementowym bandażem i aż zastygnie on w białą skorupę.

Przywiózł do domu.

Skorupa do tej pory nie całkiem wyschła i jest mi zimno w tym pancerzu, gips obejmuje mnie jak lodowy kochanek, a ja mam jeszcze przecież poprzedni katar...

Cały czas mam dreszcze.

Paw poszedł do pracy odnaleźć spokój.

Nenek wreszcie zasnął.

Usiadłam przy stole, bo ręka najmniej boli przy siedzeniu.

Czuję się jak symbol własnego losu: uwięziona w sobie, uwięziona w gipsie, uwięziona w domu, który też jest zimny i niewygodny...

Nawet własny kraj jest nieprzytulny, a świat groźny i niebezpieczny!

Straszą, że Chińczycy, piąta strona świata, zaleją nas, bo tam jest taka masa biedy bez żadnej nadziei, i że to musi wykipieć.

Okropny dzień, zeszywniałam od płaczu. „Samotność jest jak deszcz, z morza powstaje, aby spotkać zmierzch”. Rozpaczliwie-beznadziejnie. Pawiu wesoły, gdzieś tam „idzie skacząc po górach”, z Gibkim, swoim przyjacielem, już drugi dzień w Karkonoszach! Po prostu pojechał sobie na wycieczkę!

A ja bym chciała stracić przytomność. Przeminać. Już więcej nie być.

W moim ciele mieszka skurczona, napięta istota, która nie wie, czym jest i co ma robić. Nie uskrzydla jej ani miłość, ani wolność, ani poezja. Ona patrzy ze mnie przez okienka oczu, potem przez okna domu i potem przez błękitne przezroczyste tafle nieba, tam, gdzie się mieszczą boskie stajnie Platońskich idei. Niechby mnie ta Wzorcowa Doskonałość zabrała z tego przedszkola bytu, bo ja się już niczego nie nauczę... Przepadło aktualne wcielenie. Po prostu pudło, nie wyszło, trzeba wracać do Najwyższego Paradygmatu, przebrać się w inną sukienkę ciała i zaczynać jeszcze raz, gdzie indziej, z innymi ludźmi!

Nenek obudził się i natychmiast chce rysować. Prosi o papier do rysowania.

- A co jeszcze potrzebne jest do rysowania? - pytam z dydaktycznym wysiłkiem.

- Pugołko - odpowiada Nenek.

- A co jest w pudełku?

- Kreseczki!

Podalam mu „kreseczki”, ale zaraz się okazało, że nie wszystkie są zatemperowane, więc Nenek woła:

- Mama, zepsute!

- Więc mama pójdzie po temperówkę i zatemperuje.

Nenek bierze do ręki zaostrzoną „kreseczkę”, pokazuje palcem rysik i mówi powoli i bardzo wyraźnie:

- To jest temperatuuura.

Dzień się zaczął, środkowy dzień jesienny.

Wąski, chłodny, mokry, mroczny. Od rana spóźniony...

Paw - oddalony ode mnie o tysiące kilometrów, jakby nie istniał.

Dostał stypendium doktoranckie, nie wierzyliśmy w to, ale dostał, i w końcu poleciał do Cambridge, do MIT . Wypiliśmy na pożegnanie butelkę jarzębiaku, bo tylko to było w domu. Patrzyliśmy na siebie znad kieliszków czując dumę, strach i jakąś ostateczność. Dzień później jego samolot oderwał się od ziemi i zniknął w niecałą minutę.

On tam w środku był.

Miał ze sobą całego siebie.

Tu na dole nie było go ani trochę.

Zostałam na tarasie widokowym jak punkt, kropka bez tekstu, na pustej kartce...

Czy wróci? Teraz są takie czasy, że mężowie nie wracają do żon ze swych Ameryk. Ślą paczki z puszkami kawy, czekoladą, suchą kielbasą. Z zapachem dalekich (k)rajów... Jak bogowie cuda.

Ile jest warta moja nadzieja? Kto da mniej? Sprzedane...

Zatkałam tęsknotę jak dziurę w dachu. Dzień za dniem, byle szybciej przemijać. Coś czytam, coś piszę. Ale jakoś tak bezrozumnie. Nenek

poszedł do przedszkola, bo muszę w maju oddać pracę magisterską (wieczna studentka...). Jest tam bardzo biedny. Wraca z rękawami sztywnymi od wycierania zasmarkanego nosa i splakanej buzi. Nic tam nie je. Chodzi tylko pomiędzy stolikami i patrzy. I słucha.

- Mamusiu - zapytał wczoraj, pokazując obrazek w książce - na czym świnka ta siedzi?

- Na trawce - odpowiadam naiwnie.

- Na dupie! - woła mój synek wyedukowany w przedszkolu.

Pracuję co dzień do czwartej rano. Ampułka kofeiny daje mi naped do pisania. Rankiem, półprzytomna, wsiałam w tramwaj i jedziemy do przedszkola, aż na plac PKWN, bliżej nie chcieli przyjąć studenckiego dziecka.

Po powrocie walę się spać na parę godzin. Sen po kofeinie jest głęboki, przepastny i pusty w środku jak kanał miejski w suche lato.

Potem idę na polowanie, czyli robię zakupy. Coś gotuję i już jadę po małego.

On najpierw w ogóle nie chce do mnie wyjść, ociąga się. To może znaczyć, że albo chce mnie ukarać, albo nie wierzy w swoje szczęście, albo odwleka tę najradośniejszą chwilę dnia. Ewentualnie wszystko razem.

Celebra czekania. Wreszcie wychodzi z sali, szczupłeńki pajaczek z minką jak trójgraniasty kapelusz. Bo nie wie, co czuje.

Jednak już na ulicy zaczyna wierzyć, że WRACA! Robi się we-soły, podskakuje, biega, opowiada. Że pani każe się całować w usta, a nie ma zębów, że dzieci piły kawę i jadły chleb z dżemem. Co to jest dżem, mamusiu?

Ha! Dziecko konfitury nie zna dżemu!

Mam więc dziecko „z dobrego domu”, z domu konfitur... Tak jak tego chciałam.

Umarł Sąsiad, doktor G. Jutro pogrzeb, a w jego domu już jakiś „kuzyn” żony chadza po ogrodzie w krótkich gaciach i osobiście otwiera furtkę gościom. Syn doktora G., też doktor (chirurg miękki), jeździ samochodem nie ostygniętego jeszcze papy, co więcej, upodobnił się do niego w jedną noc! Głowę trzyma jak on, chodzi jak on.

Jak gdyby nigdy nic, codzienność się zabiłniła. Nieobecność zarosła identyczną materią w tempie iście podzwrotnikowym.

A doktor G. był przystojny, zgrabny pan, filut ogródkowy... W sypialni na suficie, nad łóżem małżeńskim, miał ponoć lustra wielkie zawieszane, libertyn peerelowski... W najgłębszej pogardzie miała go Babka Meir, od kiedy pewnego letniego poranka (parędziesiąt lat temu) zawołał ją do płotu, zza krzaka morwy, a tam, w bezpośredniej bliskości okazało się, iż w stroju adamowym stoi w rajskim swym ogrodzie. Ona krzyknęła krótkim krzykiem i odbiegła. On zaś musiał być wielce zadowolony, bo zaśmiał się w głos.

Od 1947 roku byli sąsiadami, od chwili gdy zasiedlili dwa identyczne domy dwóch braci esesmanów. Bracia Halschke dawno nie żyją. I doktor G. właśnie umarł. Teraz ja trochę pożyję i potem umrę.

Lecz szybko zabiłni się codzienność! I „będą ludzie jak byli”!

Kuzyn Pawia nachodzi mnie. Też „wdowiec”. Tyle że jego połowica nie pojechała na stypendium zagraniczne do Ameryki, ale bliżej, do Reichu, do siostry. Napisała pod nieobecność list mało grzeczny, zawinęła dziecko w kocyk i myk! Może miała dość ojca dziecka i matki ojczyzny?

Kuzyn przychodzi prawie co dzień. Kwiaty przynasza. Gerbery.

Taksówką swą (bo ma taksówkę) wozi mnie na angielski.

W kinie już razem byliśmy.

Aż w końcu doszło do wyznania. W mojej sytuacji to bardzo podnoszące na duchu jest. Poweselałam od tego, poczułam się znów młoda, coś warta.

Chłopak jest ładny, ale, niestety, nudny. Mimo to przyjemnie kłaść się wieczorem z porcyjką durnych marzeń do poduszki. Ot, tak tylko, dla docukrzenia serca.

Jak mała może być wielka miłość?

Maluję się. Pudruję się.

Kupuję jakieś ciuchy, spinki; noszę włosy do fryzjera.

I powabnie pawie wabię. Inne Pawie...

Nenek biega po domu i Woła: „Tamto, tamto, daj dzidzi tamto!” A teściuchy miękną, topnieją, w aniołów się przerabiają samoistnie, automatycznie, niezależnie od dystrybucji prądu...

„Kochasiu, Kochasiu” - powtarza Babka Meir i nie pamięta, że to „kochaś” nie jej, ale najgorszej synowej, jaka się mogła przytrafić.

Słodycz, syrop miłosny zalewa jej gardło, ręce się wyciągają ku chłopczykowi ślicznemu jak z obrazka...

I wtedy ja wkraczam i zabieram Nenka na górę, „do domu”, bo on jest mój. Moja tajna broń. Nagradzam nim i karzę, kiedy zechcę.

Dzięki temu dziecku w ogóle mogę w tym domu żyć.

Codziennie Wieczorem Nenek każe sobie opowiadać „bajkę o tatusiu”. Myślę, że teraz, gdy groźnego taty nie ma, w poczuciu pełnego bezpieczeństwa Nenek po prostu swawoli... Ćwiczy mięśnie swobody. I sobie beztrąsko marzy, jak to tata wiezie mu z Ameryki wielką koparę.

Że też mali chłopcy tak bardzo fascynują się machinami. Nenek ma trzy lata, na widok dźwigu, wywrotki, koparki, po prostu wrasta w ziemię. Zahipnotyzowany, z zadartą głową, z rozdziawioną buzią, wpatruje się, jak owo wielkie mechaniczne zwierzę podnosi łeb, albo dziobie ziemię, albo zrzuca z siebie ciężar. Nie sposób wyrwać dziecka z tego stanu zadurzenia, prędzej mu się wyrwie rękę ze stawu.

Bajkę o tatusiu Nenek zaczyna ostatnio inicjować sam, na zachętę, dla mnie, całkiem już znudzonej po tylu miesiącach: „Kodil szkał wazience...”.

Nie wiem, jak to się stało, że ta bajka o tatusiu, od krokodyla w łazience się zaczyna. Mroki podświadomości. Na koniec jednak zawsze przyjeżdża koparka. Samolotem. Z tatą.

Wymyśliłam dla Nenka inną bajkę, subtelniejszą.

Paż wszedł do sali tronowej i uklonił się lekkim skinieniem głowy.

- Powiedz mi, Paziu - powiedział Król - czy nie znudziły ci się moje pocałunki?

- Ależ Panie - odrzekł Paż - nadal pasjami lubię twoje pocałunki.

Jego głos, pełen przekonania, wzleciał pod sufit sali tronowej i natychmiast potem spadł pod nogi Króla, miał bowiem swoją wagę.

- A czy mógłbyś, mój Paziu, nakarmić moją królewską próżność opowieścią o twojej do mnie miłości?

- Naturalnie, mój panie. Zakodowałem historię naszej miłości w setkach promieni słonecznych. Proszę, wylosujmy któryś z nich i odczytajmy słodki zapis - odpowiedział Paż, który naprawdę kochał swego Króla jak należy, to znaczy z dołu schodów wiodących w górę do tronu.

Paż podszedł do okna, wyciągnął ze słonecznej aureoli jeden promień, włożył go do ust i przeczytał ustami, co było zapisane:

- Pasjami lubię, gdy mój pan, składając na mych wargach pocałunek, patrzy w inną stronę. Jest wtedy słodki jak szczenię, którego uwagę coś przypadkowego odwraca od bardzo ważnej rzeczy...

- Paziu! - zaryczał Król. - Moja godność! Moja królewskość!

Każę cię zaraz wtrącić do Herbatnikowego Lochu!

Paż zadrżał od cizemek po czapeczkę z fontaziem. I zawołał głosem wiotkim jak nitka.

- Błagam, panie, nie rób tego! Wiesz, jak nie znoszę herbatników!

Mój żołądek z cieniutkiej muszelki jest tak delikatny, że szkodzi mi nawet bita śmietana!... Ja tam umrę, Królu, i co poczniesz beze mnie?

Król bez Pazia jest niecałym Królem!

Mruknął Król, tylko mruknął, bo akurat przypomniał sobie, że najmniejsi są czasem najważniejsi, a jego Paż był przecież najmniejszy w całym królestwie.

- Dobrze więc - powiedział łagodniej - odpowiedz, czy lubisz, gdy cię całuję „byle jak”?

- Och! - zawołał Paż uszczęśliwiony niespodziewanym powrotem łaski - lubię, gdy mnie całujesz „byle jak”! Ale nie nazywam tego tak lekceważąco. Wszystkie pocałunki można opowiedzieć poprzez kwiaty...

Są długie, nagie, bladożółte tulipany: przynoszą obietnicę ocieplenia. Są żonkile i narcyzy, proste, bezlistne, z płomykiem pośrodku, te zapowiadają przyjemną niespodziankę. Są fioletowe bzy, ciężkie, wilgotne, pachnące szaleństwem, którego tak bardzo się boimy...

I róże, dumne, ale pełne niepojętych tajemnic i tęsknot nie wiadomo za czym... Pożąda się ich najbardziej, chociaż tak bliskie są bólu, który zadają kolce.

Pocałunki, które nazywasz „byle jakimi”, to po prostu stokrotki i koniczynki, zrywane na spacerze nie po to, by je zabrać do wazonu, ale by wsunąć je w dziurkę od guzika.

A co myślisz, panie, o szalonych bzach?

- Paziu! Jesteś doprawdy zbyt śmiały! - zawołał Król, nie posiadając się z oburzenia.

Poczuł się tak groźnym, że omal nie zapomniał o najważniejszej dla króla rzeczy, mianowicie, iż zbyt groźny król może w jednej chwili utracić swe państwo.

Paź, wiedząc o tym, czym prędzej poprosił o przebaczenie, ratując tym samym królestwo.

- Panie, gotów jestem zrobić wszystko, aby wynagrodzić ci moją śmiałość...

Powiedział i spuścił głowę na piersi, jednocześnie wyciągając ręce ku tronującemu, i wtedy na końcu szerokich rękawów jego koszuli zatańczyły wielobarwne motyle. Motyle te oderwały się od brzeżków materii i pofrunęły w stronę Króla, i zaczęły krążyć wokół królewskiej głowy. Po siedemnastu okrążeniach wylądowały na jego królewskich powiekach i Król zmuszony był przymknąć oczy na wszystko.

Wtedy mały Paź, najmniejszy w całym królestwie, wbiegł na górę schodów, wdrapał się królewskie kolana i zbliżył swoją niesforną twarzyczkę tuż-tuż do królewskiego oblicza.

A na to Król, który już nic więcej nie mógł, poprosił całkiem innym, cichym i drżącym głosem:

- Paziu, nie dręcz mnie, błagam, pocałuj...

Jego głos był zmieniony, cichy i drżący, a także pełen wielkiego, ogólnoswiatowego niepokoju, zupełnie jakby Król przed chwilą przegrał w karty swego dzokera.

Bo królowie, o czym prawie nikt nie wie, potrzebują o wiele więcej czułości niż zwykli ludzie, tylko bardzo się wstydzą do tego przyznać...

Jeszcze raz zaglądam do Simone Weil, bo muszę, do pracy magisterskiej.

Ma ta kobieta wewnętrzną moc, ale czasami zdaje mi się, że w jej piecu diabeł pali. „Oblubienica boża”, „słodycz modlitwy”, „Pan przychodzi ująć rękę swej przyszłej oblubienicy”.

Perwersja.

Cukrowa ohyda mistycznej nomenklatury.

No i ta pokora! Pokora pychy, która zawsze jest mi wstrętna. Czy do pokory nie nawołują nas przypadkiem ci, co przerazili się demona w sobie? Pokora jest nieapetyczna, niesmaczna i niezdrowa. Wyklucza godność.

Co wyrabiał Mickiewicz w swym Kole Paryskim? Był pokorny i pyszny zarazem, i upokarzał ludzi, spowiadał ich, robił im publicznie wiwisekcję, krzychał na nich „dzwonowym głosem, aż sąsiedzi reklamowali o hałas”!

Miał demona w sobie...

I ja też! Ja też w Ameryce!

Przeleciałam Iłem ocean i wylądowałam w Montrealu. Przebiegłam przez rękaw, korytarz, jeden hol i drugi, mijając mnóstwo ludzi w bardzo kolorowych ubraniach i mnóstwo bardzo żółtych monitorów wiszących nad głowami. Miałam wrażenie, jakbym wzrok odzyskała, jakbym wreszcie miała pełne spektrum barw! My w tej Polsce widzimy świat jak psy: czarno-biało.

Całą trasę przez dworzec miałam na karteluszkach w kratkę. Paw podyktował mi przez telefon (o drugiej w nocy) drogę do odpowiedniego terminalu, gdzie miał czekać na mnie bilet do Bostonu, linia Delta, miałam lecieć Delta. Po wąskim, ciasnym, ciemnym Iljuszynie zasiadłam w wielkiej sali z ekranem kinowym, i ta sala się wzbijała w powietrze, i po chwili wylądowała na miejscu. Paw czekał na mnie zaraz za bramką, natychmiast zobaczyłam jego błękitny podkoszulek, i to, że zaczął łysieć. Był z nim Adam Golub, polski Amerykanin, też fizyk, emigracja 68. Jego wielkim autem pomknęliśmy do Cambridge.

Nie, to nie ja.

Ja nie tam.

A to miejsce to nie jest na Ziemi.

Czy to na pewno jest moja biografia? A może ja się Pawiowi śnię, Pawiowi, który zniknął w niebie rok temu? Kto mnie opowiada i czemu?

Nigdy w życiu nigdzie poza Polską nie byłam, nawet w NRD na zakupach, nawet w Pradze na piwie. I nagle wyrzuciło mnie na drugi koniec świata, zaledwie osiem godzin lotu; czy mogłam zdążyć stworzyć w sobie materialną Amerykę? (W dodatku pijąc żubrówkę „na strach przed lataniem”? Częstośował sąsiad, co się bał.) Przecież na co dzień większość rewelacji przyjmujemy na wiarę: na przykład na-uczyli nas w szkole, że

Ziemia jest okrągła, a po drugiej stronie też są kraje i ludzie. W porządku, niech będą. Nawet niech się mają lepiej od nas, ale oni to nie my, a więc są jakby trochę na niby, są „przeci-tani”, „zasłyszani”, i „z telewizji”.

Teraz się mrowią wkoło mnie i to ja jestem nieprawdziwa, jak własna kopia, nie mogę uwierzyć we własną obecność.

To dziwne, ale nie pozeram Ameryki w turystycznym głodzie. Jeżdżę i chodzę wyłącznie do Harvard Library (dział polskojęzyczny) i do księgarni słowiańskiej w Cambridge.

Zajmuję się umacnianiem własnej tożsamości. Czytam, wreszcie swobodnie i dużym drukiem, eseje Miłosza, wspomnienia Gombrowicza, „Kulturę” i „Zeszyty Historyczne”. Europeizuję się w Ameryce (w New England) i czuję dumę jak jakiś kierownik wydziału kultury z Knuruwa, na delegacji.

Chyba jednak jestem patriotką starego kontynentu, skoro zakrzyknęłam boleśnie, usłyszawszy, że Amerykanie niegdyś zakupili od Francuzów dwa stare zamki czy klasztory, przewieźli je do siebie i, zestroiwszy w jakąś hybrydę, postawili w Nowym Jorku! To dla mnie ciężka zbrodnia wobec historii.

Znamienny fragment ostatniego wywiadu z Nadeżdą Mandelsztam.

- Czy już wtedy uważała go pani za geniusza? [tzn. wtedy, gdy się poznali z Osipem]

- Czy był geniuszem, nie wiem. Głupi był.

- Był... niemądrym młodym człowiekiem?

- Pani się za wytwornie wyraża. Ja mówię ostrzej. [...]

- Ale poświęciła mu Pani całe życie...

- Niestety.

Cała ta rozmowa (1977 r.) to jakby głos z beznadziejnej otchłani. Rosja, martwy kraj. „Dziś całe wsie stoją puste. Zostały staruchy i pijani starcy - mówi Mandelsztamowa. - Piętnaście lat temu opowiadały mi kobiety, że na wsi nikt już nie potrafi zrobić grządki”.

I jeszcze: „Breżniew nie był takim krwio pijcą jak Chruszczow, który trzymał się starych zwyczajów. Kazał rozstrzeliwać ludzi za to, że sprzedawali szminkę do ust własnego wyrobu”.

A ja chodziłam w tym czasie do szkoły, podśpiewując ulubioną piosenkę: Pust wsiegda budiet sołnce, pusef wsiegda budu ja.

Właściwie niewiele się zmieniło przez następne lata. Pamiętam pewien poranek, gdy już byłam licealistką: idę na pierwszą lekcję, jest za dziesięć ósma, po prawej mam niskie wczesnojesienne słońce, a ja bosy i w obszarpanych na dole dzinsach, bo tak jest fajnie, bo tak wygląda wolność. I przepelnia mnie młodzieńcza energia i radość istnienia mnie rozpiera. I jest mi ze wszech miar bezpiecznie: Niemcy nas więcej nie napadną, bo pilnuje nas zaprzyjaźnione, wielkie, silne państwo. Które jest tuż za granicą.

Naprawdę, chodziłam do szkoły taką drogą...

Tanglewood znaczy poplątane drzewo, a nie, jak sądziłam, drewniany bębenek. Na takim właśnie poziomie jest moja angielszczyzna.

W Tanglewood odbywają się koncerty, które są typowe dla amerykańskiej kultury wysokiej.

Wsiedliśmy w wielki samochód Boba Bookbindera i pomknęliśmy autostradą, która jest na kartki. U nas mięso, u nich kilometry.

Nasze kraje różnią się poziomem abstrakcji...

Od Bostonu jechaliśmy około dwóch i pół godziny, mijając lasy, łąki, jeziora. Niby horyzont fizycznie powinien być na całej kuli ziemskiej w tej samej odległości od obserwatora, jednak tu naprawdę się czuje potęgę wolnej przestrzeni. Tu lasy stoją, a łąki leżą całkiem swobodnie, „nie podgryzane” przez fabryczkę, osiedle, dziki śmietnik.

Zjechaliśmy w boczną drogę, minęliśmy wieś o nazwie Tanglewood i zajechaliśmy na wielki parking. Do koncertu zostały jeszcze trzy godziny, a już ów parking był niemal w połowie zapakowany.

Zostawiliśmy samochód i podążyliśmy na pieszą wycieczkę: do odległego o dwie mile Lennox. Mijaliśmy prywatne posiadłości, należące do Uniwersytetu Bostońskiego oraz do jakiejś szkoły jakiegoś Morrisa. Za żelaznym, wiekowym płotem był, też prywatny, stary park. Wreszcie ujrzeliśmy i „tanglewood” - drzewo, które wrosło w metalową żerdź ogrodzenia, owinęło się wokół niej i trwało tak znieruchomiełe w konwulsyjnym skurczu.

W Lennox, wprost z drogi, wchodzi się na typowy amerykański monument przedstawiający któregoś ze sławnych generałów, wojny secesyjnej zapewne. Potem mija się dość zwyczajny drewniany dom, tyle że data na frontonie jest, jak na Amerykę, niezwykła, „starożytna”: 1782. Następnie przechodzi się obok dwóch banków, mieszczących się w drewnianych, całkiem „westernowych” budynekach.

Lennox to miasteczko o dwóch bankach i dwóch ulicach. Ta druga jest stara i zaniedbana, i tak wąska, że czuje się, iż powstała dla potrzeb konia; auto Boba z pewnością by tędy nie przejechało.

Chcieliśmy kupić świeczkę, ale się nie udało i wróciliśmy do Tanglewood bez świeczki. Po co świeczka na koncercie? Jak to po co:

żeby oświetlała żarcie. Bob uświadomił mi, że to jest koncert amerykański, że będą grali, owszem, ale będą też jedli i pili... Nieee, to niemożliwe! Przecież to Bostońska ma grać! A jednak...

Na miejscu okazało się, że samochody zajęły już trzy parkingi, a ludzie, co z nich powysiadali, niemal całą „salę”, czyli łąkę. Brnęliśmy przez tę łąkę koncertową z kocami pod pachą, ze skrzynką jedzenia, tak jak inni spóźnialscy, pośród tych, co już zajęli miejsca, rozłożyli swoje koce, rozstawili turystyczne krzeselka. Gdyby nie to, że zaczynało zmierzchać i że ośrodkiem kultu w centrum łąki był kolumnowy świątynio-teatr, gdzie orkiestra stroiła już instrumenty, a nie tafla wody, można by sądzić, że to wejście na plażę.

Przy wejściu rozdawano małe reklamowe foldery z pomniejszonym plakatem imprezy (fortepian przykryty obrusem, a na nim świece, szampan, kieliszki, półmiski z jedzeniem) i hasłem: *Musie to your mouth.*

Rozłożyliśmy się obok kolumny numer 11, całkiem blisko sceny, zaraz za ostatnim rzędem drogich miejsc po 36 dolarów. Ci, co tam siedzieli, mieli na sobie eleganckie, wieczorowe stroje.

Powoli zapadał zmierzch i pochłaniał wraz z nami sandwicze z wołowiną, krakersy z serem, sałatki warzywno-mięsne i czerwone wino. A wokół naśladowały nas setki ludzi; jedli mniej więcej to samo co my i pili wino, w kieliszkach, niektórzy palili papierosy, ktoś uciszał niemowlę...

Nasz koc był cały mokry od rosy; podłożyłam sobie pod pupę ortalionowy plecaczek. Pierwsza w programie była Pastoralna. Nie lubię Pastoralnej, poza środkową częścią. Tym razem także mi się nie podobała. Skoncentrowana byłam na wygwieżdżonym niebie, na własnych, coraz

bardziej lodowatych nogach i na oglądaniu leżących pokotem, otulonych w koce Amerykanów. To byli ci, co już się najedli i teraz słuchali albo spali. Inni kontynuowali konsumpcję, nie czyniąc żadnego hałasu. Tylko w przerwie usłyszeliśmy radosny zbiorowy wrzask z któregoś „kąta sali”. Bob wsłuchawszy się weń, poinformował nas, że właśnie ktoś obchodzi urodziny.

Najpiękniejszą częścią koncertu okazała się Mama Gęś Ravela, podczas finału, wspaniałego, omal nie posypały się gwiazdy. Ludzie klaskali bez końca, niektórzy na stojąco.

Wracaliśmy na parking, uważnie wymijając śpiące tłumoczki; wielu słuchaczy zamienionych w „spaczy” pozostało na trawie, oświetlonej teraz elektrycznym światłem reflektorów...

W powrotnej drodze Melinda, dziewczyna Boba, którą poznaliśmy dopiero tego przedpołudnia, była już tak zmęczona, że nie musieliśmy prowadzić żadnej uprzejmej konwersacji w rodzaju:

- Polskie wsie są bardzo różne od amerykańskich (ja).

- Pozostałe wsie amerykańskie różnią się od wsi w Nowej Anglii (Melinda).

- Podobno Nowa Anglia jest najmniej amerykańska w całych Stanach (Paw).

Siedzieliśmy w milczeniu na tylnej kanapie wielkiego amerykańskiego krążownika szos, który pruł ciemność z prędkością co najmniej stu mil na godzinę.

I tylko raz, ni z tego, ni z owego Paw odezwał się do mnie półgłosem: „No bo co ją może obchodzić trzeci maja w Polsce?”.

Gombrowicz pojechał do Paryża i wcale go nie zwiedzał. Głowy na wieże kościelne nie zadzierał, muzea omijał jako miejsca przygnębienia i smrodu...

Byłam w Garden Museum i w Fine Art, w Bostonie.

Wolę albumy z reprodukcjami. Przewracając stronicę, czuję radosne skupienie, jestem uważna i uroczysta, jakbym oglądała rodzinne zdjęcia kogoś, kto mi ufa. W muzealnych salach czuję się jak w sierocińcu: tu każdy obraz „wie”, że został sprzedany, albo oddany, i uwięziony w tym publicznym domu... Smutne, samotne dzieła sztuki, ledwie pamiętają swych twórców! A już najgorsze są ramy.

Na przykład świetlisty, nadwrażliwy impresjonizm dosłownie zakuty w wielką, ciężką, barokową oprawę!

Dwa wielkie „rembrandty” można oglądać tylko z odległości dziesięciu metrów, chroni je sznurkowa barierka. Wiszą naprzeciwko wielkich okien z olśniewającą pogodą, wobec której tak zwane światło Rembrandta jest niczym... Werniks odbijał słońce i widziałam w ramach tylko czarne, odblaskowe płaszczyzny.

Moja Ameryka to setki monstrualnych grubasów przedstawiających z uważnym trudem ciężkie kloce nóg w celu wykonania tak zwanej czynności chodzenia. Moja Ameryka to prześliczne kolorowe dzieci, w ogóle nie strofowane przez rodziców w sklepie czy na ulicy. Albumy z malarstwem Boscha, Vermeera, Picassa; kupowanie tych koszmarnie drogich książek oraz także okazjnie tanich - ciuchów, na przykład na wyprzedażach u Searsa, gdzie mi już nawet proponowano kartę stałego klienta, tak często tam zaglądam! Moja Ameryka to: Ja a Polska: narodziny mego przedszkolnego patriotyzmu, księgarenka słowiańska w

Cambridge, z dużym zdjęciem Miłosza nad schodami (wzięto mnie tam za Rosjankę, byłam wściekła), artykuły w „Kulturze” czytane z namiętnością politycznej dziewicy. I upały. I upiorna wilgotność powietrza, od której w trzy minuty spływa cały makijaż. I dużo lekkiego piwa Heineken, które jest w Nowej Anglii bardzo popularne. I trudna do wybaczenia (w moich oczach) „niedotożsamość” polskich emigrantów, ich „gęby” i „pupy”, które oczywiście sobie samym przyprowadzają.

I owo irytujące, w każdej rozmowie, obojętnie zaangażowane amerykańskie: „Oh, really?” I jeszcze ta kretyńska w TV, nie wiem na jakim kanale, fasada wypacykowana na twardo, uśmiech szczelnie wypełniony zębami, długie jak szpony czerwone paznokcie zaciśnięte na ciałku murzyńskiego dziecka o olbrzymich, przedwiecznych oczach.

Ciało dziecka jest wychudzone, pomarszczone i obwisa bezwładnie, łążą po nim wielkie końskie muchy, a ona mówi: Zadzwońcie pod nasz numer, prześlijcie czek, to może ono przeżyje. I podaje mu jakiś okruch, który ono długo, jak w zwolnionym tempie, wybiera spomiędzy emaliowanych paznokci reporterki. Ona wsiada do helikoptera. Powtarza: „Right now”, starannie modulując głos. Nad wesołym śmigłem odlatującego helikoptera pojawia się napis: Głód w Etiopii.

Poznałam Zuzannę, córkę znanego polskiego aktora, i jej małą córeczkę Rózię. Ojcem Rózi jest Tadeusz, tutejszy przyjaciel Pawia, też na stypendium w MIT. Rózia siedziała pod stołem w chińskiej knajpce, gdy jedliśmy kaczkę i piliśmy ryżowe piwo na ceratowym obrusie w czerwonej kratę. Cały czas trzymała mnie za kolana.

Następnym razem już na wstępie objęła mnie w pasie (ma siedem lat i sięga mi trochę powyżej pasa), wcisnęła nos w mój brzuch i straszliwie wachała, tak wachała, że aż poczułam się nieco zażenowana.

- Jak ty pięknie pachniesz! - zawołała. - Muszę cię wachać i wachać! Muszę wwachać bardzo dużo! Aż do żołądka!

Różia Z. To jedyna dziewczynka na świecie, którą lubię, chociaż przykleja się jak guma do zucia, obejmuje, wskakuje na ręce, całuje do utraty tchu i tryska miłością, jakby to była fontanna lemoniady.

Lubię tę jej skłonność do mnie i jeśli kiedyś będę miała córkę, to dam jej na imię Różia. Jej ojciec ma brodę i oczy szarzielone, przejrzyste jak woda. I takie ma rzęsy płowe, prawie białe... Zakochał się we mnie. To mnie uskrzydla, chociaż ja przecież nie mogę mu tego uczucia odwzajemnić!

Pojechaliśmy we dwoje do N.Y, bo Paw miał inne, ważniejsze zajęcia. Nocowaliśmy na Manhattanie, w mieszkaniu rodziców Boba Bookbindera, którzy opuścili USA, umykając do Izraela przed po-datkami, w wieżowcu na minus pierwszej alei, z umundurowanym cieciem (emigrant z Polski!) stróżującym przy wejściu, nocowaliśmy na najwyższym piętrze tego drapacza chmur, z widokiem na rzekę Hudson i Park Centralny. Zwiedzaliśmy razem Galerię Fricka i na-cjonalne muzeum pełne obrazów Van Gogha, spaliśmy w jednym łóżku obok siebie, trzymając się za ręce, tylko za ręce, bo przecież istniał Król Marek: Paw, któremu oboje byliśmy wierni!

Z wiersza Miłosza: „Jestem tutaj z nadzieją, że można zaczynać na nowo i własne życie uleczyć, myśląc mocno o rzeczach poznanych”.

Myśląc mocno... To znaczy: pisać wiersze? Może tylko w Nowym Jorku jest to takie oczywiste! Czy powinniśmy zostać w Ameryce i „własne życie uleczyć”?

Wczoraj udało mi się kupić u Searsa trzy pary dziecięcych dżin-sów po dolarze, nie mówiąc o skarpetkach po 50 centów!

Od czterech dni jesteśmy w Polsce. Wracaliśmy Iłami. Brzydkie, smutne, ciemne. Wraz z nami lecieli jacyś kombatanci wojenni, inwalidzi. Obok mnie siedział bezręki starzec, który jakimś cudem posługiwał się plastikowymi sztucami. Była noc, wiało w tym samolocie, jakby był ażurowy, rozdano nam koce, tak było zimno. Paliło się bardzo słabe światło, wszystko wydawało się nierzeczywiste, upiorne. Kombatanci wyglądali jak postacie z Nędzników (czyli w prawidłowym tłumaczeniu: nędzarzy) Wiktora Hugo.

Samolot co chwilę się zapadał, to turbulencje, wyjaśniała stewardesa z urzędowym uśmiechem i rozdawała małe buteleczki z wódką, jakby to było lekarstwo na tę przypadłość ostateczną, czyli śmierć.

Patrzyłam w iluminator, a tam wielki księżyc oświetlał bezdenną otchłań oceanu, która, wydawało mi się, już sięga po mnie, jest tuż-tuż.

Umierałam ze strachu, chociaż jakoś statecznie i rozważnie. Powiedziałam Bogu, że jeśli mnie ocali, pozwoli wrócić do dziecka pozostawionego w Polsce, to ja przysięgam więcej nie zapalić ani jednego papierosa, to ja przysięgam zrobić porządek w moim życiu, to ja przysięgam wykopać wszelki swój talent i przykładowo zrealizować swoje przeznaczenie.

W następnym samolocie, z Warszawy do Wrocławia, okradziono nam bagaże: to, co było na wierzchu, na przykład przepiękne kubeczki z

uszkami, w kwiaty, w ptaki, no i te małe wódeczki z międzynarodowych linii, PLL LOT... Dobrze, że koparę dla Nenka zabraliśmy jako bagaż podręczny.

Paczki, które wysłałam transportem morskim, także okradziono: wszystkie moje ubrania w rozmiarze 38, te od Searsa. Pewnie celniczka nosiła ten sam rozmiar. Niechże ci służą, siostró, jak koszula Dejaniry...

Paw poszedł do Instytutu. Powitał go wielki plakat na drzwiach jego „offisu”: „W kajdanach na rękach, z pepeszą przy mordzie - witamy!”.

Wszystkie dolary zaoszczędzone przez Pawia wydaliśmy na mieszkanie na Książu Małym. Bo ja muszę mieć DOM. Bo ja nie mogę wrócić do Babki Meir. Bo ja muszę wreszcie wybić się na niepodległość.

Nie zostało ani centa. Paw się przez rok żywił pizzą i chlebem z dżemem, ale teraz mamy dwa pokoje z kuchnią i szczęście wypisane na twarzy. Na remont wzięliśmy pożyczkę dla młodych małżeństw.

Za to jakiś solidarny Polak (nie mamy pojęcia kto) podkablował nas do Urzędu Skarbowego i teraz chodzimy na przesłuchania. Bo niby skąd pieniądze na mieszkanie? Z żadnych dewiz się przecież nie rozliczaliśmy. Paw jeszcze w Stanach przelał wszystko na zagraniczne konto naszych przyjaciół dziennikarzy, z „Wieczoru Wrocławia”, wysłanych przez ludową ojczyznę do Berlina z paszportem „w jedną stronę”. Formalności załatwiała z nami na miejscu matka Jagody, jako pełnomocniczka. Jagoda i jej mąż jadą dalej, do Kanady. A historia pisze następny odcinek kolejnych mieszkańców robotniczego osiedla pobudowanego jeszcze przed Hitlerem, w 1928, na przedmieściach Breslau.

Kombinujemy teraz jakieś papiery, jakieś „darowizny” od rodziny i „spieniężone pierścionki” po babce Zelinie. Domiar nas nie ominie.

Po powrocie zatruliśmy się od razu parówkami, które tu nikomu nie szkodzą, a my mamy ponoć wydelikaczone na Zachodzie żołądki.

1986, styczeń. Wszy we Wrocławiu, w wielkim mieście. 750 tysięcy mieszkańców. Środek Europy.

Ale i środek Polskiej Nocy Cywilizacyjnej.

Wszy jeżdżą tramwajami, stoją w kolejkach, chodzą do szkół i do przedszkoli.

Kto, tak jak ja, nie miał dotąd w życiu szansy zobaczyć tego zwierzątka, teraz może napaść oczy swe...

Do tego grypa. Także uogólniona, epidemiczna. Całe miasto ma gorączkę i kaszle (wychodzi na to, że wszy roznoszą grypę?).

I ciąża.

Ciąża jest całkiem indywidualna, w moim zagnieżdżona łonie.

A więc: jestem w ciąży, mam grypę, mam wszy, a za trzy miesiące odpali reaktor jądrowy w Czernobylu. Ale tego oczywiście nie wiem, bo nie jestem jasnowidzem. Nie wiem nawet, czy urodzę chłopca, czy dziewczynkę. Nie wiem też nic o insektach na głowie. Swędzi mnie, bo mam gorączkę i wciąż się pocę. Gorączkę ma też Paw. Leży obok rozplómoniony. Przy nim miska, bo Paw puszcza pawie, gdy choruje. W drugim pokoju leży Nenek, 38,5 stopnia. Z nim pomieszkuje moja mama, która wpadła w zeszłym tygodniu z wizytą, by odwiedzić córkę w ciąży. Zaraziła się, zanim uzyskała pełnię wiedzy o sytuacji. Gorączkuje.

Leżymy jak w lazarecie, patrzymy w sufit. I nie mamy co jeść. Bo które z nas pójdzie do kolejki? Wczoraj teść przywiózł kompoty i konfitury „dla Kochasia”, czyli Nenka (reszta rodziny na żadną aprowizację nie zasługuje, łącznie z Pawiem, który do mnie przystał...).

Teść momentalnie ocenił status quo (nic wcześniej nie wiedział, bo my przecież nie mamy telefonu) i nawet płaszcz nie rozpiął, tak się przeląkł. Wysypał zawartość walizy na stół w kuchni, zahuczał jak wyolbrzymiony trzmiel, głośno i bez treści, po czym zatrzaskał za sobą drzwi i pognął do samochodu. Wirusik minimalny, a strach kolosalny. Podniosłam się, by zamknąć za nim.

Pawiu zwrócił kompot czereśniowy i poszedł z miską do łazienki.

Naszej ślicznej, wyłożonej czeskimi kafelkami w kropeczki (kupione z ogłoszenia na płocie). Ja owinięta kocem powędrowałam do sąsiedniego pokoju, zmierzyć gorączkę Nenkowi.

- No i jak, syneczku? - przysiadłam na jego tapczaniku, popatrując na moją mamę, która leży z przymkniętymi oczami, raz po raz pokaszując wyraziście; daje do zrozumienia, kto tu jest najbardziej chory.

- Ja się nhudzę, okropnie się nhhhudzę... - mówi Nenek z wyrzutem.

- Jeśli się okaże, że temperatura spadła, to włożysz sweterek i weźmiesz sobie klocki do łóżka - odpowiadam głosem zakatarzonym, a więc jakby chłodnym i bardziej oficjalnym, i chcę strzepnąć paproszek z jego skroni. Ale paproszek - umyka! Pochylam się, przeciągam dłońią po ciemnej czuprynie synka i... ledwie mogę pohamować krzyk, który rozpiera mi gardło. Tam jest całe mrowie umykających paproszków! Przecież to wszy są! To chyba muszą być wszy! Matko Boska! W życiu nie widziałam. Może mama widziała.

- Wstań, Nenek, szybko, chodź do łazienki. Musimy teraz coś zrobić. Masz za długie włosy. One się pocą w chorobie. Trzeba je skrócić. Będziesz się czuł lepiej.

Zaciągam małego do łazienki, podnoszę deskę sedesową, chwytam Pawiową maszynkę do golenia (doskonały Remington z USA) i przejeżdżam od dołu do góry, raz za razem, chwytając drugą ręką spadające włosy i wrzucając je do muszli.

- Co ty robisz, mamusiu? - Nenek nie sięga lustra, więc nie widzi, co się dzieje na jego głowie. A na jego głowie panika! katastrofa! apokalipsa! Czarne, brązowe, duże i małe robaczki biegają we wszystkich kierunkach. Mam ściśnięte gardło z napięcia, strachu, obrzydzenia.

- Wszystko okej. Musimy radykalnie skrócić, to szybciej wyzdrowiejesz - staram się mówić lekkim, ciepłym tonem, tymczasem czuję, że wyciskam głos z krtani jak pastę Lechia z tubki.

- A teraz wetrzemy lekarstwo - przecieram głowę Nenka tym, co mam pod ręką: Pawiowym płynem po goleniu. Żeby coś niby odkazić.

Nenek dotyka głowy ręką i w jego oczach natychmiast pojawia się przepaść nieufności. Wybiega do przedpokoju, tam jest lustro od samej podłogi. Stoi i patrzy. Patrzy w swoje odbicie - chudziutkiego chłopca o wielkich czarnych oczach, ogolonego do gołej skóry. Ja też patrzę na tego chłopca. Nie jest już ślicznym Kochasiem Dziadzia i Babci. Wygląda jak fotografia żydowskiego dziecka z getta... Jakieon ma sine podkówki pod oczami.

Biedne, zagubione ludzkie małe.

- Zimno mi - mówi Nenek, odwraca się i chwytą czapkę z półki.

W czapce jest lepiej, w czapce cała groza jest przykryta. Ja też od razu lepiej się czuję, gdy widzę na jego głowie płócienną pilotkę z wesołymi czerwonymi troczkami. Te zdjęcia z getta mam wdrukowane na stałe i czuję strach, gdy coś je we mnie wywołuje.

- A teraz myk-myk do łóżka - mówię siląc się na uśmiech. Kładę na jego kołdrze szufladę pełną kolorowych plastikowych klocków.

Klocki lego są jak logo szczęśliwego dzieciństwa. W cywilizowanym, bezpiecznym kraju...

Wracam do łazienki. Czeszę się nad wanną. Na białą emalię spadają dwa „paproszki”. Żywe.

Czas działać.

Związuję włosy gumką, ciasno. Wkładam czapkę i resztę ciepłego odzienia. Sprawdzam stan portmonetki. Paw jest już poinformowany. Śmieje się do mnie z łóżka. Wreszcie jakaś rozrywka. Pochyliam się nad nim, sycząc złowrogo i łapiąc pociętą ligninę, bo kapie mi z nosa. Odkładam moją gripę na potem, teraz lecę do apteki.

W aptece pani magister wyraża zdziwienie: - Co też pani, wszystko wykupione, kolejka była do samych drzwi wczoraj. Ale już nic nie ma. Dostawa za tydzień.

Jezu, co robić. Jestem w panice. Mam uczucie, że moja głowa jest jak mrowisko. Przecież nie może mi po głowie przez tydzień biegać Insekt!

Taksówka, i runda po aptekach w śródmieściu. Udało się. Na Szczytnickiej był artemisol. Baba dała sześć buteleczek. Ale nie działa na jaja, uprzedziła lojalnie. Trzeba ręcznie usunąć, palcami ściągać.

Taksówkarz mówi, że jak to ja nic nie wiedziałam, nawet w gazecie Pisali, w telewizji mówili. I jak to nie mam telewizora, to jak ja żyję, na jakim świecie ja żyję... Jego wnuczka ma trzy miesiące i ze żłobka przyniosła pod czepeczkiem. - Cztery włoski w pięciu rzędach - mówi

taksówkarz - a taka mać po główce biegała, ale się nie było gdzie schować, kurde!

No tak, już wiem! Nenek się bawił z Madzią, był u niej ostatnio ze dwa razy, a ona przecież do przedszkola chodzi! Ale że też jej matka słowem nie pisnęła. Przecież bym zrozumiała. I tego horroru by nie było.

Rude włosy Madzi, kręcone jak u pudła, płonęły w mojej wyobraźni niby ogień apokalipsy, który się rozszerza!

W domu wcieranie żółtego płynu.

Wszyscy w turbanach z pieluch spać się kładą.

Rano na poduszkach żółtawe doliny. W pieluchach „paproszki”.

Nie ruszają się! Ostry zapach artemisolu świdruje nasze zakatarzone nosy. Oczy łzawią. Mama miała tylko dwie. Paw ma krótkie pióra, więc jest już czysty. Nenek ogolony, bezpieczny. A ja bynajmniej! Powtarzam kurację trzy razy. Moje długie jasne pasemka są już całkiem zielone. Dobrze, że zima i w czapkach się chodzi.

Przez dwa tygodnie, codziennie, ściągam palcami gnidy, najwięcej jest z tyłu głowy, tam gdzie nie mogę nic widzieć. Tylko wymacać, opuszkami wyczuć charakterystyczną perełkę na pojedynczym włosie i ściągnąć ją paznokciem. Potem nacisnąć, by trzasnęła bezdźwięcznie. Przecież nie poproszę o pomoc męża-kochanka! Są gra-nice intymności.

(Mama pojechała, zostawiając gorączkę, zabierając kaszel.) Już mnie ręka boli. I pochylony kark. O ty Polsko Ludowa! Nienawidzę tego kraju! Po cholere tu wróciliśmy! Trzeba było zostać w Ameryce, wszyscy nas namawiali. Nawet nie mogę zapalić, nie mogę się napić, bo w ciąży jestem. Jakie ja dziecko urodzę po takich przygodach?

To był początek lutego. Dopiero końcówka kwietnia miała przynieść ze sobą powiew prawdziwej apokalipsy. Gwiazda Piołun, reaktor w Czernobylu, dojrzywał do wybuchu...

Starają się, zabiegają, nieustannie organizują swe życie, bez wytchnienia gromadzą rzeczy jadalne i niejadalne, znoszą do domu rozmaite fragmenty ruchomego świata. Budują, pracują, walczą, bronią. Mrówki. Zawsze na służbie. Wszędzie wkoło dyszą mikroskopijne tulejki ich języczków...

To my. Często tak o nas, ludziach, myślę. Jak o rozsypanym istnieniu, które się mrowi...

I nagle coś nas sparaliżowało. Niewidzialne, niewyczuwalne, niewyobrażalne.

To KOMUNIKAT.

O chmurze śmiertcionośnych jonów. Które na nas spadają. Są przezroczyste i bez zapachu. We czwartek znaleźliśmy już liczby: czterdzieści razy przekroczona dawka w powietrzu, sto pięćdziesiąt razy w kałużach. A co będzie, gdy pęknie drugi reaktor?

Stoimy i patrzymy w okno. W niebo do bólu błękitne. Klon za szybą płonie zielonym ogniem. W ciągu jednej nocy jego korona pokryła się wielkimi liśćmi, a dotąd wiosna niemrawa była i leniwa.

Mówią, że to przez promieniowanie.

Jesteśmy napięci i spokojni, uroczyści i przerażeni. Zaczarowani.

Pierwszego maja idziemy na Dobrzyńską do przychodni, gdzie Nenek wypija jodek sodu, „jodynę” płyn Lugola... w każdym razie to coś, co go ma odczarować.

Dziecko w moim brzuchu nie dostało eliksiru. Niepotrzebnie szłam dwa kilometry w jedną i dwa w drugą stronę pod złowróżbną, niewidzialną chmurą (tramwaje nie jechały).

Oprócz chmury radioaktywnej spowija nas także splątana sieć dezinformacji. Zewsząd słyszymy sprzeczne komunikaty. Okna zamykać, w domu siedzieć, nie, nie siedzieć, iść do punktów, gdzie rozdają „odpromiennik” w płynie, który - raz jest skuteczny, raz nie ma większego znaczenia. Żywność nie została, ale została napromieniowana. Mąka, kasze, mleko szkodliwe, nieszkodliwe, wykupione, nie wykupione. Dorośli nie potrzebują jodyny, ale jak po znajomości, to potrzebują i mogą wypić. (Paw nie znał nikogo znajomego.) Na ciążę ponoć lepiej nie pić. Lepiej pić. Jagód i grzybów nie zbierać w tym roku, przez sto lat, przez dwieście pięćdziesiąt. Bo strąd... A może stront? A tam! Tyle tego strontu, co w dymie z ogniska...

We środę nic jeszcze nie wiedzieliśmy, byliśmy pewni, że rzeczywistość jest taka, na jaką wygląda. Chodziłam po mieście z tym swoim wielkim brzuchem, stałam na postoju, czekając na taksówkę prawie godzinę, na koniec, gdy już była moja kolej, jakiś cham bez nogi władował się przede mną. Tramwaje nie jeździły przez plac Wróblewskiego. Żadnej ławki. W domu długo odpoczywałam. Potem wyszłam na pocztę. Padał wiosenny deszcz, wystawiałam twarz na ciepłe krople.

A podobno środa była najgorsza, chmura wisiała dokładnie nad nami. Jakie ja dziecko urodzę???

Wolna Europa precyzuje rozmiary katastrofy.

Trzydzieści mikrorentgenów, dwa razy tyle, co normalnie, to w Warszawie. W Mikołajkach przekroczone sześciokrotnie. Mikołajki to

gdzieś nad morzem. Dwieście rentgenów, dziś w Czernobylu (mnóstwo ludzi tam zginęło, władze ewakuowały miasto i okoliczne wsie), dwa razy mniej niż w piątek. Co to znaczy dwieście?

Liczby, które wybuchają w każdej komórce organizmu, a my nic nie czujemy.

Liczby, które nas informują tylko o poziomie strachu.

Przywlekliśmy do gniazda dwadzieścia kilo kaszy kukurydzianej, gryczanej, manny, mąki, cukru, mleka w proszku. Zeszłoroczne, nieskażone. Wsypałam to do poszewek na jaśki i powiesiłam na sznurkach w komórce w przedpokoju, nad butami, odkurzaczem, skrzynią z narzędziami. Zapasy na przyszłość.

Przyszłości nie może nie być!

Mam małe dziecko, drugie zaraz się urodzi. PRZYSZŁOŚCI NIE MOŻE NIE BYĆ.

Paw ma w pracy licznik Geigera. A więc liczby przychodzą z nim do domu każdego dnia.

Popromienne życie mrówek...

„Wzniosła maszyna do szycia” - tak powiedziała Colette o Bachu.

Zaś Napoleon nazwał Talleyranda „gównem w jedwabnej pończosze”.

Pogarda ludzi inteligentnych ma siłę rażenia - i poezji, i obelgi zarazem. Możemy się nie zgadzać z oceną jakości, która jest wystawiana, ale nie możemy się nie rozkoszować trafnością formy.

Życie to nastrój. Wszystko sprowadza się do samopoczucia.

Budzisz się o czwartej rano (typowe dla depresji) i wraz z całym światem (to znaczy z tą jego częścią, która przynależy do naszej szerokości geograficznej) czekasz na łaskę światła.

Leżysz z otwartymi oczami i patrzysz, jak blaknie noc, jak rozwiązuje się jej czarny wór, w którym spędziłaś tyle godzin, na przemian śniąc kosmary i przeżuwając strzępy jawy. Czekasz na światło świtu, które jest także ciszą, kojącą, leczniczą ciszą; ona zgasi ten zgiełk myśli, męczących dialogów, co się nie mogą przerwać w rozgorączkowanej jaźni.

Niewola niedokończonych, źle przeprowadzonych rozmów, nie rozładowanych konfliktów, bolesnej, niesprawiedliwej wymiany zdań. Pułapki międzyludzkich sytuacji. W domu. W pracy. W sklepie. Na ulicy. To podpałka dla bezsennych nocy, żar i trucizna. Wewnętrzny zgiełk.

Nocą zapala się wielki kinematograf i znów widzisz scenki z minionego życia. To bolesne, bo jesteś jak żywa, a wszystko dzieje się jak na jawie...

Grand Hotel w Sopocie. Pamiętam: zimny dewolaj i biała wódka.

Kto takie menu wymyślił na wesele? Ojcowie: mój i Pawia. A na deser lody iglaste, bo z igłami lodu, źle zmrożone, palące mrozem w zęby.

Grand Hotel, nadmorska mekka artystów i nomenklatury PRL-u. Zjeżdżali tutaj, żeby się pobawić w Europę. A my tu ze skromnym obiadem poślubnym na jedenaście osób.

Rodzice, świadkowie, wujek z ciotką (ze strony pana młodego), ciotka bez wujka (ze strony panny młodej), miejscowy kuzyn i koleżanka. Bez tortu. Nawet gdyby był, to na szczycie musiałyby stanąć nie figurki

panny i pana młodego, ale teściowej, rozpaczającej, Piety zgiętej wpół nad losem syna nieszczęsnego.

Nie mogę zapomnieć jej twarzy, w którą wryła się rozpacz. Nieszczęście, nieszczęście, myślałam, patrząc na nią w najuroczystszym dniu mojego życia, Ecce homo...

Okazało się, że Paw ma matkę, tak samo jak ma rękę, nogę, kolor oczu... Biorę ślub z tym wszystkim. To zapamiętałam. Zwiduje mi się w bezsenne noce moja teściowa prowadzona pod ramiona przez kuzynów, słaniająca się, omdlewająca na schodach Urzędu Stanu Cywilnego, a ja nic nie mogę zrobić, bo to ja jestem - winna.

Z dyktanda urzędnika USC nie mogłam zapamiętać naraz więcej niż trzy słowa, zacinałam się, publiczność czekała w napięciu, on podpowiadał litościwie.

Coś podpisałam. Papier. Piórem.

Z taśmy poleciał Mendelssohn. Banał. Szliśmy w takt tych przytłumionych dźwięków. Poczułam się jak kura małej rasy, która kroczy. Nie powinnam była tak się poczuć.

Nagranie z uroczystości dostaliśmy odpłatnie.

Wyszłam za mąż. To było ponad moje siły.

Najgorsze są noce, gdy dzielność śpi, a ja się budzę. I muszę stawić czoło zmorom czasu, który jest co prawda nieuleczalnie chory, ale nie jest śmiertelny! Światło, potrzebuję światła.

„Wracam do domu, a tu oczywiście nic nie zrobione! Cholerny bałagan wszędzie! Zrób coś, żeby ta gówniara nie ryczała! Co tu robią te butelki! Dlaczego nie załatwiłaś tego, o co prosiłem? Wszystko rozwłózione! Bo tobie zawsze coś jest!

Inne kobiety jeszcze do pracy chodzą i nie narzekają! Dostajesz na życie, masz tylko dzieci i sprzątanie! Dlaczego pranie nie nastawione? Po co tak kwoczysz wkoło tego gówniarza, weź się do czegoś! Po co ja w ogóle do tego domu przyszedłem, nikt tu na mnie nie czeka! Najlepiej zaraz wrócę do pracy!

Ścieżka dźwiękowa mojego życia w tym domu - krzyk.

Nie wystarcza mi czasu.

Czas mi nie wystarcza.

Potrzebuję więcej czasu. I więcej wieczności.

Aby obsłużyć istnienie.

Istnienia jest o wiele za dużo jak na dany mi czas.

Ratują mnie chwile wieczności. To są krople wzmacniające, życiodajny eliksir. Gdy Paw się wywrzeszczy i wyjdzie trzaskając drzwiami tak, aż się futryna luzuje, zostaje po nim coś więcej niż cisza, przepaść ciszy. To są te chwile, gdy jestem poza czasem, siedzę, stoję, trwam, a może płynę albo spadam, patrząc i nie widząc, jestem ponad, ale pod, obok i poza... Cudowne uczucie. Absolutne odprężenie.

Może w istocie poczucie wieczności jest doświadczeniem wyłącznie subiektywnym, czyli psychicznym. Ale jeśli nie? Jeśli jest to jakiś „przeciek z góry”? Z potężnego Absolutu, który tak jest napięty w sobie, że chwilami nie trzyma już, nie ogarnia swej wieczystej substancji, a wtedy i nam się coś dostaje?

Chwila wieczności po awanturze. Albo po wielkim bólu, gdy właśnie zniknął, zabierając cały swój hałas, a zostawiając najczystsze światło. Albo nocą po miłości, gdy leżymy w zupełnej ciszy, spokojni już, ale

nasze oczy nie mogą zgasnąć nawet pod zamkniętymi powiekami, bo widziały coś, czego się nie da porównać z niczym na ziemi.

Pamiętam takie chwile. Ale to się trzeba bardzo mocno kochać, by dostać trochę wieczności tym sposobem...

Kamień wie, jak miękki jest rzeźbiarz.

„Gdy terminator skaleczy się lub narzeka na zmęczenie, robotnicy i chłopcy określają to takim pięknym zdaniem: to zawód wchodzi w ciało. Za każdym razem, gdy znosimy ból, możemy naprawdę powiedzieć sobie, że to wszechświat, ład i piękno światła, posłuszeństwo stworzenia względem Boga - wchodzi w nasze ciało". Nie wierzę w Boga posłusznego i pokornego, ani w uszlachetniającą rolę jakiegokolwiek bólu. Nie wierzę Simone Weil. Ale to, że zawód wchodzi mi w ciało, to czuję. Zawód - żona. To kaleczy i jątrzy. Przez te skaleczenia uchodzi też ze mnie ład i piękno światła.

Awantura to moje domowe ognisko. Rozpłomienia mnie, ale nie oświeca, niestety. Gdybyż tę energię, którą wytwarza awantura, przeobrazić w wolę i decyzję odejścia!

Incipity, po których poznaje się, że związek na pewno nie jest partnerski:

„Ja sobie nie życzę..."

„W moim domu tak nie będzie, że..."

„Czy wiesz, co twoje dziecko zrobiło..."

„Nie będę tolerował ani chwili dłużej..."

„Twój nienormalny synek znowu..."

„Słowo jest elegią tego, co oznacza".

Przypomniało mi się moje największe marzenie z dzieciństwa.

Ja - dziecko żłobków, przedszkoli, kolonii letnich, obozów zuchowych, podwórek z jedną huśtawką, wspólnych pokoi - lubiłam sobie przed snem wyobrażać, że wskutek jakiegoś czaru zamiera całe miasto. Że nagle w środku dnia, w domach, sklepach, biurach wszyscy ludzie nieruchomieją tam, gdzie akurat stoją, jakby doznali paraliżu, niemoty i amnezji, zamieniają się w manekiny, pozostawiając świat otwarty, niezabezpieczony, nagi, niczyj. A więc mój! Bo tylko ja jedna, mała dziewczynka, córka tłumu i zgiełku, pozostaję żywa i ruchoma, wreszcie nikt mnie nie kontroluje, nie zabrania, nie powstrzymuje! Mogę wszystko! Idę przez ulice pogrążone w kompletnej ciszy i słyszeć tylko stukanie blaszanych żabek, którymi podkute są moje trzewiki.

I sobie wchodzę do Spożywczego, i biorę dwa, nie, pięć, plasterków szynki, które zjadam bez chleba. I jeszcze tłuste płaty żółtego sera, takiego z dziurkami. Bo w domu na co dzień jadaliśmy twaróg, kanapki z twarogiem, których kwaśne kęsy bez popijania z trudem przesuwają się przez gardło. Zwykle w szkole na dużej przerwie wpatrywałam się w drugie śniadanie Lilki, wpatrywałam się w nie nosem, bo pachniało wniebogłosy, białe zawiniątko, bułeczka, wyjmowała ją z tornistra, który cały był zarażony aromatem szynki z masłem!

Czasami, gdy miała dobry humor, dawała mi jednego gryza. Nigdy nie żądała rewanzu. Widziałam, jak jej cienkie spojrzenie wślizguje się kontrolnie w moją kanapkę, pomiędzy dwa kawałki chleba ściskające płat białego sera, i cofa się ze wstrętem. Na krótką chwilę sama stawałam się tą swoją Kanapką z Twarogiem i zalewała mnie fala wstydu... Ale wprędce zapominałam, bo podarowany kęs szynki rozpływał się w ustach i zaraz biegłyśmy na dziedziniec, by się wdrapać na stojący tam na wysokim

cokole pomnik trzech radzieckich czołgistów, z których jeden, w przykłęku, trzymał wielki pocisk, ten był mój, miał na imię Timur. Lilka wybrała Kołę, tego z wyciągniętym w górę ramieniem, a Danusia, moja druga przyjaciółka, Iwana, z otwartymi do zwycięskiego krzyku ustami. (Danusia każdego dnia dostawała od matki zamiast śniadania dwa złote na ciastko tortowe ze szkolnego sklepiku, i tego to już obie z Lilką szczerze jej zazdrościłyśmy.) Wszyscy trzej czołgiści byli pokryci grubą warstwą ciemno-zielonej olejnej farby, od stóp do głów, razem z twarzami.

Spożywczy, z przedwieczornych marzeń, oferował mi wszystko za darmo: ciastka tortowe, kwadratowe irysy, z których papierek odchodził z trudem, więc się je jadło z papierkiem, celofanowe torebki „kamyczków”, czyli orzeszków w kolorowym lukrze i rodzynki w łupinkach z czekolady. Za sklepem (i na jawie, i w marzeniu) była budka z lodami „Pionier”, po których boli gardło (według mamy), upakowanymi do wielkiego termosu, dalej był Warzywniczy z bananami, („to tylko słodsze ziemniaki”), a na placu przy ulicy Walki Młodych stał cyrk, mieli tam w klatce małego niedźwiadka, gdy wsuwałam rękę pomiędzy pręty, mały chwycił mój palec i ssał zapamiętałe, łaskotało mnie to, i troszkę brzydziło, ale jakże się czułam upragniona!

Zamykając oczy przed snem i ruszając na wycieczkę po zamarłym mieście, zawsze trafiałam do budki z lodami, a zaraz potem do cyrku. Otwierałam klatkę i zabierałam niedźwiadka, miał być już na zawsze mój. Miś był żywy, ale lalka z długimi włosami do czesania oczywiście nie: miała na imię Izabella, bo to najpiękniejsze imię dla kobiety, i siedziała na wystawie Papierniczego, w którym był też dział zabawek. Kosztowała tyle, że „nawet nie masz co marzyć” powtarzała mama, a więc marzyłam

co wieczór. Wchodziłam do Papierniczego i sięgałam po Izabellę, ostrożnie dotykałam jej jasnych włosów do czesania i czarnych rzęs, które były jak prawdziwe, przechylałam ją rytmicznie do przodu i do tyłu, a jej oczy otwierały się i zamykały; zamykały się trochę za mocno i pokazywała się od góry szczelina w oczodole, nad odciętą powieką, kryła się tam nieznana pustka wnętrza głowy Izabelli. Spozstrzegłam to kiedyś w sklepie, bo i na jawie chodziłam do tego sklepu, kłamiąc jak z nut, że mama obiecała mi tę lalkę, gdy tylko dostanie pensję w pracy. Sklepowa podawała mi to cudo z porcelanową maską, a ja przez chwilę przechylałam ją rytmicznie do przodu i do tyłu, patrząc w te oczy, które zamykały się i otwierały...

Moja wyobraźnia w ogóle nie zajmowała się unieruchomionymi ludźmi w mieście. Czulałam satysfakcję, że jestem jedyną żywą dziewczynką na świecie, a oni nie mogą mi niczego kazać ani niczego zabronić. Nasycalam głód rzeczy, nareszcie mogłam MIEĆ! Parłam naprzód przez świat konsumpcji „środkowego” PRL-u lat sześćdziesiątych, na pięknym czerwonym rowerze z Rowerowego (na czymś takim „łatwo wpaść pod auto”), dzierżąc namiętnego niedźwiadka i sztywną Izabellę, jadąc prosto na Basen, za dnia dla mnie niedostępny, bo przecież „mogłam się w nim utopić”. Rozebrana do majtek wskakiwałam do wody z kaflowego słupka „na główkę” i pławiłam się w zielonej wodzie, roztopiałam się w niej... zasypiając coraz głębiej i głębiej... nasycona wreszcie, nasycona...

Trzydzieste Urodziny. 27 sierpnia. Mam trzydzieści lat, dwoje dzieci, dwupokojowe mieszkanie w mieście odziedziczonym po cudzych przodkach.

Historia ma przerwę, nie dzieje się nic. Pospolite polowania na proszek do zębów, na papier toaletowy, życie jak w motku szklanej Waty - niby miękko, a każdy ruch boli.

Kolejki po mięso, awanturogenne „bezkolejki” z wierzgającym dzieckiem na ręku. Rózia ma prawie dwa lata, Nenek siedem, ja trzydzieści, mój mąż jest bez wieku, w ogóle go nie ma, żyje w „krajnie Pracy”, gdzie wzrok nie sięga. Powraca nocą, gdy dzieci śpią, gdy ja wpatrzona w granatową szybę okna studiuję w wyższej szkole Czekańa Na Ukochanego.

Czy już poszłam sobie po urodzinowy prezent? Zwykle dostaję podarunek, który się nazywa „kup sobie coś małego”.

Nie poszłam. Upał. A w tym upale jak w klatce rzuca się na wszystkie strony gorący suchy wiatr. Chwyta się futryn, jak chory, co chce do domu.

Mieszkamy na ostatnim piętrze; nad głową mam warstwę trzciny, desek, na nich żwir i 50 centymetrów rozpalonego pod papą powietrza (tanie poniemieckie osiedle dla robotników). W domu dywany, tapicerowane fotele, kanapa, wszystko rozparzone. Na samą myśl robi się duszno. Regały pełne spuchniętych książek.

W kuchni na piecu para bucha z wielkich garów wody, którą codziennie „uzdatniam”. Odczyniam uroki nad demonami chloru i fenolu przez filtrowanie, gotowanie, studzenie i wrzucanie na noc do tych garów srebrnych łyżeczek. Rankiem - czary! - woda ma po-smak źródłany i nadaje się do picia.

Trzydzieste urodziny. Wchodzę w „wiek balzakowski”, bardzo śmieszne.

Biegam po domu w plastikowych fakirkach zamiast kapci.

W sklepach nie można dostać ani ładnych, ani żadnych kapci...

Za to kolce w fakirkach zadają mi codzienną, upragnioną, masochistyczną rozkosz. Czyż nie pasują do mojego życia? Każdy krok przypomina mi, że moja młodość jest bolesna i niewygodna, za to piekielnie zdrowa. Posłuchałam matki („Najpierw życie, potem wiersze. Za mąż trzeba wyjść, dzieci mieć”) i posłuchałam siebie: zapragnęłam być normalną kobietą, mieć normalny dom, a tylko w uzupełnieniu posiadać też niedużego, poręcznego, kanapowego pegaza...

Normalność jest potworna.

Jakże trzeba poganiać Życie, żeby łaskawie żyło! Zabieramy to życie na spacer, aby się przewietrzyło. Karmimy je, żeby nie osłabło. Kładziemy do łóżka, by się wyspało, albo kochamy się z kochankiem, aby to życie dotknęło w sobie tego czegoś, owej tajemniczej energii, która je uskrzydli i rozpali! Na chwilę.

A na co dzień ciągniemy je za sobą, jak dziecko worek z kapciami...

Od początku nie było nie tylko sympatii, ale nawet akceptacji.

Jeno ponure przyzwolenie. Kolejne nieszczęście, które przytrafiło się tej rodzinie. Tym razem to ja byłam nieszczęściem.

Nieudane życie babki Meir owocowało zawsze czarnym nasieniem. Wyszła za mąż jakoś tam kochając, ale i dlatego, że nie miała gdzie mieszkać po wojnie. Także jej siostra i brat nie mieli domu, bo kamienicę zburzyli Niemcy, a majątek wiejski upaństwowili komuniści, którzy do dworku wpuścili świnie i uświnionych robotników. Nic nie wskazywało na to, że sprawa jest przejściowa, pegeery się w nowej Polsce rozpanoszyły, a

pany poszły na poniewierkę. Dobrze było więc iść za męża, choćby z niewielkiej miłości, tym bardziej, że wybranek otrzymał dom na „ziemiach odzyskanych”, z fortepianem (gabinetowy Bliitner) na werandzie, grywał Fur Elise, a do tego jako syn przedwojennego aptekarza znał nawet podstawy francuskiego!

Idylla trwała krótko, już po dwóch latach mąż okazał się niegodny wysiłku serca, zbyt pospolity, a ponadto choleryk i de facto cham.

Jednak ogród ćwierć hektara, z betonowym basenem, śliwy, jabłonie, grusza, brzozy, modrzewie; dom obszerny ze studnią w piwnicy, z kominkiem w pokoju kominkowym, no i fortepianem, na werandzie. Brat i siostra mieszkali razem z nimi jeszcze pięć lat, zanim nie znaleźli swego miejsca na ziemi.

Czy to wszystko i przynajmniej tyle nie należało jej się od Niemców, którzy zamordowali jej świat? Czy to wszystko i przynajmniej tyle nie należało jej się od Boga? Który jednak nie miał prawa przestąpić progu tego domu, bo Bóg, który dopuścił do takiej wojny, nie miał prawa do niczego.

Tymczasem ukochany jedynak, dziecko z takim trudem urodzone, wyczarowane z popiołów gasnącej miłości, wymuszone na istnieniu, wyszarpięte z łona wbrew naturze, piersią wykarmione (nie ochrzczone na przekór sługom Bożym, którzy pod dom przychodzili, z ambony grzmieli), ten syn jedyny ożenił się!!! Przedwcześnie! I to z kim? Z najbardziej nieodpowiednią osobą, córką nieodpowiednich rodziców, jakąś koleżanką ze szkoły, jakąś początkującą poetką... Czy Bóg ma prawo istnieć? Nie.

Jej Paweł, jedyne źródło ciepła, przy którym żal do świata, pogarda dla ludzi, rozczarowanie małżeństwem i całe to dojmujące uczucie - oszukanej przez Los - topniało, to źródło także pokrywało się lodem...!

Przy weselnym stole siedziała dokładnie naprzeciwko mnie, ubrana w sztywną granatową garsonkę zapinaną pod szyją, blada jak papier, z oczami, z których ziała otchłań rozpacz. Patrzyłam w nią jak zahipnotyzowana, jakby to był obraz wyemitowany z przyszłości przez samego diabła. Prawie wcale nie pamiętam mego młodego małżonka, choć zapewne siedział po mojej lewej stronie...

- Żeby wam było dobrze... - wyszeptała bezdźwięcznie w urzędzie po ceremonii zaślubin podczas obowiązkowego składania życzeń, i zatoczyła się lekko, ponieważ cały czas znajdowała się na granicy omdlenia.

- Chciałabym bardzo, żeby nam wszystkim było dobrze! - palnęłam spontanicznie i naiwnie (napompowana jeszcze wtedy Schweitzerowską ideologią krzewienia ogólnego szczęścia...).

Przez pierwsze lata wspólnego pożycia starałam się „rozgrzać” moją teściową, choć stale paraliżowała mnie swym zimnym smutkiem i wyniosłym dystansem. W jej obecności głos mi się łamał, nawet gdy mówiłam o pogodzie. Kiedy miałam zejść na dół, aby zrobić coś do jedzenia (wtedy była jedna wspólna kuchnia na parterze), szłam jak skazaniec. Musiałam naprawdę zebrać się w sobie, w wyrzec konieczne „dzień dobry” lub „dobry wieczór”, a ból jamy ustnej podczas artykulacji był jak najbardziej fizyczny, bo się z psyche do somy przeniósł, przybrawszy postać nawracającego zapalenia dziąseł. To mój organizm manifestował swą niemoc w beznadziejnej walce o tak zwane porozumienie międzyludzkie.

Za to każde mniej oficjalne słowo z jej strony, każdy blady cień sympatii, którym mnie omiotła, traktowałam jako zapowiedź ocieplenia stosunków i szalałam z radości, że się wreszcie w mieszkam w ten dom i zostanę zaakceptowana!

- Ty się nie dawaj nabierać - gasił mnie mój młody mąż - to podstęp. Pamiętaj, ona cię nigdy NIE DOPUŚCI.

Nie chciałam mu wierzyć.

- Nie znasz własnej matki - przekonywałam z zapałem. - Nie znasz się na psychice kobiet. Mnie nie można nie lubić. Większość ludzi mnie lubi. Jestem niekonfliktowa, bezpośrednia, a nawet nie jestem nudna. Mam wyrazistą osobowość i talent do wczuwania się w psychikę innych. Wszyscy moi przyjaciele naprawdę mnie lubią!

Myliłam się. Te pozytywne cechy, których byłam nosicielką, nie miały dla matki mego męża żadnego znaczenia wobec faktu, że byłam poetką, a więc nieomal uprawiałam nierząd. Więcej, to właśnie te cechy umożliwiły mi wykorzystanie naiwności jej dziecka i przejęcia jego duszy! Byłam jeszcze jednym aktem przemocy, jaką stale stosowało wobec niej życie...!

- Powiedziała: „To bardzo dobrze”, gdy napomknąłem, że się jej boisz - doniósł mi syn swej matki, mój młody mąż.

Paw nie miał zielonego pojęcia o higienie uczuć i rodzinnej dyplomacji, informując mnie (z jakąś nieuświadomioną chyba satysfakcją) o moim położeniu. Zresztą, mój Boże, mieliśmy wtedy po dwadzieścia parę lat i oboje eksperymentowaliśmy na otwartym sercu...

Jedno dobre, że uczyłam się, z bólem co prawda, że nie można mieć akceptacji całego świata, i w dodatku żyje się z tym dalej!

Stan ostry przeszedł w chroniczny. Nie płakałam już co wieczór z powodu wyobcowania, za to coraz bardziej wczepiałam się miłością w swego męża, który zazwyczaj był do mnie pozytywnie nastawiony. Był bowiem w wieku, kiedy krzywa napięcia seksualnego u mężczyzn osiąga maksimum. Czułam się więc potrzebna, chwilami gwałtownie i natychmiast, i mogłam być pewna że, sądząc ze statystyk, mam przed sobą jeszcze co najmniej pięć lat szczęścia małżeńskiego opartego na solidnych fizjologicznych podstawach...

To oczywiście w ogólnym zarysie.

Szczęście chyba zawsze jest możliwe tylko w ogólnym zarysie. Istnieje przecież tylko dzięki zanikom pamięci. Gdyby wszyscy ludzie mieli fotograficzną pamięć, nigdy nie byłiby w stanie szczerze wyrzec sakramentalnego: jestem/byłam szczęśliwy/a, jesteście/byliśmy szczęśliwi.

Mam słabą pamięć. A więc: tak, byłam szczęśliwa! Kochałam go.

Szłam po niego na przystanek tramwajowy, gdy wracał wieczorem z Instytutu. A gdy było już później, po dziesiątej, wspinałam się na furtkę i wyglądałam na drogę, wisiałam na tej furtce, pod latarnią, pod jej pluszowym kołnierzem ze światła, w którym razem z moim niepokojem wibrowały nocne owady...

Byłam szczęśliwa, spowiadam się z tego, byłam szczęśliwa, mimo że kopał nocnik z siuškami, że wyrzucił oknem wiadro, że młynkiem do kawy wybił szybę, że wrzeszczał na dzień dobry i trzaskał drzwiami na do widzenia, aż luzowała się futryna. Byłam szczęśliwa, bo na spacerze (byliśmy kilka razy na spacerze) trzymał mnie za rękę i powtarzał w chwilach większych wzruszeń: „Jakie ja mam szczęście, że cię spotkałem. Dzięki tobie jestem innym człowiekiem”. O, był najbliższym mi

człowiekiem, namiętym kochankiem, przyjaznym bratem, archetypicznym groźnym ojcem i oczywiście miałam nieodparte wrażenie, że znamy się od dnia narodzin i jeszcze dawniej.

Czy taka dzielność w adoracji jest li tylko skutkiem owego niegdysiejszego androgynicznego rozłączenia???

Rozłączenie z teściową stało się w pierwszych latach małżeństwa moim obsesyjnym marzeniem. To dlatego po powrocie z Ameryki wydaliśmy wszystkie dolary na własne, osobne mieszkanie, na drugim końcu miasta, zostawiając rodziców Pawia samych w wielkim domu. Wyobrażałam sobie wtedy, że to już jest na pewno ten ostateczny krok ku wolności.

I Paw tam, we własnym, osobnym domu, złagodnieje, bo w wolności mieszka dobroć, nieprawdaż?

„Miska do niebojenia” - Nenek nakłada ją na głowę, gdy ma przebiec niebezpieczny teren.

Na przykład w domu są goście, a on musi przebyć trasę z łazienki do swojego pokoju. Używa wtedy - niczym hełmu - dużej plastikowej miski. I leci na przełaj jak pod ostrzałem, lekko pochylony, przytrzymując rękami swe wielkie nakrycie głowy. Przeświadczony, że skoro on nie widzi świata, to i świat jego nie widzi.

Inny przykład strategii obronnej mego synka. Gdy orientuje się, że zamierzam mu zrobić zdjęcie, chwytą pikowany pokrowiec na dzbanek do herbaty, naciąga go sobie na głowę i daje nura pod stół.

Pod kuchennym stołem jest jego schron. Czy on się boi błysku flesza? Czy to jest może nieświadomiony strach pierwotny przed tym, że robiąc mu zdjęcie, ukradnę mu jego duszę?

Pod stołem groza świata jest znacznie mniejsza. Stoi tam na stałe spodeczek z kukurydzianymi chrupkami „dla kota”, albo „dla tygrysa”, to zależy od sił żywotnych mego synka, od dnia (ale i od humoru taty, gdy wraca z pracy).

Bo ja jestem tygrys! - Nenek odzywa się spod stołu.

Rozkładałam gazetę i piję herbatę, a Nenek głośno wacha moją łydkę i się wypręża jak zwierzę z rodziny kotowatych... To może być rodzinne. Jeden z małych kuzynów Nenka (po mieczu) wchodzi do tramwaju wyłącznie na czworakach, ponieważ na stałe jest psem.

Ziaja też, z językiem na brodzie, gdy mu gorąco.

Siedzę na tapczanie i piszę. Nie cała jestem kurą do-mową, jednak się staram. Od dawna nic nie napisałam. Dziś mam kawałek wieczoru. Nenek u dziadków, którzy całą swoją miłość przelali z syna na wnuka. A więc pojechał mój synek do źródła czystej miłości, tam, gdzie piorunujący wzrok ojca nie sięga. Z żalem go oddaję na weekendy, ale to dla jego własnego dobra. Żeby sobie pobrykał po ogrodzie i zapomniał o strachu. Tutaj niedziela grozi tatusiem, bo tatuś przy niedzieli sporadycznie bywa w domu. Różia może zostać. Różia jest twarda, odpowiada furią na furie, niełatwo ją zastraszyć. Potrafi najnormalniej w świecie ugryźć wroga, albo złamać go uporem, albo wywieść w pole najśłodszym buziaczkiem. Dwuletnie dziecko, które umie nad sobą zapanować! Wczoraj Paw powiedział do niej w pewnej chwili: Marsz do swojego pokoju, będziesz mogła tu wrócić, jak przestaniesz ryczeć! I ta maleńka jak troll dziewczynka, obsmarkana, przepłakana na wylot, robi dwa okrążenia po swoim pokoju i wraca z suchą, kompletnie uspokojoną twarzą, i mówi krótko: Jusz. Mogę tu być?

Myślę, że do tej zakutej podświadomości Pawia dociera powoli, że w tej rozgrywce on jest tym słabszym, już jest albo za chwilę będzie.

Dlatego kocha Rózię, to znaczy prawie nie stosuje wobec niej terroru psychicznego. Poza wszystkim to jest córka, a ojcowie z córkami mają do załatwienia coś całkiem innego niż z synami. Proszę pytać Freuda.

Zrobiła się dziewiąta wieczorem, a Rózia wciąż nie śpi. Kręci się, wyłazi z łóżeczka, układa się na tapczaniku Nenka, znów wraca do siebie i tak w kółko. Gdy poszłam do niej przed półgodziną, siedziała całkiem goła i lizała kolano uszkodzone na spacerze. A kwadrans temu odbyła się taka oto scena:

Rózia pojawia się na progu mojego pokoju z nieodłączną „podusią” i ukochanym Wawusiem (ten pluszowy pies jest już całkiem zwiotczały z powodu namiętnej miłości Rózi).

Rózia pyta:

- Mogę pacić?

Uśmiecham się (bo chcę być cierpliwą matką) i mówię:

- Dobrze, patrz sobie.

Po chwili Rózia znów się odzywa.

- Mogę fikać?

- Możesz.

- Na pacianie?

- Możesz, tylko nie wolno mamie przeszkadzać.

- Mogę ciekać?

- Możesz...

I Różia wskakuje na tapczan i szczeka (w imieniu Wawusia), po czym zsuwa się na podłogę i skrada się do progu, gdzie leżą piesek i podusia. Obserwuję wszystko kątem oka.

Za chwilę Różia prowadzi Wawusia za uszy w moim kierunku, parę kroczków, i ruga pieska: Nie wolno pieszkadzać mamusi! Wawuś najwyraźniej nie słucha Rózi, wskakuje na tapczan, wchodzi mi na kolana i szczeka.

- Ty Wawusiu jeden, mówiłam ci, że nie wolno pieszkadzać mamusi!

- Różia marszczy gniewnie cieniutkie swe brewki.

Wreszcie ma dość teatru, mówi dobitnie i już wprost do mnie (bo wie, że zgłoszenie jest słuszne i godne pochwały):

- Mamusiu, mi cie siusiu!!!

To dziecko zawsze dostanie to, czego chce.

I tyle mojego pisania. Idę z Rózią do łazienki. Muzy, pegazy, dajmoniony. Wy wszystkie przegrywacie - z małym dzieckiem.

Paw źle znosi ojcostwo... To wygląda na ewidentny brak uczuć. Wystarczy popatrzeć na patrzenie. Paw paraliżuje Nenka spojrzeniem, a on zamiera jak pisklę przed atakiem kobry. Raz po raz Nenek wykonuje jakieś nerwowe ruchy, Paw wtedy huczy: - Nie smyraj się! - a wtedy mały całkiem kamienieje.

Stałą, rytualną, represją jest szukanie światełka z kompletu klocków lego, na dużym wielobarwnym dywanie; światełko, to klocuszek wielkości koralika o średnicy pięciu milimetrów. Bo po zabawie WSZYSTKO ma być w pudełku. Moje rozważania na temat dziecięcej psychiki i jej możliwości nie skutkują. Albo więc awanturę biorę na siebie („Ty zawsze

bronisz tego gówniarza!"), albo idę pomagać Nenkowi w poszukiwaniach brakującego klocka, nie reagując na ko-mendy typu: On ma to sam zrobić!

Kłękamy oboje na dywanie, i od lewego rogu do prawego przykładamy dłoń obok dłoni, miejsce przy miejscu. Tak „idąc” rękami po podłodze, w końcu któreś z nas „nadeptuje” na plastikowe światełko wielkości ziarnka soczewicy. Widzę ulgę i wielką radość w oczach dziecka. Oboje się cieszymy.

No, widzicie, że można? - mówi Paw pojednawczo.

Uśmiecham się do niego z nienawiścią.

Nie jestem dobrą matką. Nie jestem dobrą żoną. Jestem rozdarta pomiędzy ojcem a synem. Chcę ich obu zachować dla siebie, uratować dla nich samych i zbawić dla świata. W rezultacie jestem niewolnicą sprzecznych instynktów.

Ta moja miłość. Stygnie tak powoli, jakby trwała w czasie geologicznym, a nie ludzkim... Ale odrasta jak na przyspieszonym filmie!

Od ilu już lat jest tak samo? Spać się kładę rozczarowana, pełna najgorszych myśli, że oto już nie ma szansy na polepszenie, że mój związek małżeński ma się ku końcowi. A rano? Gdy tylko otrzepię się z resztek snu, czuję, jak wypełnia mnie rześka nadzieja! No i czemu ja wczoraj tak rozpaczałam? Przecież wszystko się ułoży, wystarczy porozmawiać, nawiązać łączność, wytłumaczyć, objaśnić, nakłonić, dać przykład, mieć pod kontrolą...

Różia.. Nieraz patrząc na nią, łapię się na myśli, że od dawien dawna znam tę dziewczynkę, że widywałam ją już przed wiekami, poza życiem, i że od zawsze jesteśmy razem. A może ona to ja?

Rodziła się długo, o wiele za długo, od popołudnia do białego rana. W tym czasie lekarz poszedł spać i położne też. Wszyscy chcieli doczekać w spokoju następnej zmiany. Kiedy nie mogłam już wytrzymać, zatykałam sobie usta poduszką albo chwytając zębami krawędź łóżka. Co jakiś czas miałam pół minuty na myślenie o śmierci, bo na tyle wracała mi przytomność umysłu. Patrzyłam w jaśniejące dniem okno i szybko modliłam się do tego okna, żebym już umarła.

Bo już nie wytrzymam. To było średniowiecze, egzekucja, rozrywanie na sztuki przez cztery konie... Pragnęłam śmierci, usta miałam jak strup, prosiłam o wodę, ale nikt do mnie nie podchodził.

O szóstej rano krzyknęłam, jak w natchnieniu jakimś ostatnim, do przechodzącej położnej, że chcę zadzwonić do ordynatora.

- A co, pani zna ordynatora? - zapytała podejrzliwie, zatrzymując się trzy metry ode mnie. - Znam... - wyjęczałam, bo właśnie wracał ból i wszelka myśl zwijała się jak palona bibułka, podałam jeszcze jego nazwisko i wcisnęłam twarz w podglówek.

Położna zniknęła.

Chwilę potem poczułam, że ktoś zdejmuje mi z ręki zegarek. Stał nade mną zaspany położnik, młody, młodszy ode mnie, lekarz.

Po kwadransie Rózia już była na tym świecie.

Przekroczyła granicę, z rączkami wyciągniętymi do góry, jakby się poddawała, jakby trafiła pod lufy pograniczników. Miała głowę koloru kapusty modrej, oczy zamienione w krwawą masę, a na szyi zaciśniętą pępowinę. Nie chwyciła powietrza w płuca, pozostały sklezione, jak sparciała guma. Cocarboxylaza, respirator i inne jakieś zabiegi dopchnęły ją w ciągu najbliższych minut do brzegu życia.

Uratowałam ją. Przed śmiercią? przed porażeniem mózgowym?
Przed służbą zdrowia?

Wstydzę się, że chciałam umrzeć.

Jestem dumna, że „zrobiłam awanturę na porodówce”, jak to potem komentowano w dyżurce.

Teraz patrzę na tę dziewczynkę, jak sięga zgrzana po wodę (ma na czole wielkiego naczyniaka w kształcie litery V, nazywamy go znakiem zwycięstwa), widzę, jak się dławi dysząc, jak odstawia gwałtownie szklankę, z trudem łapiąc oddech, i wybucha śmiechem. - Sie utopie! - woła pryskając kropelkami i ucieka z kuchni.

Ja też urodziłam się z pętlą na szyi i też nie umiem wypić duszkiem szklanki wody. Już po dwóch łykach wpadam w panikę i zatyka mi oddech. Jakbym się miała utopić w tej szklance wody...

Różia. Córka. A może ona to ja?

Ból nie jest jeden, to cała rodzina bólów. Rodzina, do której należą typy rozmaite, od księżycowych, bladych, znikliwych, po piekielne, otchłanne, demoniczne. Od twórczych po niszczycielskie, od sensownych, obiecujących szczęśliwe zakończenie po zimne, nienawistne, bezkresne.

To rodzaj towarzystwa, do którego nie trzeba się zapisywać, prędzej czy później zawsze do nich trafisz. Przysiądzie się któryś z nich do ciebie w poczekalni, niekoniecznie u dentysty, albo podczas eleganckiego spotkania, gdy na sofie, ściskając kolana, trzymasz kieliszek za cienką nóżkę...

Ból uwielbia się łączyć na przykład ze wstydem i upokorzeniem, albo z nienawiścią, na przykład do siebie samego, albo z miłością łączy się ból i wtedy niekoniecznie przez ciało, bo i przez duszę się dostaje do piersi

i schodzi głębiej, i boli całkowicie fizycznie, aż się nie można wyprostować...

Może się też ból połączyć z euforią: tak jest, gdy rodzisz dziecko, w tej ostatniej chwili, gdy ono już wreszcie wyślizguje się pośród niesamowitego, transgresyjnego i transcendentalnego hałasu napinanych i rozrywanych tkanek twego ciała. To ciało krzyczy, jakby rodziło cały świat, a nie tylko jeden nikły płód, i śmieje się twoje ciało w rozdzierającym bólu, epifania krwawi, wydobywa się całkiem nowe Istnienie, i jest święto, jakby bóg się rodził, bo przecież każdy jest bogiem, nie przebudzonym nigdy bogiem...

Jestem sarkofagiem śpiącego boga

Modłę się sobie do środka (To ułomek wiersza, który napisałam kiedyś i wciąż nie mogę rozwinąć tej intuicji.)

Czuję, że mam w swym mózgu Wszystko, ale nie da się tego uruchomić. Działa zawsze tylko Fragment. Tylko cząstki jakiegoś, punkciki na firmamencie rozumu. A jeśli w kimś się budzi większy obszar mózgu, to musi za to zapłacić szaleństwem (Lombroso, podstawowa lektura „uczniów czarnoksiężnika"...). Jeśli już ktoś genialnie, w sekundę, wyciąga pierwiastek z liczb wielocyfrowych, albo gra Mozarta ze słuchu, nie znając nut, nie potrafi za to zawiązać sznurówki, bo jest autystą i wyje waląc plecami o ścianę, gdy na ulicy włącza się alarm samochodowy. Jeśli ktoś zmienia osobowość i czuje, a on naprawdę czuje, że jest Napoleonem, a więc przekracza czas i siebie, to znaczy, że jest schizofrenikiem i koniec, kropka: pomylenie, zastrzyki, prochy.

Jakiś diabeł pilnuje boga w naszych głowach, ogranicza go, usypia, wciąż wyłącza podstaje, żeby, broń cię panie diable, nie doszło do WSZYSTKIEGO.

Ponoć męczyzna to zmodyfikowana kobieta. Na początku życia płodowego wszystkie zarodki są żeńskie.

Dopiero po czterdziestu dniach hormony ewentualnie zmieniają cechy embrionu. Stąd słabsza tożsamość płciowa mężczyzn. Dalsze „próby sprawnościowe” zaczynają się w wieku około półtora roku, gdy dziecko przechodzi przez okres utożsamiania się z opiekunem, czyli matką. W przypadku chłopca jest to utożsamienie się z płcią przeciwną. Następujący wkrótce potem proces indywiduacji jest dla niego trudniejszy. Musi on wywalczyć swoją płęć, zaprzecić się pierwiastka żeńskiego w sobie („kobieta to atawizm” - Herbert Spencer) już po raz drugi (wcześniej na poziomie komórkowym, teraz psychicznym). Powinien odrzucić matkę, by zaistnieć jako osoba (osóbka), a przecież z matką kojarzą mu się wielkie przyjemności: ciepło, sytość, bezpieczeństwo. Chłopiec kocha teraz matkę „od zewnątrz”, pożąda jej i pragnie powrotu do dawnego stanu, bo poznawany świat jest groźny, a życie wymaga nieustannego wysiłku. Ale okazuje się, że matkę należy czcić i szanować, pragnąć jej już nie wolno, to społeczne tabu. Nie ma powrotu na stały ląd i młodziutki żeglarz na oceanie miłości zaczyna walkę z siłami natury wśród spiętrzonych norm obyczajowych. Trzeba matkę odepchnąć, na odległość szacunku, nie dotykać jej. Zdrowo jest poczuć niechęć do wszelkich bliskich z nią kontaktów, chociaż nie należy tego okazywać.

Dobrze, terapeutycznie i wzmacniająco jest poszukać innej kobiety.

Aby była wyzewnątrzną żeńskością.

Aby zasada męska i zasada żeńska ostatecznie się spolaryzowały.

Aby zniknęła raz na zawsze ta niewygodna, niezrozumiała ambiwalencja.

Poszukać innej kobiety. Z którą będzie można zrobić wszystko. Wszystko.

Mam być niezależna, ale jednocześnie podległa. Powinnam mieć swój własny świat, ale bez ustanku obsługiwać jego świat. Nie powinnam się malować, jednak powinnam zawsze ładnie wyglądać, atrakcyjna być i podniecająca.

- Ale rakietka! - mówi Paw na ulicy i pokazuje głową na prawo.

Spoglądam we wskazanym kierunku i widzę chudą, z wielkim biustem, nieprzytomnie wysmarowaną na buzi blondynę. Zalewa mnie fala złości, ale milczę.

Po paru metrach sytuacja się powtarza: idzie jakiś cud ulicy. Paw się błogo uśmiecha, a ja potykam się o płytę chodnika. W tym momencie rozanielona gęba mego męża zmienia wyraz, jakby mu kto przejechał po nosie grzebieniem.

- Czy ty się musisz zawsze tak potykać?! - wybucha gwałtownie.

- Czy ty jesteś jakaś słaba?! Czy ty się znowu źle czujesz?! To może wrócimy do domu?! Tobie zawsze coś jest! Nic nie wychodzi! Nic nie można załatwić! Wszystko jest bez sensu! Mam już tego wszystkiego dość! Idź sobie sama, jeśli chcesz! Przecież to był twój pomysł! Proszę bardzo, idź! Ja wracam!

I on wraca. Po prostu. Robi w tył zwrot i odchodzi.

Oto przykład creatio ex nihilo... Nie wiadomo jak i dlaczego wybucha awantura i w dwie minuty wszystko zmienia kolor i smak.

Wściekłość to on ma chyba zawsze przy sobie, potrzebuje tylko iskry. Oniemiałym spojrzeniem odprowadzam jego postać. Naprawdę odchodzi, zaraz zniknie za rogiem. Idzie szybko, macha ramionami, jego olbrzymie buty odpychają chodnik w tył, błyskawicznie powiększając odległość między nami.

Czuję pustkę, ale taką zaczepną, pełną fruujących haczyków, fruujących nad przekleństwem, które każe mi trwać w tym związku. I sobie myślę jak najbardziej niecenzuralnie i wolnościowo: Kurwa mać, co ja robię w tym życiu, z tym obcym facetem, z tym gówniarzem, przecież ja go nienawidzę...!

„Kobieto, co się z tobą dzieje?!”

„Człowieku, co ty wyrabiasz?!”

Jeśli w twoim domu dają się słyszeć podobne inwokacje, to znaczy, że miłość umarła, a twój związek ma już tylko cechy gatunkowe.

Czas zbierać manatki.

Paw woła na mnie „kobieto”, ja na niego „człowieku”, albo nawet „facet” (a to znaczy tyle co kundel pośród rodzaju ludzkiego).

Ciekawe, że język tak jest ułożony, że za gromadą kobiet nikt nie zakrzyknie: „Hej, ludzie!”. Żeby tak się stało, towarzystwo być musi co najmniej mieszane...

Miałam szesnaście lat, gdy byłam na jakiejś popołudniowej grzecznej prywatce, na której był również Paw, wtenczas jeszcze mało mnie obchodzący kolega ze szkoły. Z wielką pasją zajadałam wiśnie z kompotu, co należy wytłumaczyć faktem, iż moja mama z powodu braku wyobraźni kulinarnej nigdy tak egzotycznych po-traw jak kompoty nie gotowała.

Ach, wiśnie z kompotu!

- Dziewczyno, co ty wyrabiasz?! - młodziutki Paw(eł) przechylił się przez ławę z wyrazem dezaprobaty i politowania na twarzy. (Ława - niski stół biesiadny, z blatem na wysokości kolan, modny szczególnie w epoce gierkowskiej, nadający się w istocie tylko do czytania gazety lub pogryzania słonych paluszków. Jednakże Polacy przy ławach śniadali, obiadowali i podwieczorkowali, kultywując niewygodę i składając ofiarę z sukien i spodni obficie oblewanych i obsypywanych spożywanym pokarmem.)

Pamiętam, że zamarłam pod wpływem paraliżującego spojrzenia kolegi ze szkoły, a łyżeczka z kolejną wisienką zatrzymała się tuż przy moich ustach. I w tej pozie pozostałam przez chwilę, bo się nagle zamyśliłam poważnie... Nie w kompocie jednak i nie we wstydzie namiętnego spożycia tkwiła przyczyna popadnięcia w stan refleksyjny, ale w owej „dziewczynie”. Paw nie powiedział po prostu „Hanka” (przecież znał moje imię), albo nawet „łakomczuchu”, ale zawołał „dziewczyno!”, z wyżyn (jak to później stwierdzić mogłam naocznie) swej piwnicy wypakowanej po brzegi słoikami pełnymi kompotów.

„Dziewczyno” - usłyszałam w tym wołaczu pogardliwą intencję zaszeregowania mnie do podgatunku bezimiennych, głupich, młodych samic, które nie wiedzą, co czynią. (A przecież podobałam mu się i w przyszłości swe serce dla mnie wyościł aksamitną czerwoną szmatką...).

Dlaczego w zawołaniu „dziewczyno”, „kobietko”, „babo”, jest coś niemilego, nawet obraźliwego, a w słowie „chłopcze”, „chłopaku”, „mężczyzno”, nawet „chłopie” na pewno jest sama tylko sympatia?

Żeby wyrazić dezaprobatę muszę zakrzyknąć: „facet!”.

Niesprawiedliwość tkwi w języku, a więc musiała pojawić się wraz z pierwszą artykulacją.

Bóg wyjął Adamowi żebro i dał mu je do zabawy.

O! Zemsta zabawek! Zemsta Ewy...

O, jedno jabłko to za mało! Trzeba było dać Adamowi kompotu z tony owoców zakazanych!

Paw, tak jak i ja, miał wtenczas szesnaście lat i był tylko wyrosniętym chłopaczkiem, a jednak nie mogłam mu zapomnieć tej „dziewczyny”.

Podświadomość widać kontynuowała swą pracę przez wiele następnych lat. Kiedy więc usłyszałam niedawno bliźniaczą inwokację:

„Kobieto, co ty wyrabiasz?!”, natychmiast się zorientowałam, że nasz związek zawraca do przykrych prapoczątków.

Miłość, szczytowy punkt ludzkiego życia, siła napędowa świata, a” więc, czym prędzej na szczyt! Zakochałam się, bo był czas po temu, bo on był taki opiekuńczy, poczciwy, rozsądny, „zaplanowany” - młody, obiecujący uczoney! A nie jakiś artysta, wariat, co pije i pisze... Tego mi było trzeba. Poetki powinny się łączyć z mężczyznami „solennymi”, najlepiej z uczonymi. Dzieci i takiego związku będą geniuszami!

Paleocortex, „stary mózg”.

Instykt przeżycia oraz uczucie miłości umiejscowione są w „starym mózgu” właśnie, razem, w tym samym miejscu w naszej głowie. Dlatego problemy miłości są dla nas zawsze sprawą życia i śmierci. Dlatego jelenie walczą na rykowisku do pierwszej krwi, a wilcy to się i pozagryzać potrafią. Ja muszę swoją walkę, swoją klęskę miłosną zatrzasnąć w książce, albo umrzeć, sczeznąć, inwolować, zostać nikim.

Na świecie ma się do wyboru tylko samotność albo pospolitość.

Tako rzecze Schopenhauer. Zostałam obdarowana jednym i drugim.

Na własne życzenie. A miałam pisać wiersze! U boku dobrotliwego mecenasa...

Nie umiem już pisać wierszy. Może i byłaby to jakaś homeopatia, trucizna na truciznę. Ale czy tak zgniła dusza jak moja jest w stanie wyzdrowieć od własnego wierszyka? Muszę pisać prozę. Muszę złapać to własne życie za gardło i coś z niego wydusić. Na przykład książkę pod tytułem Żonidło, albo Konfitura z estrogenów, albo Królowa psów...

Wczoraj mój synek przyłożył mi do głowy, jak aureolę, psią miskę, i zawołał: Koronuję cię na królową psów!

No i jak ja się poczułam?

Rozejrzałam się po dekoracjach: gar psiej kaszy na piecu, obok furkocze sokownik z jabłkami, talerz utartej marchwi na szafce, na stole worki z mrożonym mięsem (dla psów) i półmisek kanapek z serem i pomidorem (dla dzieci), wiadro ze ścierką pod oknem, w ręku drewniana łyżka, kopyść po prostu. Mała Różia majta nogami na krześle i kaszle „szczekajaco”, bo ma alergię, w przedpokoju dwa łby wpatrzone badawczo w każdy mój ruch, bo czas się nawarstwia, napięcie rośnie i kolacja już blisko. Koty także trzymają się blisko, na wszelki wypadek, gdyby coś spadło na podłogę...

Chciałabym zawołać: Boże! Zmień kanał! Ja już nie chcę oglądać tego filmu!

Królowa psów!

Królowa, w sukni z nędzy, w pantoflach ze znoju...

(Tak się bałam artystów i wariatów, że się dałam zamknąć w „domu normalnych”. I teraz już wiem, dobrze wiem, czym może być szaleństwo normalności...)

Obsesyjnie wraca do mnie pewien sen. Śni mi się, że się budzę rano, a wszędzie wkoło na meblach, na podłodze, na dywanie - śnieg. Jakby w nocy dach ukradli. Wyskakuję spod kołdry i biegnę, zostawiając na pobielonym dywanie ślady ciepłych stóp.

Tak by się mogła zaczynać jakaś życiowa apokalipsa, tymczasem ja czuję się uroczyście. Śnieg na meblach, wielka cisza, wielkie, nieme zdziwienie wszystkich sprzętów... Czuję, że to oznacza jedno: wszystkie umowy rozwiązane. Nikt do nikogo nic już nie ma.

Nie ma tego domu.

Nie ma tej miłości.

I to jest cudowne!

Dzisiejszej nocy we śnie scena dodatkowa: stoję przed lustrem, w którym odbija się zasypana śniegiem sypialnia, i właśnie mam ochotę zdjąć nocną koszulę, gdy słyszę, jak ktoś mówi po polsku, ale z francuskim mosiężnym akcentem: „A biedny Gotfryd zmarł w Rzymie”. „Chwała Panu” - odzywam się w odpowiedzi.

I koniec. Otwieram oczy. I natychmiast sobie uprzytamniam, czyj to głos: to pastor ze zboru zielonoświątkowego na Miłej ma taki głos.

Poszłam tam za potrzebą metafizyczną, w ostatnią niedzielę; od czasu do czasu idę do jakiegoś domu Bożego, bo mi się wydaje, że może trafię na swojego boga, boga samotnych żon... Pastor, pochodzenia polskiego, wychowany w Lille, stał na środku zboru i wołał

„dzwonowym" głosem: „Jesteśmy podobni! Jesteśmy do Niego podobni! Mamy twarz Boga!".

Ale kto to jest ten Gotfryd?

(To wszystko są jakieś luźne, fragmentaryczne notatki na marginesach nieczytelnej księgi, którą mam w głowie. To znaczy, że albo w ogóle nie ma głównego tekstu, albo pismo jest wyblakłe, albo tak Jest „cierniste", że nie do odcyfrowania. Natężam mój dośrodkowy wzrok, by poznać te ukryte przede mną informacje, czuję ich wagę i napięcie. Samowymuszanie sensu. Ale to nic nie daje. Nie odgaduję wątku i zakryta jest przede mną istota rzeczy. Mimo to zapisuję marginesy. Notuję wspomnienia, wywołuję obrazki z przeszłego życia, trochę jak Andersenowska dziewczynka z zapałkami, która rozświetla sobie płomykiem zimny swój los. Czy mnie to przybliży do rozwiązania zagadki ukrytej w tekście głównym? Czy się kiedyś dowiem, w jakim celu, z tym człowiekiem, te dzieci, ta ja, w takich okolicznościach, tak bezładnie, bezwładnie, bezwiednie... A nie gdzie indziej? z kim innym? inna Ja?

O, jakże tęsknię do innej Ja! Kocham ją i tęsknię. Czy kiedyś się spotkamy? I połączymy? O, moja upragniona daleka Ja...) Patrzyć w lustro. (Tak jak się patrzy w szklankę wódki. Z przebiegłą rozpaczą.) Ujrzyć tam te dwie dróżki źrenic, które są właściwie jedną drogą, przepaścią, w którą chciałbyś skoczyć i skończyć.

Jeśli jest jakiś dźwięk spojrzenia w siebie - to jest to zapewne nieskończony krzyk spadającego w otchłań. Ile razy patrzę lustro, słyszę to i wpadam w panikę. Czy to mój krzyk? Czy to jest idea krzyku w ogóle? Tego krzyku, co jest, pod kreską, wspólnym mianownikiem wszystkich istot przeznaczonych na śmierć? Umrę. O, tak, umrę. Ale dlaczego

umieram w tej sekundzie, w której spoglądam w siebie, patrząc w lustro? Zaczynam rozumieć tajemnicę grzechu pierworodnego. Wygnani z raju za wgląd w istotę rzeczy... Szczęście i beztroska dana od Boga pod postacią raju jest dla głupców. Zmądrzałeś? No to się wynoś! Pojąłeś? No to umieraj w pełni wiedzy każdego dnia.

Zobaczyłeś, że jesteś nagi, czyli ujrzałeś siebie oczami drugiego człowieka? No to teraz pracuj: otaczaj się zasłonami, buduj kokon, twórz i wytwarzaj w mozole: rzeczy i układy rzeczy, konfiguracje, zazębienia, i przylegania. Handluj tym swoim strachem, w który zapakowana jest twoja ukradziona samowiedza. Myśl też jest rzeczą, gdy się wymienia na inną. I uczucie może być rzeczą, jeśli staje się przedmiotem manipulacji. No to teraz cierp, bez wytchnienia uciekając od nagiej prawdy, od rdzenia Tajemnicy, z którą można być tylko bezrozumnie, tępo, w półśnie. I nie patrz we własne źrenice, nie tędy do raju- Tędy prosto do... (...)?

Zamknięcie powiek ucisza wszystko. Kimże jestem tam w środku, w tej bezdennej otchłani odzianej w moją skórę, z wizytówką mojej twarzy, umalowanej szminką i tuszem? Otchłani zamaskowanej po wierzchu pajęczyną całkiem sensownych myśli i uczuć nie do uniknięcia? Otchłani upudrowanej, skrzęcej się drobinami codziennych, koniecznych wydarzeń? Krzyczę sobie do środka, gdy patrzę we własne źrenice. Grzeszę pierwotnie znów...

Życie jest nieciągłe. Życie jest w kawałkach. To dlaczego Los jest całością? Która często nas przygniata, a nawet unicestwia?

Od razu na początku szkoły podstawowej zakochałam się z wzajemnością, w Jacusiu S. Czerwieniliśmy się na swój widok co rano przed pierwszym dzwonkiem, a na lekcji on rysował dla mnie atramentem

słoneczka na kartkach wyrwanych z zeszytu. Potem pukał w moje plecy, jak w drzwiczki innego świata, a ja odwracałam się gwałtownie, zamiatając jego ławkę końskim ogonem związanym szyfonową kokardą. Uzbierało się tych słoneczek kilkanaście, może więcej. To był jedyny znak naszego uczucia, jedyny hieroglif mówiący wszystko o tym, co się z nami działo, o tym, co było jednocześnie oczywiste, jak krew w żyłach, a zarazem dziwaczne i obezwładniające, jak prąd bąbelków w akwarium z rybkami, gdy włoży się tam rękę. Z powodu niebotycznego napięcia nie mogliśmy się do siebie odezwać, mimo że Jacuś siedział tuż za mną i co dzień przez cztery kolejne godziny obcował z moim końskim ogonem i szyfonową kokardą. Byliśmy niemi, nasze policzki pały, nasze oczy świeciły niezdrowym blaskiem. To wszystko zbijało nas z tropu tak, że omijaliśmy się wzrokiem, zarazem nie widząc świata poza sobą...

Aż tu nagle pewnego dnia ów stan permanentnej rozkosznej paniki, którą odczuwałam, minął w jednej chwili, jak ręką odjął.

Nagle opadła zasłona i ujrzałam - odstające uszy Jacusia...

A odstające uszy uważałam wtenczas za największą wadę urody ludzkiej. Tymczasem nie spostrzegłam ich wcześniej u Jacusia przez cztery bite tygodnie, mimo że jako konkretny chłopiec musiał on przecież posiadać jakiś konkretny wygląd. Dla mnie jednak był dotąd bezcielesnym ideałem, samym pięknem bez zbędnych szczegółów. W taki to sposób, prawie na początku życia, poznałam tę banalną prawdę, że miłość jest ślepa.

Od chwili, gdy nagle, z przyczyn tajemniczego odczarowania, ujrzałam te uszy - zrobiło się strasznie. Słodkie napięcie, które odczuwałam dotąd w bliskości Jacusia, znikło bez śladu, a jego miejsce

zajął złość i rozczarowanie. Mogłam już odwracać się w swej ławce przodem do Jacusia i mogłam już patrzeć mu prosto w oczy.

Ciemnozielone o niebieskawych białkach. Widziałam, jak się kulił pod moim wzrokiem i jaki był spłoszony niespodziewanym zwrotem uczuć. Nie wiedział, że oszukał mnie sromotnie, że przez cztery razy siedem dni był nieuczciwy w sprawie uszu. Ośmioletni Jacuś, zdaje się całkiem ładny chłopczyk, musiał przeżywać coś, czego nie pojmował, z przyczyn, których nie był w stanie się domyślić.

- Twoja piłeczka jest do niczego - powiedziałam pewnego dnia podczas lekcji tak zwanych prac ręcznych. - Jest za miękka i za mała - dodałam bezlitośnie.

Wełniana piłeczka w śniadych dłoniach Jacusia zadrżała.

Wykonywaliśmy właśnie obszywane kolorową włóczką piłeczki.

Zdanie, które wtedy padło z moich ust, było jedynym wyrazem słownym naszej miłości, która właśnie ulegała gwałtownemu przeobrażeniu, a dokładnie jej finałowi, zwieńczeniu, klęską.

Jacuś zerwał się z ławki czerwony na twarzy i stanął nade mną, ja zaś odchyliłam się do tyłu, podnosząc kolano w obronnej pozycji, bo wyglądało na to, że dojdzie do rękoczynów. Jednak cała burza i wszystkie wyładowania dokonały się wyłącznie w sercu Jacusia: jego krwiobiegu od serca zależnym... W ten sposób, prawie na początku życia, dowiedzieliśmy się oboje, że rewersem miłości bywa nienawiść.

Jacuś odstąpił. I zamilkł zupełnie innym milczeniem niż dotąd.

Nie odezwaliśmy się do siebie aż do siódmej klasy, udając przed światem, że nasze dusze nigdy się nie spotkały, nigdy się ze sobą nie pomieszały w żadnej afirmacji...

Dziś dorosły Jacuś jest latarnikiem, to znaczy obsługuje latarnię morską u brzegu Morza Bałtyckiego w Gąskach, czy gdzieś. Ja zaś wiem raz na zawsze, że powiedzieć chłopcu, że jego piłeczka jest do niczego, nie daj Boże za mała lub zbyt miękka, to zranić go do głębi na całe lata i uczynić sobie z niego dozgonnego wroga.

Życie jest Chaosem - powiedział mi ktoś niedawno, jakże odkrywco - trzeba to po prostu przyjąć do wiadomości, wytrzymywać, a nawet czerpać z tego radość.

Ale ja mam nawracającą potrzebę porządku! Jestem Panna zodiakalna, zrywam się więc co jakiś czas i porządkuję. Z uporem w jakimś kątku porządkuję. A przejęta jestem tak, jakbym miała ambicję glob ziemski szczoteczką do zębów wyszorować... Cały świat pragnę zdyscyplinować. Zamiast rozsądnie strzec ogólnego ładu na przeciętnym poziomie, spędzam dwie bite godziny na doczyszczaniu kuchenki gazowej, co do kropeczki, co do kreseczki, jakby już nigdy nie miały się przydarzyć katastrofy wykipień i przypalenia. Po prostu Porządek Ostateczny, dla Pana Boga i królowej angielskiej.

Innym razem, w takim samym napięciu, usiłuję dociec fizjologicznych i metafizycznych podstaw metanoi. Czas trawię, rozważane „przemianę ducha”, chociaż nikt u mnie żadnego tekstu na ten temat nie zamawiał, ani mi się to do nakarmienia dzieci nie przyda.

Czytam, oczy mrużę, czoło marszczę. I czuję się blisko, naprawdę blisko Bardzo Ważnej Sprawy.

Jeszcze kiedy indziej w poczuciu, obezwładniającym, że już nic na świecie nie jest warte mego wysiłku, że przegrywam ostatecznie, tu i

właśnie teraz przegrywam - otwieram butelkę piwa, trzecią... Jak chaos to chaos, proszę bardzo, naplewat' na krawat' i na polu spat'...

Jestem Wiele Kobiet. Gdybym mogła mieć indiańskie imię, tak by ono brzmiało.

Nie posiadam jednej konsekwentnej osobowości. Bywam i cyniczna, i naiwna. Gruboskórna i subtelna. Nałogowa i zdyscyplinowana. Umysłowo chora i zimnorozsądkowa. Sama jedna, nawet samotna, a przecież jak rodzina, skupisko, tłum ludzi, chaos.

Chaos, z którego miałabym czerpać radość?

I jakże ja napiszę książkę, nie będąc żadną pisarką? Wiersze to co innego. Pisałam je wiele lat, składałam jak ofiarę na właściwym ołtarzu. Ale zalała mnie wielka fala prozy życia, wielkie zbanalnienie, i zmyło mojego lirycznego bałwana. Teraz potrzebna mi twarda forma, pojemna, nawet toporna, by wypełnić ją smolistymi wnętrznościami: opowieścią o życiu gwałtownym i nudnym, leniwym i zaharowanym, pustym i pełnym hałasu awantur.

Czy można napisać poemat o staniu w kolejce? Białoszewski napisał piękny wiersz pod tytułem „Ballada o zejściu do sklepu”. Ale to były inne czasy. Mnie na taki anielski dystans nie stać. Moja ballada jest inna. Taka, jak ta poniżej.

Zima. Sklep mięsny. Mięso na kartki. Dwie kolejki. Ta lewa krótsza, dla inwalidów, kombatantów, kobiet w ciąży i z dzieckiem na rękę. Mam dziecko na rękę. I jestem w ciąży. Cięży nie widać, bo w płaszczu jestem. Z dłuższej kolejki, popatrują wściekle i syczą, ile razy ktoś dołącza do tej krótszej. - Tamtych obsługiwać raz na pięciu normalnych klientów! - woła

jakaś baba ze stanowczą pretensją w głosie. Gorąco. Przede mną cztery osoby. Cztery razy pięć?

Dwadzieścia. Godzina stania. Kurczaków nie wystarczy, ani wołowiny bez kości. Zostanie samo mielone, pół słonina... Dziecko Różia w ortalionowym kombinezonie dostało wypieków. Wije się i napina.

Co chwila ześlizguje mi się w dół. Podciągam je raz na minutę. Pot spływa mi po plecach. Ale przecież nie mogę karmić dzieci samymi jajkami, już mają od tego wysypkę. Muszę tu stać. Dziecko jest wściekle. Wypręża się i krzyczy. To pora spania, a nie stania. Nie mogę położyć Rózi do wózka przed sklepem, bo na zewnątrz jest mróz.

Zresztą wózek łatwo się przewraca. A kiedyś jakiś pijak po prostu odciągnął hamulec i pojechał z dzieckiem na spacer. Omal nie umarłam z przerażenia. Odtąd, gdy wychodzę ze sklepu, zawsze widzę BRAK WÓZKA i to bez względu na to, czy jestem z dzieckiem, czy akurat bez dziecka. Pół sekundy spadania w przepaść, zanim świadomość nie poustawia dekoracji na właściwych miejscach... Popatruję na zegarek. Starsze dziecko (czyli Nenek) kończy lekcje za kwadrans.

Nie ma klucza. Będzie szło tędy, ale sklep nabity ludźmi i nie widzę witryny. Że też, cholera, tak późno przywieźli ten towar. Duszno mi. Jestem w piątym miesiącu. Dziecko na ręku jest ciężkie, jakieś dwanaście kilo. Nie mogę postawić go na podłodze, błoto po kostki, pięćdziesiąt osób. Siedzam je na chwilę na półeczce, przy ladzie, rozpinam płaszcz, przytrzymując niesfornego potomka kolanem. Dorzucili kawał schabu. Dzięki Bogu. Dziecko wrzeszczy. - Cicho tam, bo nie słyhać, co kupują! - to do mnie. A co ja mam zrobić? Udusić?

Jeszcze tylko dwie osoby razy pięć, a więc dziesięć. Starsze dziecko (czyli Nenek) pewnie siedzi już na schodach, bo nie ma klucza. Ekspedientka przechyla się przez ladę i podaje mały kawałek parówki.

Zadziałało jak korek. Posyłam wdzięczne spojrzenie i zaraz przymykam oczy na chwilę. Wydaje mi się, że jestem pod wodą. Pod wodą - przy młynie... - Nie dawać więcej niż pół kilo schabu na jednego! - ryknął ktoś tuż nad moim uchem. Baczość! Rozglądam się po hakach, co wziąć? Nie wiem. Byle szybko, bo się uduszę, jestem cała mokra, od czapki po buty. Dziecko wiotczeje, chyba zasypia. Krzyż mnie boli jak diabli.

Wreszcie moja kolej. Biorę „za wszystko” wołowinę bez kości.

Trzy i pół kilo. Nikt się nie buntuje, bo schabu dorzucili, a wół jest i tak nieekonomiczny, przecież się kurczy w gotowaniu o połowę.

Szynka, schab, to co innego.

Przeciskam się do wyjścia z torbą na jednym ramieniu, z dzieckiem na drugim. Szczęśliwa, krótko stałam. Tylko trzy kwadransy.

Za drzwiami dopada mnie mroźny wiatr. Dziecko zasnęło, buzia otwarta, nitka śliny na brodzie. Do wózka. Zakupy pod wózek, do koszyka. I do domu.

Szczęśliwe zakończenie. Tyle mięsa. Schowam je poporcjowane do zamrażalnika.

Matka Polka. Dzielna. Rozrzewniona swym zwycięstwem.

Podaje mężowi bitki wołowe wieczorową porą...

Budzenie. Potrząsanie za ramię. Wyrywanie poduszki spod głowy. Nawet oblewanie zimną wodą. Co to da? Jasność i tak nie nastaje...

Co to za sztuka wstać z łóżka i robić „wszystko co do mnie należy”. Robić to cały dzień. Zmęczyć to zmęczenie, z którym się wstało rankiem. Upić to zmęczenie, żeby nie wiedziało, na jakim świecie się żyje.

Czy ja się w ogóle budzę? Może budzę się tylko z jednego snu i śpię na wszystkie inne sny...

Tyle we mnie światła, ile w piętnastowatowej żarówce, tylko tyle, by zgasła ciemność, a nie nastąpiła jasność. Nie czuję żadnych głębszych emocji. Rzeczywistość ani mnie cieszy, ani boli. Kiedyś widok liścia na tle błękitnego nieba był wyrazisty i zachwycający, czułam, jak ten fragmencik istnienia gwałtownie przywiera do mojej świadomości. Teraz patrzę, widzę i nie mogę tego „dotknąć” sobą, jakby czytał o tym lektor w radiu, obojętnym, bezbarwnym głosem.

Po wierzchu wszystko w porządku. Od rana „robię, co do mnie należy”. Nawet uwijam się w tej codzienności. Biegam po swym gospodarstwie jak mrówka po kiju. I staram się, usilnie, by żadna myśl mi się nie omsknęła głębiej, na poziom informacji o bezsensie, chaosie, jałowości tego życia, bo wtedy już na pewno maszynka się zatnie i stanie. A przecież dzieci... Więc powtarzam sobie, terapeutycznie, że to jest taka sama droga do śmierci jak każda inna.

Psidzien... Był Huczny Dziadzio. Miał nam zwrócić Nenka, ale podobno dziecko ma temperaturę (36 i osiem!), więc pozostanie u nich.

Przywiózł słoiki z musem jabłkowym dla Rózi. Stał w przedpokoju i huczał: „Gdyby te chamy i łajdaki miały więcej pokory!”

Nie od razu chwyciłam, że ma na myśli swego syna z małżonką, po prostu nas, nie dowiedziałam się też niczego o przyczynie bezpośredniej obelg.

Popłakałam się ze złości, gdy sobie poszedł. Kobiety ciężarne mają łązy zaraz pod rondem kapelusza...

Jakże oni mnie nie cierpią! Złamałam „młodemu chłopcu” życie i karierę.

A moja kariera?

Spojrzałam w lustro. Proszę, oto moja kariera, duża i okrągła.

Kariera młodej obiecującej poetki z Sopotu, autorki trzech tomików wierszy i dwójki dzieci, trzecie w trakcie „pisania”... A oto plan pracy poetki: doprawić zupę, nakarmić dziecko numer dwa, umyć podłogi, powiesić pranie, nastawić następne, dalej szycie na maszynie (jeszcze dwadzieścia pieluch dla dziecka numer trzy). Ewentualnie pięćdziesiąt stron Wyniosłej wieży Barbary Tuchman. Jakie pięćdziesiąt?! Dobrze jeśli nie zasną przy dziesiątej!

Nasze kariery... Może to my sami się ich boimy i szukamy pretekstu, by je ominąć? W żelaznych butach, z miną oszukanego przez los, cierpiącego, rozczarowanego ktosia, brniemy przez życie, dołem, a „kariera” gdzieś w górze, zwierciadło, niedosiężne, które odbija Wciąż twarze innych, szczęśliwszych ludzi.

Różia chora!!! Kaszel coraz gorszy, jednak wciąż się wstrzymuję z antybiotykiem. Jeszcze nie ma dziewiątej, a ja jestem już tak zmęczona, jakby to była północ. Dziecko trzecie podskakuje w moim brzuchu. Paw postanowił, że jeśli to będzie chłopczyk, nazwiemy go - Hugo. Pierwszy raz wymyślił imię dla potomka i od razu - Hugo!

Ręce opadają...

Wciąż szyję, jak jakaś szwaczka. Naszyłam pościeli dla dzieci i dorosłych. Nawet spodenki dla Rózi i czapkę z daszkiem dla Nenka.

Muszę się położyć, bo naprawdę nie mam siły.

Jeszcze tylko plan jutrzejszego poranka: powiesić wczorajsze pranie, nastawić następne, zagotować mleko, wytrzeć podłogę. Kurze na mokro - w całym domu. Do obiadu dorobić groszek z marchewką; dla Rózi kalafior. Dwadzieścia minut gimnastyki dla kobiet w ciąży...

O jedenastej Rózia do łóża, a ja - wykańczanie tekstu do „Wieczoru Wrocławia”. M. O. zamówił u mnie recenzję z tomiku młodego, obiecującego poety...

Antybiotyk. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy, że jest to powszechnie nam dostępna broń masowego rażenia, tyle że stosowana wobec istot z mikroświata, wobec bakterii. „Zrzucamy” na nie antybiotyk (czyli „przeciw życie”), niwecząc jakieś ich ekumeny, „kolonie”, „kraje”, „miasta”... Większość bakterii ginie, niektórym udaje się pojedynczo przetrwać, jeszcze inne ulegają mutacji i kiedyś zasiedlą znów na nowo, uodpornione, jakiś obszar naszego ciała, w którym rozmnożą się i dadzą życie kolejnym swym pokoleniom.

Jest taka teoria naukowa, że organizmy złożone powstały jako federacje jednokomórkowców, które dla ułatwienia egzystencji zaczęły się łączyć w większe całości. Lubię myśleć, że my, ludzie, także jesteśmy czymś podobnym do kolonii mikroorganizmów w łonie jakiejś Większej Istoty, która od czasu do czasu dokonuje na nas eksterminacji (w formie katastrof, klęsk żywiołowych...), byśmy nie zagrozili jej dalszemu trwaniu. Koncepcja Gai, Ziemi, jako wielkiego organizmu stopniowo pokrywającego się ludzkością jak pleśnią _ to pomysł ekologów, zaczerpnięty z mitów greckich, ale to nie jest dokładnie to, co mnie się roi. Ja wyobrażam sobie złożoność istnienia na sposób szkatułkowy: małe

zawarte w większym, większe w jeszcze większym, i tak dalej, aż po bogów, którzy się składają na jakiegoś Nadboga, a ten znowu kryje się w czyimś wnętrzu, dla nas już ludzako bezkresnym...

Jak są złe i dobre bakterie w naszych ciałach, tak są źli i dobrzy ludzie w „ciele” Boga. Ciele czy duchu, wszystko jedno, materia niepostrzeżenie przechodzi w energię, to, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie, jest kwestią umowną.

Lubię w ten sposób myśleć, że jestem (dobrą?) bakterią współżyjącą niezauważalnie z organizmem nieobjętej Istoty Wyższej. A nawet ćwiczę wyobraźnię, spoglądając na Układ Słoneczny jak na atom, jeden z nieskończonej liczby atomów, tworzących najpotężniejszy z potężnych, kosmiczny Organizm jakiejś istoty, jakiegoś Istnieniowego Potwora, który miliardy razy przerasta moc mojej wyobraźni!

Ponieważ Natura, o dziwo, ma ograniczoną liczbę pomysłów i formy się powtarzają (na przykład spirale ślimaków i galaktyk, zygzaki żmij i błyskawic), tyle że w różnej skali, od nano, mikro do makro i mega (modyfikacje oczywiście są i tak zwane prawa fizyki „znieprawiają” się i tu, i tam), mogę sobie takimi analogiami myśleć.

Tak to się pocieszam w swoim jednostkowym istnieniu.

Bo to jest dla mnie słodkie i skuteczne pocieszenie, to poczucie nieskończonej małości w nieskończonej wielkości, kiedy ogarnia mnie pokusa uzalania się nad sobą. Nie płacz, bakterio, wszystko jest We wszystkim i ginie od wszystkiego. Alleluja.

Chwała Panu. (Ale kto to jest ten Gotfryd?)

Diabeł wstąpił w ojca moich dzieci. Rankiem postanowił w kwadrans wyedukować małego syna. Krzyczał jak zwykle w takich

razach. Dwumetrowy facet wiszący nad szczupleńkim chłopczykiem i ryczący jak wojownik, albo jak baryton w operze... Gdyby nie fakt, że to moja rodzina, byłby to śmieszny obrazek satyryczny.

Oszołomiona Różia siedziała na swym wysokim stołku, niby sędzia na meczu tenisa, machała nogami i powtarzała „gupa pipa”.

Rzucił chleb i nóż na podłogę.

Nazwał nas matołami.

...i wyszedł do pracy.

Podniosłam chleb, by dokończyć przygotowywanie śniadania, a wtedy nóż lekkim skosem wjechał w mój palec i trysnęła krew.

Pomyślałam, że to mi się tylko śni.

To nie może być moje życie.

Oto, co pisze Barbara Tuchman w Wyniosłej wieży: „Odkrycia Darwina przedstawione w dziele O powstawaniu gatunków w zastosowaniu do gatunku ludzkiego dały podstawę filozoficzną teorii, że wojna jest w naturze nieunikniona, a równocześnie uszlachetniająca. W konflikcie, jakim jest wojna, rasa silniejsza i wyższa utrzymuje się przy życiu, wskutek tego rozwój cywilizacji następuje szybciej.

Niemieccy myśliciele, historycy, politycy i uczeni pracowali nad tą teorią z pilnością kretów i z uporem buldogów, aż podnieśli ją do rangi dogmatu”. I cytuje niejakiego Treitschkego: „Wojna oczyszcza i jednoczy naród, a tym samym jest źródłem patriotyzmu. Dając mu siły, staje się źródłem siły. Pokój, to stan stagnacji i dekadencji, nadzieja na wieczny pokój jest nie tylko niemożliwa, ale także niemoralna”.

A więc wojna jako żywioł naturalny, wojna jako warunek postępu i doskonalenia się. Jedni kosztem drugich, to oczywiste. Ale cóż znaczą ci inni! To mierzwa, karma, gleba...

Kobieta to niższa rasa. Nieoceniony H. Spencer zauważył, że rozwój intelektualny kobiet kończy się na wcześniejszym etapie niż u mężczyzn, ponieważ mają one mniejszy mózg.

Jestem już tak ogłupiała, że pomyliłam dziś Mendla z Mendelejewem. Paw spojrzał na mnie z najwyższej góry Umysłowej i powiedział: To są dwaj różni uczeni, mój głuptasiu.

Nienawidzę go. Tak samo jak siebie.

Czy mózg odrasta?

- Czy Pan Bóg zechce mieć jeszcze jednego Syna? - zapytał Nenek w drodze powrotnej z zakupów. Nie zdobyłam się na żadną sensowną odpowiedź. Pchałam wózek z Rózią (i swój ciężarny brzuch) w deszczu, po błocie, i miałam mdłości. Odrzekłam wymijająco: Oto jeszcze jedna z boskich tajemnic. (Ale skąd dzieciom przychodzą do głowy takie pytania?)

Czy miałam mu powiedzieć o innych Mesjaszach, którzy przybywali na ziemię, i o tym, że ostatecznie żadnemu nie uwierzono, bo Mesjasz to jest tylko figura nadziei, która musi pozostać niespełniona? Uratowanie i permanentne uszczęśliwienie ludzkości równałoby się końcowi świata, bo istnieje on dzięki jedności przeciwieństw, musi być raz zły, raz dobry, naprzemienny, zerojedynkowy, migotliwy, w nieustającym ruchu... Ludzie instynktownie chcą przede wszystkim żyć, żyć i marzyć o życiu, o innym życiu, nawet o życiu po życiu, a więc oczywiście o Królestwie Niebieskim, które będzie lepsze od ziemskiego. Wszystko musi się dać do czegoś porównać, istniejemy tylko wobec czegoś innego. Dobro jednego

bywa złem drugiego, dwa dobra mogą się ze sobą pożreć na śmierć, a tak zwane zło może wyjść komuś na dobre. Paradoksy etyczne... Religie to są nasze zbiorowe sny, tylko naiwni utożsamiają je z jawą. Ratunkiem jest więc nieprzyjście Mesjasza? Dzięki temu świat, piękny i potwor-ny zarazem, jeszcze trochę potrwa...

Przecież nie mogłam o takich rzeczach opowiadać małemu chłopcu.

U Gabriela Marcela w Dzienniku metafizycznym znalazłam sformułowanie: „Całkowicie przypadkowa materia, którą jestem...” Jakie to mi się wydało lekceważące! Nie dość, że autor podkreśla niesłuszną opozycję, to jeszcze degraduje materię. Bo jeśli w ogóle miał miejsce jakiś przypadek, to musiał być komplementarny, materia łącznie z duchem, z duszą, nawet umysłem. Myślenie o duchu wtrąconym w materię, przy dzisiejszym stanie wiedzy, to anachronizm. Nie tylko wyższa fizyka, ale nawet psychologia, uboga kuzynka Sofii, dają liczne dowody na wzajemne, poważne w skutkach, współzależnienie ducha i materii. Powiedziałabym, że na oko widać, że dusza to kontinuum ciała, i na odwrót.

Czuję oczywistość nieprzypadku...

Mówienie o przypadku we wszechświecie to zawsze efekt rozpacz człowieka, który stanął na najbardziej wysuniętym w otchłań półwyspie rozumu i czuje koniec możliwości dalszego sięgania myślą.

Poziom komplikacji struktury i działania świata jest zdecydowanie ponad ludzką miarę. To dlatego stworzyliśmy Boga, który wszystko wie. Ktoś musi! Ale ponieważ jest on wytworem wyobraźni tysięcy pokoleń, których mentalność jest nam coraz bardziej obca, także stał się niepojęty, a

opowieści o nim są dla nas niejasne i coraz trudniej objaśniać sobie rzeczywistość Boską ingerencją.

Bóg sam zabił Abła. Kainem go zabił. A potem ukarał swe podle „narzędzie”. Czy to nie perfidne? Przecież Wszechwiedzący każdą zbrodnię ogląda nie w jej chronologii, ale w jej esencji. A także widzi ją ze wszystkich możliwych stron - w dzianiu się i w finale, zakłęta w wielościennym kryształce czasu. Nic się nie dzieje za plecami Boga.

On zna wszystko na pamięć. A jednak w scenariuszu świata rozwija się akcja, z jej sekwencjami, są ofiary, bywa i kara; są sądy, wyroki.

Igrzysko Boże? A ileż razy logika wydarzeń wygląda tak, jakby Bóg mówił: Karzę was, aby was nagrodzić. Albo: Umrzyjcie z głodu, to potem dostaniecie jeść.

Takiego mamy Boga, na jakiego nas stać. Bo jego koncepty sami tworzymy, to oczywiste. Myśli naszymi myślami, czuje naszymi zmysłami, płacze naszymi łzami. Dysponuje naszą wiedzą i samowiedzą.

Bóg Abła i Kaina powinien był już dawno odejść z naszej cywilizacji. Nic nie wie o kwantach i kwarkach, fotonach i neutrinach, nie wnioskuje na podstawie życia prenatalnego płodu i nie chce się zgodzić na ewolucję. Obca jest mu neuroteologia, wskazująca ośrodki metafizyczne w płatach skroniowych ludzkiego mózgu... Na Boga!

Ten Bóg ma problem nawet z antykoncepcją i eutanazją! Po prostu NIE WIE, co z tym zrobić. Pozostał w tyle. I nie pozwala dopisać do swej Biblii nowych rozdziałów! Przecież Biblia kończy się ostrzeżeniem: „Ja świadczę każdemu, kto słucha słów prorocstwa tej księgi: jeśli by ktoś do nich cokolwiek dołożył, Bóg mu dołoży plag zapisanych w tej księdze...”.

O, nie powinien On mieć więcej synów. Nie ten Bóg.

Ogromnie bym już chciała mieć mądrzejszego Boga!

Zaczęłam pisać (ale na pewno nie skończę!!!) dramacik o pewnym władcy absolutnym, którego hymn, śpiewany przez chór, brzmi tak:

Jam jest

Kraj mój wielki, a ja ponad krajem.

Ja w jego wnętrzu swój oddech mu daję.

Ja karmię go, głodzę, nienawidzę, Kocham.

Spadam stadem kruków - anielicą wstaję.

Ja czuję go - i ja go znieczulam.

Zniewalam go, zdradzam, chwałę i wywyższam.

I cokół mu stawiam pod stopy ucięte.

Jam jest, Jam jest. Reszta jest zamętem.

Paw w krainie kataru. Leży w pościeli, wsparty na poduszkach, pośród ligniny pociętej w kwadraty, z miską pełną zużytych, zmiętych, celulozowych „ptaków”. Dzieci też „posmarkane”

Gotuję herbatę z gałązek malinowych. Dolewam soku malinowego.

Niosę najpierw do pokoju z dziećmi w środku, potem do pokoju z Pawiem w środku. Dzieciom podaję klocki lego i gumową kaczuszkę. Pawiowi nastawiam płytę z utworami Vivaldiego. Na fagot.

Fagot niesie ukojenie i wycisza. O, to, to... Sama wracam do kuchni zmywać. Z łazienki słyszeć pralkę. Drugie płukanie. Jak pozmywam, to ona akurat skończy, więc powieszę. Żeby powiesić nowe, należy zdjąć stare, i tak dawno suche. Niektóre rzeczy niestety wymagają prasowania, na przykład koszule. Trzeba do apteki, calcipiryna się kończy. I vibowit. Śliwki czekają, jakieś sześć kilo, jak nie zrobię tych powideł, to wszystko pognije. Ale czy jest dość cukru? Miałam wymienić kartki papierosowe na

cukrowe, sąsiad wyraźnie chciał... Baśka ma ubranka dla niemowląt po dziecku siostry, powinnam pójść, obejrzeć i okazać wdzięczność. No to się dobrze składa, bo to po drodze z apteki. Piernik marchewkowy, mówiła, że zrobiła piernik marchewkowy, mam spróbować i wziąć przepis. Pralka wiruje. Usiądę na momencik. Jak nie usiądę, to się, cholera, przewrócę. Czy ja muszę być ciągle w ciąży???

Czuję potężną żeńskość tego, czym żyję.

Cały dzień uwijam się wokół spraw domowych.

Zdaje się, że kiedyś pisywałam wiersze.

Wiersze to fałszywe otchłanie, prawdziwą przepaścią jest codzienność, z niej nie ma wyjścia...

„Na świecie ma się do wyboru tylko samotność albo pospolitość” (Schopenhauer). Chcąc uniknąć samotności, wpadłam w pospolitość. Jakże odległa wydaje mi się teraz tamta porzucona młodzieńcza samotność w domu rodziców; rozmyślałam o niej nad kartką papieru, celebrowałam swą osobność, inność, chodziłam na samotne spacer, owijając się smuteczkiem jak szaliczkiem...

A Kraina Pospolitości jest niezmiernie i mami fatamorganą...

Ileż to razy mi się zdawało, że stoję w obliczu cudu? Jednorazowego, niepowtarzalnego wydarzenia w życiu dwojga istot, które stanęły solidarnie naprzeciw Tajemnicy świata? To były tylko wzniosłe chwile, ułamki zwykłego czasu, który jakby się zachwiał, wypadł z amplitudy... Wystarczył skrzek pospolitości, by perłowa struktura cudu zapadła się i powracam do normy: śniadanie, sprzątanie, gotowanie, spacer, zakupy, karmienie, zmywanie, pranie, gotowanie, sprzątanie, prasowanie, czekanie, witanie, karmienie, uśmiechanie się, słuchanie, pocieszanie,

zanikanie, zanikanie... Leżę na powierzchni życia, porzucona przez cud, i muszę się ratować. Ratuje mnie mechaniczna odpowiedzialność, powrót do codziennych obowiązków podtrzymywania samego życia: dom, dzieci, psy, koty. Istnienie, które należy obsłużyć, bo życie jest wartością samą w sobie, tym bardziej, jeśli jest to życie, które sprowadziłaś na świat, przytuliłaś, obiecałaś przeprowadzić przez przeszkody.

Pospolitość. To jest w istocie pustynia serca. To jest w istocie prawdziwa samotność. Bez cienia wzniosłości. Najgorsza z możliwych, bo tracisz nawet siebie samą.

- Nie mówi się skarpeta, tylko skarpetka - poprawiam Nenka, który skacze po pokoju na jednej nodze, wołając: Skarpeta mi uciekła, gdzie jest moja skarpeta!

Czy ktoś jeszcze o tym pamięta w krainie Polszczyźnie? Komuna Wyrzeźbiła nam język tak samo topornie jak te swoje monumenty robotniczo-chłopskie przy Pałacu Kultury w Warszawie. „Skarpetka to była dobra dla pana hrabiego, a my teraz porządne skarpety mamy nosić (o ile wystarczy dla wszystkich w kolejce). „Prężenie firan” piszą na szyldach, dawniej nie do pomyślenia: firanka - oto słowo podstawowe. Ale po co takie subtelności, dla kogo? Jeszcze na razie nikt nie mówi „filiżana” na filiżankę. Prawdopodobnie dlatego że w tym schamiałym, biednym kraju sprzedają tylko kubki, i to wyłącznie bez uszek...

Pisanie jest wynikiem łaski, sam warsztat nie wystarczy, to oczywiste. Widać moja łaska ustala. Parasol metafizyczny za nic nie chce się otworzyć. Noszę głowę jak w termosie, doskonale izolowana od swego talentu.

Piszę tylko jakieś bzdury, jakby dyktowane przez wariata, co mu się przegródki w mózgu rozpuściły, tylko po to, by potrzymać przez chwilę pióro w ręce. Na przykład: Ten dom nie istnieje, mimo to klucz w miejscu orderu. Albo odkrywczcze zdanie: Wszak but zna nogę, ale nie zna drogi. Co na to archeolodzy podświadomości?

Zapaliłabym, tak mi brakuje tej rozrywki w puste wieczory, gdy dzieci śpią, a ja tkwię w jakimś międzyczasie, czekając na Pawia. Nie palę, bo ciąża i przecież tak naprawdę nie jestem nałogowcem, więc po co.

Nie mogę się po prostu położyć spać, mimo że jestem zmęczona. Nie zasnę, bo nie opuszcza mnie napięcie, boję się o Pawia, że idzie do nocnego tramwaju przez ten wielki park czarny jak piekło, w którym powiesił się zeszłego roku mój kolega ze szkoły, wesoły wysportowany, przystojny, wołaliśmy na niego Karat, bo ćwiczył karate... Podobno rzuciła go żona.

W zeszłym tygodniu tramwaj nie przyjechał i Paw szedł dwie godziny piechotą przez całe miasto, chował się za zaparkowanymi samochodami i za wiatą przystanku autobusu „C”, bo przez trójkąt bermudzki (Pułaskiego-Komuny-Traugutta) szła jakaś banda i waliła pałami w szyby aut, witryny, latarnie.

Wyobrażam sobie, że go katują, i wtedy to już całkiem mi się nie chce spać...

Ale, oczywiście, gdy już szczęśliwie wróci do domu, to świat otrzyma kolejną prolongatę, a ja podam obiad...

Więc czekam.

Poza tym, „co ja mam do roboty? Nie pracuję, siedzę w domu, mogę sobie pospać w ciągu dnia, na przykład po południu, razem z dziećmi”.

Marzę o tym, by zrobić coś szalonego. Nagle pojechać tam, gdzie nikt mnie nie zna. Biegać z kimś po plaży. Śmiać się, robić miny. Patrzyć daleko w morze, a potem zaraz w czyjeś oczy, przejrzyste, poważne...

Takie marzenie to już diagnoza. Jestem chora. Moje macierzyństwo jest chore. Moje małżeństwo ma „zimnicę” z wysoką gorączką.

Dwudziesta trzecia trzydzieści. Człowiek jest zmuszony lekceważyć istnienie. Czy mógłby inaczej wytrzymać na ziemi? Każda chwila jest wypełniona świadomością nieskończonej niezwykłości i skomplikowania rzeczywistości ponad wszelką wyobraźnię, i żelaznej, ale też i elastycznej, konsekwencji wbudowaniu wszelkich form bytu...

Czy to można w ogóle wytrzymać bez lekceważenia? Nie można.

Dzieci zachorowały na świnkę i ze względu na mój stan ciążowy zostały zabrane do dziadków. W domu zapadła głucha cisza. Jakby świat wykonał ostatni szalony piruet i upadł na deski.

Wszystko zamarło. Buciki, kocyki, kubeczki, ściereczki - rozrzucone i nieżywe, jak rekwizyty po spektaklu. A ja opadłam na fotel i patrzę na scenę mojego życia.

Ja - zwykły człowiek
przy którego poczęciu
pomiędzy dwa trące ciała
wdał się diabeł
i uległ wzruszeniu....

Moje życie jest zamętem i wściekłym chaosem. Moje dzieci są cudem i miłością.

Pewien gatunek OS składa swe jaja w ciele żywych motyli gąsienic... Gąsienica taka chodzi jak w ciąży z tym cudzym „potomstwem”

w łonie i, jak gdyby nigdy nic, zajada liście kapusty. Żywi się i nie wie, że SIĘ nie należy już do niej, lecz do larw os, które rosną i dojrzewają w jej wieloskrętnym ciałku, pożerając ją od środka, by wreszcie pewnego dnia opuścić swą już zdewastowaną, martwą jadłodajnię, pozostawiając pusty oskórek. (Rozsypujące się stoły i potłuczone talerze...) Pewnemu gatunkowi much dostał się podobny prezent od psychopatycznej Natury: samica nie składa jaj na zewnątrz; jej potomstwo wykluwa się w jej łonie, tam dojrzewa, stopniowo likwidując mamusię od środka. Po czym wyfruwa. A stara mucha pozostaje, pusta w środku, martwa, jak porzucony samolocik, co nigdzie nie polec...

Jezu, czy naprawdę nie ma innych światów do wyboru? Czy ja, męczennica wielu ciąż, nie poczuję się kiedyś jak matka-atrapa, już całkiem zużyta, zjedzona, wykorzystana do imentu? Czy dam radę wychować troje dzieci i pozostać cała?

Mam wrażenie, jakbym nie dziecko nosiła w sobie, ale sto zarodków nie napisanych wierszy. One napierają na mnie od środka, bo by się chciały urodzić, „wypowiedzieć”. Ale ja nie mam w tym życiu czasu na wiersze, a jednocześnie czuję, że mi to bardzo źle robi. Bo od nie napisanych wierszy gnije dusza poety...

Teraz, gdy zostałam sama w domu, mogłabym spróbować. Jednak jestem do tego stopnia oszołomiona brakiem codziennych zajęć, że tylko patrzę w okno albo coś podczytuję.

Dziś po raz pierwszy od tygodni przespałam obojętnie całą noc.

W pustym pokoju dzieci, nie czekając na późny powrót Pawia, nie zrywając się rankiem, jak na dźwięk trąbki, by obsługiwać nowy dzień. Na śniadanie przeczytałam 20 numer „Zeszytów Literackich”.

Dużo o Jeleńskim i Gombrowiczu. Sympatyczny był człowiek, ów Jeleński, tak wynika z jego wspomnień i listów, i z rozmowy, jaką odbył z nim Staszek Rosiek. A więc ludzie rozmawiają ze sobą.

O literaturze rozmawiają, o sensie twórczości rozmawiają ze sobą, błyskotliwi są, wymieniają poglądy, stawiają problemy, trafiają w sed-no, rozmawiają, są razem... Wspólnota ludzi myślących. Boże, ja tu marnuję lata na podtrzymywanie nagich rudymentów egzystencji, a tam gdzieś w świecie mądrzy ludzie budują wyższe wartości... (gdy tylko to napisałam, natychmiast się zaśmiałam, bo mi przed oczami stanęła jak żywa Jadwiga Barańska, czyli Barbara Niechcicowa, co nie chciała życia u podstaw, tylko wartości...).

Po tym „śniadaniu” wróciłam do łóżka. Aby dalej spać.

Sen, jako dobro najwyższe... Żyjąc - czyż nie marzymy nieraz o tym, by zapomnieć życie?

Zniknąć z powierzchni ziemi, zapomnieć i żeby mnie zapomniano. Jak rzeki okresowe, które znikają z pola widzenia, jakby odwróciła się stronica w księdze czasu, jakby nigdy nie było nic, tylko piasek.

Jest słodycz samotności, słodycz opuszczenia, słodycz istnienia, o którym zapomniano.

Nic. Nikt. Nigdy.

Ave! Pustym domom, samotnym ludziom, wyschniętym rzekom, lodowatym wiatrom, odlatującym gwiazdom. Bądźcie szczęśliwi, szczęśliwe, w swym bezistnieniu.

Wywierzysko. Tak się nazywa miejsce, gdzie podziemna rzeka wypływa na powierzchnię. Rzeka, której nie było, znowu jest To oczywiste, że życie jest taką rzeką (ta metafora sama się narzuca) Ubrane

w blask słońca i błękit nieba - gdy pogoda. Szorstkie, matowe i ciemne - pod chmurami. Pojawia się i znika, po czym znów wypływa, odzwierciedlając aktualny stan świata, mijane krajobrazy porę roku. „W te same rzeki tak wchodzimy, jakbyśmy nie wchodzili”. - czytam wśród szczątków pisma Heraklita - tak jesteśmy, jakbyśmy nie byli. Tym samym jest żywy i umarły, jawa i sen, młodość i starość, coś, co zmienia się w coś innego, a to znowu w to samo...”

Jest wywierzysko, a potem rzeka znów ginie. I gaśnie światło I jesteśmy, jakbyśmy nie byli...

Jest noc, jestem sama w domu; dzieci chore na świnkę zostały odwiezione do dziadków już przed tygodniem. Mój mąż pracoholik u siebie w Instytucie. (Dom nie jest jego żywiołem, odpręża się dopiero w swoim biurze, tam żyje jak poza czasem, tam jest wesołym, kulturalnym, przyjacielskim człowiekiem.) W pustym mieszkaniu tylko ja i ta odrobina hałasu, który sama wytwarzam, wstając z jękliwej kanapy, chodząc po skrzypiącej podłodze i znów kładąc się na kanapie.

Źle się czuję. Mój duży brzuch, w którym mieszka nowy siedmiomiesięczny już człowiek, nie chce go dłużej nosić. Zaczynam mieć regularne skurcze. Obawiam się przedwczesnego porodu. Powinnam pojechać do szpitala, ale czekam. Przecież w końcu mąż wróci.

Albo ten brzuch się zgodzi jeszcze co do tego dziecka.

Powinnam zadzwonić. Ale jeszcze czekam. Nie mam telefonu.

Sąsiadka też nie ma. Boże! Gdzieś tam ludzie w kosmos latają, noszą komputer w zegarku, a ja nie mam telefonu. Poczta jest, ale zamknięta o osiemnastej. Budka przy poczcie zazwyczaj zdewastowana. Zresztą, jak tu wyjść samej nocą w peryferyjnej dzielnicy miasta, gdzie wracający

stadami do domów młodzi mężczyźni rozwalają buciorami piwniczne okienka, słysząc ich pijackie wycie, szamotaninę, brzęk tłuczonego szkła.

Trwam w jakimś odrętwiałym półśnie, licząc na cud.

Najpierw jest jedenasta wieczorem, potem jest pierwsza w nocy, a jeszcze później czwarta nad ranem. Nocne życie osiedla dawno umilkło.

Jednak muszę zadzwonić.

Zapinam płaszcz na brzuchu twardym jak hełm. Wychodzę do budki. Telefon jest cały i działa (cud). Wrzucam monetę. Wesoły, odprężony głos męża w słuchawce po chwili poważnieje. Przyjadą po mnie syrenką kolegi. Pojedziemy do szpitala.

Pojechaliśmy.

Słabe, mętne światło szpitalnej izby przyjęć. Bada mnie młoda lekarka w zielonym kitlu, doktor Afrodyta. Ona naprawdę ma tak na imię i rzeczywiście piękna jest jak bogini. Długonoga, długoszyja, smagła, polska Greczynka. Przez chwilę jestem spokojna i ufam losowi. Może brzuch się uspokoi. Może wrócę do domu.

Nie wrócę.

Leżę i patrzę w sufit, słuchając odgłosu tępej żyłki szorującej moje podbrzusze. Gołą mnie bez mydła. Odczłowieczają. Tak samo było przy dwóch poprzednich porodach. W ludowym szpitalu nie ma miejsca na czułości. Nie ma cackania się. Są odrapane ściany, karaluchy i pacjenci, specjalny gatunek istot bez twarzy, bez imion, stanowiący przedmiot działań medycznych.

Cztery lata temu byłam operowana w Kopenhadze. Moje ramię, które było zbyt „gibkie” i wciąż ulegało zwichnięciom, zostało zablokowane śrubką chromowo-wolframową, a torebka stawowa spięta

dwiema zatrzaskami (ów pobyt w medycznym raju to dzięki prywatnym koneksjom znajomego literata). Chirurg-ortopeda nazywał się Andersen (co trzeci Duńczyk się tak nazywa, ale dla mnie on był z prawdziwej bajki!). Siadał na moim łóżku i brał mnie za rękę.

Czułam, że mu się podobam, mimo opryszczki, którą miałam na dolnej wardze. Był jasnowłosym, piegowatym pięćdziesięcioletkiem o wąskich nozdrzach i ciepłym spojrzeniu. Kolor oczu - szarzielony. Pytał mnie po angielsku, jak się czuję. Very well, odpowiadałam

- Czy masz jakiś ból w swoim ramieniu? - pytał dalej. - A little bit - odpowiadałam i moja dłoń wilgotniała w jego dłoniach, bo miałam jeszcze trochę gorączki, a od niego buchało serdeczne ciepło, poza tym ból był nie do wytrzymania. Potem on odchodził, uśmiechając się kojąco na tle szerokich niebieskich drzwi, tak szerokich, że swobodnie mogło przejechać przez nie ortopedyczne łożo z oprzyrządowaniem. A za chwilę była u mnie „nursa” z zastrzykiem przeciwbólowym. Kliniczne niebo...

Żegnam męża z kolegą (to ten Wiesio, co ma Dupka i Barabasza).

I odjeżdżam na inne piętro w fotelu na kółkach, ubrana w płócienną koszulę rozciętą do pępka, z oberwanymi troczkami, tak że wszystko mam na wierzchu, brzuch jak hełm i nabrzmiałe piersi, w szlafroku bez guzików, bez paska, spranym, steranym w stu losach szczęśliwych i stu nieszczęśliwych... Świecą nade mną bezsilne słońca czterdziestowatowych żarówek.

Kładą mnie na sali porodowej. Podłączają do kroplówki. Ale nie robi mi się lepiej. Czuję coraz większy ciężar, jakbym miała na piersiach dwunastotomową encyklopedię. Ból w mostku. Mój rzeżący oddech słychać chyba w całym kosmosie. Będę umierać? Jak dobrze.

Wiszę nad przepaścią i jest mi uroczyście. Nie ma czego żałować, tylko Nenka, Rózi żal... Ktoś podchodzi i krzyczy: Kto jej zaaplikował aż tyle! Rozpoznaję Afrodytę. Przykręca kurek kroplówki. Powoli wracam. Oddycham skromniej. Może da się coś poprawić w tym życiu?

Jestem podłączona do monitora i widzę, jak na ekranie skacze nitka tętna mojego dziecka. Jakby pisało do mnie list zielonym szlaczkiem... List z prośbą? Z przeprosinami? Słyszę jego puls, wzmocniony aparaturą; jak szybko „szyje” swoje życie moje dziecko! Jak maszyna Singer, gdy wprawiałam ją w ruch, przesuwając pod stopką tetrę na pieluchy, czy płótno na poszewkę poduszeczki. Uszyłam już nawet falbanki na koszyk, w którym miałyby spać.

Jeszcze raz (który?) podchodzi ktoś przypadkowy i zwiększa dawkę leku mającego zahamować skurcze porodowe. Ja znowu zaczynam rzeźnić. I znów słucham ciężkich kroków lekkiej śmierci, powróciło uroczyste uczucie umierania. Serce wali jak w bramy zaświata.

A jednak mnie tam nie przyjęto.

To ono, dziecko, miało pierwszeństwo.

Odłączono kroplówkę. Nastął dzień.

Afrodyta poszła do domu.

Przybył Tanatos...

Leżę na bordowej ceracie. Gorączka rośnie. Zapada decyzja. Mam zakażenie i dwoje żywych dzieci, trzeba myśleć o nich - powiedział nowy lekarz. Będę rodziła dziecko na śmierć. Bo przecież się nie łudzę, że ono przeżyje, tu i teraz... Lekarz nazywa się Bielkow, tak się nazywa, po rusku. Siostró, basen, siostró, niedobrze mi. Bordowa ce-rata, na której odbywa się Wszystko, wstydlive wydalanie i cud narodzin, słyszę też puls śmierci,

jak ona mocno żyje... Kwiaty z mięsa, myślę bez sensu, kwiaty z mięsa.
Witaj i żegnaj, moje ja...

Urodziła się o 16.30. Na przekór oczywistości dałam jej na imię Helena, to znaczy Jasna. Jasna, w ten dzień ciemny i smutny. Czy chciałam jeszcze zaklinać los? Przecież nie wierzyłam w nic i do nikogo nie miałam zaufania. Po ośmiu godzinach umarła (tak się to mówi, prawda? Ale ja i tak nie wiem, co to znaczy) pośród plastikowych rurek. Patolog stwierdził, że miała porozrywane płuca, respiratorem. Dobrze się stało. W tym kraju i tak nie miałyby szans na zdrowie. Niech się urodzi gdzie indziej komu innemu we właściwym czasie. Najlepiej na innej planecie. Nie pokazali mi jej. Mówili, że się przestraszę, bo waży tylko tysiąc gramów. Pokażcie mi ją, prosiłam, ja się nie boję, ja tęsknię. Najpierw łyżeczkowanie. Wyłyżeczkowali.

Bez znieczulenia. Zmienił się lekarz, ten, co obiecał znieczulenie, poszedł do domu. Ten, co obiecał pokazać dziecko, też poszedł...

Potem dali mi zastrzyk. Na uspokojenie. Na zupełne uspokojenie. Na kosmiczne uspokojenie. Spałam chemicznym snem i już nie chciałam niczego. Spałam snem bez pragnień, bez żalu, przezroczysta, formalna jak historia choroby powieszona w nogach łóżka Nie żyłam, ale takich umarłych nie odnotowują w szpitalnych rejestrach.

Dwudziestego siódmego kwietnia zaopatrzone mnie w woreczek z ampułkami gentamycyny i wypisano do domu. Co z dzieckiem Zabiera pani czy do spalarni, jako szczątki ludzkie? Zabieram. Mą zabierze. Widziałam, jak salowy wynosi dokądś, do kostnicy (?) małe zawiniątko, kukielkę w ligninie. To moje? Chyba nie. Siedziałam dwie godziny na twardej ławce w izbie przyjęć (i pożegnań), al nikt po mnie nie przyjechał.

Ojciec dziecka (przecież musiał być ja kiś ojciec dziecka...) był uwikłany w urzędowe formalności załatwiania aktów narodzin i zgonu, i nie mógł wkomponować mnie w swój napięty grafik. Organizował zakup akcesoriów pogrzebowych, srebrne pudełko, w którym miała być odesłana Panu Bogu, jak pomyłka-zbyt mała dziewczynka... Zatelefonował dzień wcześniej do dyżurki, by zapytać, gdzie są ubranka, bo trzeba ubrać dziecko. Na szafie jest kosz, a w nim ubranka, weź tę białą czapczkę z maleńkim daszkiem i sweterek z różowej włóczki, są tam też malutkie buciki z włóczki...

I poduszeczka... Po czym doznałam ataku, zacisku tchawicy, oddech się urwał. Zastryk relanium, bezwład, sen, kropka.

Wiesio, który wybierał się po mnie syrenką, nie dotarł do szpitala.

Na placu Grunwaldzkim wciął się w niego Arab volkswagenem. Najechał ze skrętu w lewo, a więc błędnie, cały bok do blacharki, stali na środku i wrzeszczeli wielojęzycznie, a Wiesio nie w ciemność jest bity, ojciec Barabasza i właściciel Dupka, nie dał się spławić bez milicji...

Nie miałam pieniędzy. Czas też minął. Wsiadłam, bez biletu, w tramwaj numer 18 i wtedy Bóg się zlitował po raz pierwszy, nie nasyłając kanarów. Stary, skrzypiący, ponemiecki jeszcze tramwaj, z krzesłami z deszczulek, niebieski, z napisem „Księża Małe"... Świeciło niskie słońce, wiał lodowaty wiatr.

Wielki, obcy świat: jechałam tamtędy...

Mieszkanie było puste, jak wtedy, gdy stąd wychodziłam. Wydało mi się, że minęły lata, a nie siedem dni. Usiadłam na brzegu kanapy w płaszczu, z kluczami w ręku.

Byłam jak obcy człowiek, który przyszedł do siebie z wizytą, i nikogo nie zastał.

Zdumiała mnie ogromna siła tej emocji, która wtenczas, na wiele minut, ogłuszyła mnie i wyparła wszystko, co miałam dotąd za własny, indywidualny byt.

Poszłam na cmentarz dopiero tydzień po pogrzebie Helenki, co to zresztą za pogrzeb... Tylko ojciec i dziadek, bo rodzeństwo za małe, babka z wnukami w domu, a matka jeszcze „nieczynna”...

Stałam nad kopczykiem, trochę się czując zobowiązana do przyjscia tu, trochę też ciekawa nowej sytuacji: oto jestem matką nad grobem dziecięcia.

Gwałtowny, niepowstrzymany szloch wstrząsnął mną nagle.

Ale jakby nie z moich piersi się dobywał i nie z moich oczu płynęły te łzy. To zapłakała płęć żeńska.

To był żal gatunku po śmierci potomstwa.

To było jak bolesny jęk kosmicznej bramy na świat, bramy, przez którą przeszło życie - i zginęło!

Na co dzień się nam wydaje, że to my żyjemy, my, indywidua. Aż nagle, w jakiejś chwili, dowiadujemy się, że żyje nami coś o wiele potężniejszego i to coś może nas wynieść wysoko w górę albo zatracić.

Paweł przytulił mnie mocno i ten straszliwy szloch, który mógł mnie rozerwać na strzępy, wytłumił się i uwiązał w końcu gdzieś w jego ramionach.

Płaczki, w Grecji, we Włoszech, w starych kulturach, jakże były potrzebne! Przejmowały na siebie część bólu, krzycząc za cierpiących, rozdzierając na sobie szaty, rozdrapując twarze. My, ludzie nowocześni,

wyosobnieni, nie znajdujemy wytchnienia we wspólnocie i dlatego częściej popełniamy samobójstwa. Sądzymy, że śmierć to sprawa osobista. A śmierć jest powszechna i wspólna. Należy do rodzaju ludzkiego i trzeba się nią dzielić, bo tylko tak można ją oswoić rozbroić, osłabić.

Tymczasem i w szpitalu, i w domu, wszyscy omijali śmierć mojego dziecka, omijali więc i mnie, udając, że jest to tylko jakiś stan pod nazwą „nie ma”. A przecież śmierć to potężny byt, straszna siła, której opieramy się za pomocą instynktu samozachowawczego przez dziesiątki lat!

Jest „nie ma”! Jest śmierć!

Jest Brak, który ma kształt, ciężar i boli!

Życie, płacz razem ze mną...

„Śnie, który uczysz umierać człowieka”. (To Kochanowski.)

Budzimy się o świcie. Jak na granicy życia i śmierci. Czekamy leżąc, aż za oknem stworzy się świat. Czasem czujemy niewytłumaczalny lęk - że się nie stworzy. Że ptaki już się nie odezwą. Że słońce nie wzejdzie.

Ale przecież wschodzi.

I zaczyna się nowy dzień, kolejny dzień naszego życia.

Kiedy, po rekonwalescencji, która była spoglądaniem w okno, za którym klon cukrowy szumiał na tle błękitnego nieba, która była parzeniem herbaty „Ulung”, i jeszcze była jajecznicą z kartoflami, bezmyślną jajecznicą z kartoflami, a także zastrzykami gentamycyny, które litościwie robiła mi Baśka, żebym nie musiała chodzić do ośrodka, taka zapadnięta, nieczynna, jak świetlica w niedzielę, kiedy zjawiłam się w końcu, po rekonwalescencji, u teściów, by odebrać dzieci (dwoje żywych dzieci) - Różia odwróciła się gwałtownie, obłapiając Babkę Meir za szyję, a Nenek zawołał bez związku z czymkolwiek: Wiesz mammo, dawno,

dawno temu, koło basenu dziadek zakopał skrzynkę wina, przed Ruskimi zakopał, i się udało, nikt nie znalazł!

Byłam inna, byłam obca - dzieci to wyczuły.

Poszliśmy do ogrodu, Babka z nami, powiedziała, że Dziadzio (Huczny Dziadzio) jest obrażony, za to, co mu powiedziałam przez telefon (co mu powiedziałam? kiedy? przed końcem świata? nie pamiętam) i powinnam go przeprosić, bo dla niego istotne są zasady, hierarchia, chyba rozumiem, że to ważne... Kompletnie nic nie rozumiem. Co jest ważne? gdzie jest Paweł, mój Paw, gdzie on jest??? Czy ona, Babka Meir, wie, co jest ważne, co się stało, dziecko umarło, ja umarłam i teraz muszę dalej żyć...

Wspólne Wakacje z Pawiem i dziećmi. W ramach terapii po traumatycznych wydarzeniach. A jednak jest to niebezpieczny eksperyment na żywym ciele rodziny...

Jacyś znajomi znajomych odstąpili nam swój domek letniskowy na dwa tygodnie. Mieszkamy na piętrze, bo parter jest jeszcze nie ukończony. Niejaki pan Majcherek właśnie kładzie tam podłogi, więc dziś siedzimy na górze. Tak się złożyło.

Pierwszą noc spędziliśmy w przyczepie samochodowej stojącej pod domem, bo pan Majcherek kończył dopiero schody, po których mieliśmy móc się dostać na pięterko... W przyczepie było ciasno i brudno, nie było też pościeli, tylko cztery koce i poduszki tak stare, że prawie puste w środku. Paw był wściekły. Przy jego wzroście nocleg w czymś tak małym wymagał samozaparcia i - „rozpierającej” wyobraźni. To jakby dogą zaprosić do budki dla szpaków... Całe szczęście, że to nie moi znajomi nie moich znajomych nas tu zaprosili, bo wszystko skrupiłoby się na mnie.

Gdy otworzyliśmy szafkę na ubrania, odkryliśmy w środku ni mniej, ni więcej tylko nocnik z kupą. Wiek eksponatu - trudny do określenia. Paw oświadczył retorycznie, że pójdzie spać do lasu, a w ogóle to jutro wracamy. Nie poszedł. (Nie wróciliśmy.) Poukładaliśmy się na króciutkich tapczanikach, właściwie pryczach. Różia której udzieliło się ogólne napięcie, swój rytuał cowieczornego kołysania się odbywała z takim impetem, że w efekcie kołysaliśmy się wszyscy razem z całą przyczepą. Bałam się, że zjedziemy ze skarpy do jeziora, ale niepotrzebnie, bo rano okazało się, że koła były dobrze zabezpieczone i katastrofa w ogóle nam nie groziła.

Dzień przyniósł pocieszenie. Zjedliśmy resztę kanapek podróжных i czekaliśmy na znak pana Majcherka.

O dziesiątej domek na skarpie już działał. Już były schody, choć bez poręczy, i wiodły na pięterko. Ulokowaliśmy się tam.

Ładnie pachnie drewnem. Są tu dwa pokoiki ze skośnymi sufitami (Paw może się wyprostować tylko przy oknie) oraz „leżąca” łazienka; tam nawet ja nie mogę podnieść głowy. W ogóle wszędzie trzeba uważać na głowę, żadnych gwałtownych ruchów, najbezpieczniej siedzieć na materacach albo chodzić na czworaka. (Projektant tego domu to musi być interesujący gość, chciałabym go poznać...).

Za to w pokoju dzieci jest kominek.

Dom stoi na skarpie, więc widok cudny. Tak przypuszczam. Skoro jest jezioro i las, to znaczy, że widok musi być piękny. Powtarzam to sobie, bo nic nie czuję. Cały czas jestem napięta i lodowata w środku.

Ale to jest lód na piekle. Czuję nieustającą gotowość do skoku na kogoś, albo siebie. Dzieci mnie drażnią, Paw doprowadza do białej

gorączki, a gdy jeszcze do tego wyrznię głową w „majcherka” - tak Paw nazywa owe skosy sufitowe - przez chwilę w ogóle nie jestem człowiekiem, toczę pianę i wyję. Oczywiście dyskretnie, za kulisami teatru.

Nie wiem, co mi jest. Łykam jakieś pigułki przepisane mi przez lekarza w celu „zasuszenia” pokarmu w piersiach i przywrócenia równowagi hormonalnej po kwietniowych wydarzeniach. Być może to one zamieniają mnie w czarownicę.

Odkryłam, Że nie wzięłam dla siebie żadnej książki.

Mówię wyraźnie - nie mam ze sobą nic do czytania.

Są wory ubrań, pudła lekarstw, podgrzewacze, termofory, zabaw-ki, bajki dla dzieci, nawet dmuchany basen! ale nie ma ani jednej książki dla mnie.

Zapomniałam zabrać.

Nie, nie zapomniałam, w ogóle o tym nie pomyślałam.

Grozi mi wakacyjna nuda? O tym przy dzieciach nie ma mowy.

Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że to jest moja osobista klęska. To jakby diabeł podstawił mi pod nos lustro, zaśmiał się złowieszczo i powiedział: Oto, kim jesteś!

Już prawie ma moją duszę.

Kim ja jestem? do czego się doprowadziłam? Kiedyś nie do pomyślenia było, żebym do tramwaju wsiadła bez książki! Była niezbędna, jak aparat tlenowy na Księżycu. Umysł musiał być bez przerwy karmiony.

A dziś proszę, wyjeżdżam na czternaście dni i przez pierwsze trzy nawet nie wiem, że jestem bez książki!

Ogarnęła mnie pogarda dla siebie samej. Ale ogarnęła mnie jakimś takim matczynym, ciepłym gestem, bo jednocześnie rozczuliłam się nad moim upadkiem i pożałowałam siebie, że jestem taka ogołocona intelektualnie w obecnym życiu, że nie ma komu pomóc mi, podać ręki, i oto zapadam się coraz bardziej w bezmyślną, zwierzęcą egzystencję...

Dzieci zachorowały. W czerwcu, latem! Katar, zapalenie gardła, gorączka. Podaję biseptol.

To robota diabła. Pokazał mi, gdzie jest moje miejsce (użaliłam się nad swym upadkiem intelektualnym, to za to mam teraz pełne ręce roboty). W dodatku pan Majcherek wyjechał, zostawiając swego wielkiego psa, który wyje godzinami, jak dusza potępiona.

Mam uczucie, jakby mnie zamknęli w psychiatryku. Całą noc nie spałam, doglądając gorączkujących dzieci. Albo siedziałam na materacu. Albo stałam w oknie sztywna ze strachu. Jezioro nocą jest niesamowite. Martwe łodzie i ich żywe cienie na wodzie. Wiatr gra na wantach jakąś upiorną pieśń. Wycie psa.

I ta poświata księżycowa - jak droga donikąd.

I nagle przeloty nietoperzy przez smugę światła.

Do tego podstępne szepty lasu, trzaskanie gałązek, jakby ktoś tam chodził, chodził... jakby w jego ciemnej głębi toczyło się tajemne, ale intensywne i agresywne życie.

I jeszcze ten ponury i w istocie głupi rechot żab.

I znów wycie tego psa, co kilka minut, jakby był podłączony do jakiegoś innego, obcego, nieludzkiego kosmosu.

Włos mi się jeżył na głowie.

Jest jeszcze przed sezonem. Jesteśmy tu zupełnie sami. Wszystkie inne domy stoją puste, pozamykane. Wolę sobie tego w ogóle nie uświadamiać. Tylko my na opustoszałej planecie.

Myślę, że mam nerwy w proszku.

Mleko. Pokarm Życia. Błogostan wypływający z piersi kobiety. Biała strużka łącząca istotę (małą istotkę) z istnieniem. Tędy do życia. Ssij pierś, a nie wrócisz w otchłań niebytu.

Dziecko przy piersi to pokój dla świata i balsam dla dusz.

A mężczyzna przy piersi? Usta mężczyzny zaciśnięte na sutku; czy czuje się on podłączony do kosmicznego źródła? Czy to próba powrotu do raju nieświadomego dzieciństwa? Zatrącenie się poza czasem i poza wszelkim tabu? Co on czuje, ssąc pierś swej kobiety?

Kobieta karmiąca mężczyznę to obraz szczególnie oddziałujący na wyobraźnię. Oto połączenie matki i kochanki (a nawet córki).

Tędy do życia. I do śmierci. Przez tę niewinność, tę ofiarę, to kazirodztwo, kanibalizm, sacrum i profanum, wszystko.

Gdy moja siostra wychodziła za mąż, ja byłam już matką karmiącą i pojechałam na jej uroczystości weselne z dwiema piersiami pełnymi pokarmu, ale bez dziecka, które zostało we Wrocławiu (zabrać niemowlę w daleką podróż pociągiem w Polsce 81 roku, narazić je na brud, smród i stanie w polu, to był w moim pojęciu jałowy heroizm; zamążpójście siostry to cel niedostatecznie wzniosły...).

Podwieczorek poślubny jedliśmy w domu rodziców, gości było najwyżej dziesięcioro. Przy stole toczyły się sympatyczne rozmowy; są takie sytuacje, gdy ludzie są zgodni, pokojowo usposobieni, uprzejmi,

mili, dobrzy, jakby nagle wyewoluowali i stali się nowym gatunkiem istot. Homo bonus⁷. W takich razach czuję, że jednak lubię żyć...

Zza framugi drzwi kuchennych wychyla się ojciec z kubeczkim w rękę i pyta, dlaczego to mleko ma taki dziwny smak, czy nie jest aby zepsute. Jakie mleko, pyta z kolei mama i zwraca się w stronę nowego zięcia, by mu przysunąć talerz z torcikiem bezowym. No, to mleko, co stało obok pojemnika na pieczywo, bo je wypił, ale było jakieś dziwne. Koło pojemnika na pieczywo? Aha, wtedy ja się odzywam, i mówię że to moje mleko jest. Jak to twoje, ojciec nie ma pewności, czy ja się wystarczająco precyzyjnie wyrażam. No moje, to znaczy kobiece. Jak to kobiece? Kobiece??? No, normalnie. Ściągnęłam z piersi, żeby móc jeszcze trochę wytrzymać bez dziecka. Zapomniałam wylać. Jesus Marria! - ryczy ojciec i zaczyna się kręcić w kółko, jakby nagle uszkodzony został jego zmysł równowagi. Wy-piłem to, woła, WYPIŁEM TO!!! Czy mi nie zaszkodzi? Czyja się nie zatruję? Co ty mi zrobiłaś! Jak mogłaś mi to zrobić! Coś takiego na stole, w moim domu!

- No, co ty opowiadasz, przecież to dzieci piją, to jest zdrowe...

- Wstrętne jest! Obrzydliwe! - wygląda, jakby łyknął kompotu z dżdżownic, twarz ma pobladłą i wykrzywioną.

Mój ojciec zawsze zamyka za sobą wszystkie drzwi, a do łazienki, gdy bierze prysznic, nie wpuści nawet matki. Nigdy żadna z córek nie widziała go nagim. A tu nagle zemsta Przyrody! Przeciek z krainy Bezwstydu! Kobiece mleko, wydzielina, a może kosmiczna uryna?

Na stole w kuchni. A on nieświadomy niczego - wypija!

- Mój mąż to lubi - dopowiadam mściwie, bo się obrażam za ten jego wstręt i czuję, że wart jest tego, by go dobić. - To normalne mleko, tyle że nie tak tłuste jak krowie. Jeśli zechcesz więcej, to poproś.

Wyobrażam sobie zamęt w jego duszy. Przecież to regres i przekroczenie tabu. To nie tylko kubek z mlekiem „od kobiety”, to sprawa nieczysta między ojcem a córką. Córką, którą od dzieciństwa trzymał na dystans, prawie jej nie dotykał, nie brał na ręce. Szturczał tylko i poklepywał. Gdyby znał rzymskie podanie o umierającym z głodu Kimonie, co uwięziony czekał na śmierć, a wtedy przybyła jego córka i nakarmiła go własną piersią... To był ostatni posiłek starca: mleko spłodzonej przez niego istoty, zastrzyk energii przed ostatnią podróżą, podróżą Drogą Mleczną.

A może tego się właśnie przestraszył? Może to był przebrany w groteskowy behavior strach przed śmiercią? Nie wiem, co on wie.

Nie znam swego ojca. Zawsze strzegł swego życia intymnego, jakby te rzeczy nie znane były reszcie świata. Owszem, wygłaszał poglądy i wydawał dyspozycje, ale skrywał całe swe psychiczne podziemie i sam chyba nigdy tam nie zaglądał, wolał patos lub żarciki, to był jego życiowy przekładaniec. Dwa wytrychy, które dopasowywał do każdych drzwi.

I nagle coś, co jest poza wszelką kategorią! Ludzkie mleko! Gorzej

- kobiece mleko. Zdrada. I upadek w upadek.

- Mój mąż to lubi - powtarzam z niewinną miną, jakby chodziło o lody waniliowe.

Nadal siedzimy nad jeziorem. Był lekarz, wrócił pan Majcherek. Do sąsiedniego domu przyjechali sympatyczni star-si państwo. Po jeziorze

pływają łabędzie z małymi. Dzieci zdrowsze, dość grzeczne. Można by znów ogłosić wotum zaufania dla świata.

Tylko ten Paw. Jego zrządzenie, głędzenie, złośliwość, przycinki i te ciągle wrzaski na Nenka... Tak mnie to męczy i nudzi. Zniechęcam się do niego coraz bardziej i powoli tracę nadzieję, że kiedykolwiek cokolwiek się między nami zmieni.

Wakacje bez uroku.

Dobrze, że za darmo.

Domek na skarpie. Wkoło lasy sosnowe, drogi w nich piaszczyste, obsypane szyszkami. Intensywny zapach żywicy. Przystań, płaskie kolorowe łodzie. Malutka Różia na spacerze, maszerująca dzielnie, wyprzedzająca nas o ćwierć kilometra, na prostej drodze ledwie widać czerwoną kropkę jej kurteczki, daleko. Odważna, nie ogląda się za siebie, już dziś bierze sobie świat, inaczej niż ja, która wciąż czekam...

Wiem, że to wszystko będzie piękne i wzruszające, ale trochę potem, nie teraz jeszcze, jak mówi Norwid: cokolwiek dalej...

Dni, wtedy gdy je przeżywam, są dziwnie nieuchwytnie, jakby skupione na samym procesie przeciskania się przez przewężenie klepsydry, z przyszłości w przeszłość. Dopiero gdy przeminą, zaczynają promieniować, prawdziwie ożywają.

To, co dzieje się w tej chwili, wydaje się błahe, nieważne, niewarte czułości, jednak gdy już będzie za mną, wypięknieje i zyska czar...

Urośnie, wypełni się, nabierze wagi. I będzie wymuszać na mnie tęsknotę za tym, co minęło. Bo większość naszych łez płynie z przeszłości.

Te wakacje, jedyne nasze wspólne wakacje we czworo, będą kiedyś może cenną pamiątką w archiwum wspomnień?

Poszłam niedawno do osiedlowego zakładu fotograficznego zrobić sobie zdjęcie. A osiedlowa baba, która wyglądała raczej na rzeźniczkę niż artystkę obiektywu, machnęła mi taki portret, że teraz siedzę i patrzę, i aż się boję... Jestem na tej fotografii skończoną piękną, tak mnie wyretuszowała, ale - w oczach pozostawiła mi niepokojący smutek. I to mnie dręczy.

Szczególnie teraz o czwartej rano.

Teraz o czwartej rano, gdy siedzę sama na łóżku i wpatruję się we własne spojrzenie na zdjęciu i czuję, że jest to spojrzenie zaświatowe.

A zdjęcie nadaje się na nagrobek.

Magiczne myślenie jest u mnie pewną dolegliwością, pojawiającą się w okresach przemęczenia i oszołomienia przedłużającą się samotnością. Paw już pół roku siedzi w Niemczech, w Instytucie Maxa Plancka. Ja od dwóch miesięcy mam fobię „złodziejową” (po trzy razy sprawdzam zamki w drzwiach, gdy wychodzę z domu), a od miesiąca „morderczą” (że się złoczyńca z dachu spuści do mego okna... i tym podobne wizje, efekty przegrzania złączy mózgowych w bezsenne noce). Na dodatek Baśka powiedziała mi, że na naszym osiedlu, w czyjejś łazience szczur się pokazał, więc codziennie przed pójściem spać stawiam na desce sedesowej kamienny garnek do kiszenia ogórków. No, już szczura to bym nie wytrzymała. Podobno wystarczy im rura o średnicy czterech centymetrów, by się przecisnąć.

Cierpię na bezsenność. Każdy dźwięk powoduje wielokrotne echo w mojej czaszce, jak puszcza przywiązana do kociego chwosta, na pustej ulicy w niedzielę. A dziś - proszę. Ubzdurałam sobie, że to znak rychłej śmierci, bo skoro mam już nagrobną fotografię...

Kiedy cztery lata temu byłam ostatni raz u poetki Anny Kamieńskiej (pisałam o niej pracę magisterską), w Warszawie na ulicy Joteyki, w jej smutnym samotnym mieszkaniu, niedługo przed jej śmiercią, wpatrywałam się w poustawiane na półeczkach stare fotografie, ciemne jak dym. Były to zdjęcia matki Anny, sióstr, męża, ciotek i innych nie znanych mi, od dawna nieżyjących osób. Spojrzenia umarłych uwięzione na fotografiach mają w sobie dziwne światło bez źródła, jakieś zagubione w przestrzeni światło, którym pytają: czyja umarłem? Poczułam wtedy dreszcz metafizyczny i strach. Udzieliła mi się ta niepewność umarłych, co do ich kondycji.

I teraz znów to czuję.

Patrzę na siebie (jednak) jak urzeczona. Patrzę sobie w oczy i widzę tam podobne światło bez źródła...

Zamówiłam pięćdziesiąt odbitek (wystarczy na cały cmentarz).

Baba pękała z dumy.

Co się modlą do nieba, kogo wzywają?

Co się lękają, ci, przed kim się kryją?

O Boże!... Westchnienie to z głębi do głębi;

z nicości w nicość zapada,

w ludzkim gardle chwilę gada...

I tyle dowodu na istnienie Boga

Reszta to trwoga, trwoga, trwoga...

(Proszę, jakże sobie swawolę lirycznie i epigonicznie, w tym swoim zeszycie, „klęczniku” w kratkę...)

Śmierć. A może przechodzimy przez nią, jak księżyc przez chmury? Chwila ciemności i grozy - po czym światło powraca i czujemy ulgę, wszystko jest jak przedtem, tak samo jak było...

Miłość ma naturę falową. Przychodzi i odchodzi. Wybucha i gaśnie. Wprawia w euforię albo w gniew. Zamienia świat w niebo albo w piekło. Ten rytm odmierza nasze życie; nie umiemy i nie chcemy się z tego wyrwać. Może dlatego, że podskórnie wiemy, że istnienie w ogóle ma naturę dwoistą, zerojedynkową, od błysku, do ciemności. I z powrotem. Prawdopodobnie wszelki stan stały to byłby wyrok śmierci dla świata.

Niech więc i miłość raz jest raz, raz nie jest. Byleby zawsze wracała.

Paw ostatecznie porzucił Instytut i karierę naukową. Dwa miesiące po powrocie z Niemiec, ze stypendium. Do skończenia doktoratu brakowało mu już tylko spisu treści, podobno.

I podobno to jest moja wina, bo nie miał warunków w tak małym mieszkanku, dokąd go wywlokłam, obarczając dziećmi, psami i kotami. Nie idąc do pracy, jak normalna kobieta, która po skończeniu studiów dzieli z mężem wysiłek utrzymania domu. Co ona robi całe dni z tymi dziećmi, ta kobieta? Pytają rodzice Pawia. A co Paw im odpowiada, tego nie wiem, bo o tym to mi już nie mówi, relacjonując wizyty swe na Salamanderweg.

Co ona robi z tymi dziećmi, po co jej te psy i te koty? Czy ona sama to wie?

Nie wie.

Może tak wygląda wolność, że się ma, co się chce?

Może tak wygląda samotność, że się dobiera dusze, nawet te przypadkowe, odzwierzęce dusze, do towarzystwa?

Może po to, by dzieci miały wesoły dom, żeby się działy przygody, żeby czuły się szczęśliwe i kochane. Żeby tak, a nie inaczej, zapamiętały swe dzieciństwo; to rodzaj korekty do ich przyszłych wspomnień. Wspomnienia trzeba dzieciom przygotowywać zawczasu, żeby nie było niemiłych niespodzianek.

„Jestem jak bóg dla swojej wyobraźni - powiedział dziś Nenek - mogę pomyśleć wszystko". Wolny we własnej wyobraźni, mój syn, który jeszcze nie tak dawno bał się przejść sam przez ulicę i chował się do szafy, gdy wracał do domu tata.

Paw z Wiesiem i Grzesiem Dudkiem założyli firmę komputerową i teraz to dopiero jest prawdziwa zabawa w zaczarowanym kraju.

Zamówienia składają, kupują, sprzedają, dostarczają, usieciwiają, szkołą, fakturują, „zapytania ofertowe" rozsyłają, zaciągają atrakcyjne kredyty, mają już pracowników, mają biuro, wszystko szybko, jakby się paliło, jakby ta nowa Polska miała potrwać dwa tygodnie.

Inflacja jest taka, że trzeba pędzić szybciej niż spadają pieniądze, bo tylko wtedy można je złapać. Teraz to już Paw naprawdę nie wraca do domu. Bywa, że się i trzy dni nie widzimy, bo ma w biurze materac do spania. Tylko koszule się rozmnożyły i prasuję je seriami po dziesięć. Podobno to normalne w biznesie zjawisko. Gdy wpada do domu, mam wrażenie, że uruchamia się wirówka wydarzeń. On coś mówi o transzach, sieciach, odsetkach, podatkach, inżynierach Novella, panienkach z Techmexu, ja nic nie rozumiem, jaka Asia, dlaczego wyjechała, kto chciał podłożyć lewą fakturę, nie żadna Asia, tylko ten facet, co niby prowadził

rozmowy w sprawie aptekarzy, no, ty mnie przecież w ogóle nie słuchasz, nic kompletnie nie rozumiesz, apteki się na gwałt komputeryzują, klienta trzeba łapać, Witek nas będzie protegował, dwie apteki ma w Wałbrzychu, więc cały Wałbrzych jest już nasz!

Zaczarowany kraj, zaczarowany Paw, będziemy bogaci, a jeszcze niedawno Hańcia w „Kogucie” (bar dla kierowców) kawę na łyżeczki kupowała...

Wyprowadzamy się. Wracamy na Salamanderweg. Mieszkanie na Książu Małym trzeba wynająć ludziom, bo pieniądze potrzebne. Rosną nie płacone odsetki, wszystko trzeba wkładać w firmę, taki czas, przejściowy, to normalne w raczkującym kapitalizmie. Zaciskamy pasa. (A ja myślałam, że już od lat jesteśmy na wdechu...)

Jak się zmobilizujemy, to wyjdziemy na prostą. I wtedy wrócimy tu, albo kupimy sobie większe mieszkanie, a nawet dom! Nie będziesz ICH spotykać, zrobimy sobie na górze osobną kuchnię, dla Tośka to świetna fucha, akurat ma czas, pociągnie się rury z dołu, Wybierzesz sobie kafelki.

Będzie dobrze - myśli Hańcia - dzieci będą miały ogród, a nie podwórko pod kominem. I psy też odetchną na wolności. Ciasno w dwóch pokojach. Osobna kuchnia... więc nie będę ICH spotykać?

Dzieci będą miały dziadków, zamiast ojca, dziadkowie je kochają, pomimo że mnie nie kochają. Będę miała więcej czasu dla siebie, może pojedę gdzieś, na jakąś Wiosnę Poezji? Albo Jesień? Ludzi spotkam?

Będzie dobrze.

Kupa psychicznego gruzu. Zgniłe kłęby chmur na szybach. Sierpień? To ma być lato? Lato dla ludzi? Ludzie... „Cóż są ludzie?” Istoty, którym się wydaje, że są. Że są sobą. Że są na świecie. Żłuda. Nędza. Zabawa w

sto luster. Kto jest kim? Co jest pierwsze, a co się powtarza? Przepaść wielokrotna, bez dna. Jestem bogiem, gdy patrzę w górę. Jestem owadem, robakiem, ziarnkiem, prochem, molekułą, gdy spoglądam w dół. Pascalu, czy ci nie żal?

Mikromakrokosmosy, chaosity, wielogłosy, przepaście, wdzięczne nędzy. Kto to wszystko nawymyślał? Pan Przypadek z Panią Koniecznością?

Cóż to za poranek szary, ranek-burek. Zapach kociej kuwety, czarowany aromatem kawy... Piasek pod powiekami.

Do tego ten facet, nieprzytomnie wysoki, w pogniecionym podkoszulku, z pogniecionymi włosami, z opuchniętą, skrzywioną twarzą wyrażającą jedno tylko życzenie: nic do mnie nie mów... Idzie sikać.

Ciężko otwiera się wieko nowego dnia.

Na jabłoni w ogrodzie wróble skwierczą jak cebula na tłuszczu.

Na tarasie - liście wyszarpane nocą z głów drzew i kilka niedojrzałych jabłek wielkości śliwek. Był tu wiatr nocą, był tu gwałt, był demon z wizytą... pac, pac, jeszcze jedno embrionalne jabłuszko odbiegło po płytkach tarasu, od swego życia odbiegło.

Co jest z tą kawą!

To on, mąż, tak woła. Do łóżka wrócił. I czeka. Aż mu się poda.

Kawa.

Kozuch na kawie parzonej po turecku, gruby, na dnie muł, na to cukier, tonie powoli jakby w bagnie.

Truciznę warzę mojemu sinobrodemu, truciznę: Zalej wrzątkiem dwie kopyte łyżeczki zmielonej „robusty” kupionej w piątek w sklepiku „pod dębem”. Dosyp garść białej śmierci, zamieszaj i daj wypić na czczo...

Upadek znaczny na zdrowiu pewny, stopniowy, ale skuteczny, na sercu, na wątrobie, w nerkach, a na żołądku wrzód murowany!

Chwytam kubeczki za uszka. Kawowe kozuchy sztywno się chyboczą na powierzchni. Poły czerwonego mego szlafroka zafalowały na zakręcie i przylgnęły do framugi na jedną chwilę, obnażając nagie biodro. Ale on nie widzi nic.

- Proszę. No, usiądź - mówię fałszywie miłym głosem, bo czuję w sobie wiedźmę.

Odrzucam róg kołdry, pod którą ukrył twarz niechętną światu ojciec moich dzieci. On zwija się odruchowo jak robak spod kamienia, „jesteś bez serca” mruczy i po chwili siada, ale oczu nie otwiera. Nos pogrubiały, wargi odęte, włos na głowie jak gniazdo porzucone przez ptaki. A pij. Jedz. Myj się. I idź już do pracy i do cholery jasnej!

Teraz dziecko. Dziecko Różia. Chwyciło szczebelki łóżka. Podniosło się i natychmiast włączyło alarm modulując dźwięk, na znak i pamiątkę wydarzenia własnego istnienia, i w rocznicę codziennej tej rewolucji. Na znak, że na świat przyszło i zmieniło go w jeden dzień, a teraz na środku tego świata się obudziło i natychmiast musi dostać coś do zjedzenia, aby żyć. O, wielka jest moc dziecięcego głodu! Różia ryczy. Biorę na ręce ten owoc mojego żywota, bardzo już wyrośnięty, pulchny, czerwony na policzkach, mokry od spodu (!), obsmarkany od góry. Wściekłe ciało kosmiczne, które przyszło nie wiadomo skąd, przeszło przeze mnie, a teraz zawłaszcza zastaną rzeczywistość.

Masz kawałek chrupkiego chlebka. Zaraz będzie śniadanie.

Teraz Nenek. Widzę, jak przemyka pod ścianą, przedziutko do łazienki, zanim tata nie zajmie jej na długo. Jest jak zawsze z lekka

załęczniony. Polatuje na wiotkich skrzydełkach swego strachu ten chłopiec o ślicznej śniadej twarzyczce, w której tkwią szeroko otwarte, nieruchome ciemne oczy.

- Czy on nigdy nie mruga? Mrugaj, gówniarzu!

Tak się odzywa samiec Alfa; atakuje słabszego samczyka w sforze.

- Dlaczego on tego siusiaka tak smyra! - krzyczy Alfa.

- Bo się boi ciebie, wielkoludzie, bo stoisz nad nim jak rycząca góra.

Ten świat jest nasz.

Jest ogród, ale nie ma raju.

Jest dom, ale w sercach chaos.

Rozbój i rozpacz. Ale i rozkosz. Rozkosz nocą, szybka, gwałtowna, jak kula zgiełku upadająca w głuchą ciszę sprzed stworzenia tego świata. Naszego świata.

Rozmrażam lodówkę i muszę z nią siedzieć, bo inaczej Babce Meir pod nami sufit zaleje. Mińsk 16***, specjalny model, przeróbka czołgu... Pojemnik na wodę ma tak płytki, że trzeba go opróżniać co najmniej cztery razy. Dyżuruję więc, bo jeśli nie zdążę na czas, woda wypływa na podłogę, a deski są niestety stare, pełno szpar. Już się kiedyś tak zdarzyło i potem gadaniu, minom nie było końca, jakbym nie sufit im zmoczyła, ale łóżko. Lepiej spędzę ten wieczór w kuchni. To zresztą bardzo odpowiednie miejsce do pisania książki. Ponoć Paweł Huelle swojego Weisera Dawidka w kuchni napisał. I odtąd stał się sławny.

To jest moje miejsce. Jestem Hańcią. Little Mary, czy Gretchen, wszystko jedno, gatunek ten sam, Hańcia-Zmywak. Taki sobie los wybrałam, choć mogłam inny. Gdy Hańcia pozamiata, wyszoruje, nagotuje, nakarmi, to przysiądzie mężowi na kolanach, bo właśnie do

kuchni wszedł, on jej wkłada rękę pod koszulę i z wdzięczności za tyle pracy drapie ją po plecach. Lewa łopatka, prawa łopatka, pomiędzy, poniżej, powyżej, bardzo miło.

- Dobrze mieć żonę, nieprawdaż? Kochanki to byś tak nie drapał.

To takie nieromantyczne. Nie wypada.

- No coś ty, Hańcia. Idź sobie popisać.

- Przecież ja na pysk padam po całym dniu!

- No właśnie o tym podobno miałaś pisać książkę.

- Naprawdę jestem strasznie zmęczona.

- Długopis to lekka rzecz.

- Ale głowa ciężka...

- Co ten kot tak skacze po kuchni?

- Bo tu muchy latają, on się uczy polować.

- Przecież mucha chodzi po pokrywce, więc on jej nie widzi.

- Ale ją czuje. Ma instynkt. Popatrz, jakie mam żyły na rękach...

Słuchaj, która to jest ta żyła, co ją sobie samobójcy przecinają, ta tętnica?

- No co ty, zwariowałaś? Ona jest głęboko, nie widać jej.

- To jak oni ją sobie tak łatwo znajdują?

- Wcale nie łatwo. To głęboko. I bardzo boli. Czy te informacje są ci potrzebne do książki?

- Wszystko mi potrzebne. Tam będą same ekstremy...

- Już ja to widzę, to ekstremy będą. A właściwie, to co jest dziś na obiad?

- Dziś, czyli wczoraj, bo już jest jutro, już po północy jest...

- O nie, wczorajszego obiadu jeść nie będę, psom daj.

- Proszę bardzo! Już je wołam!

- Nieceee! Zjem! Zjem jutro ten wczorajszy, byle zaraz, bo umieram z głodu...

Niemieccy Żołnierze, którzy jakimś cudem przeżyli bitwę pod Stalingradem, odznaczani byli podobno orderem o nazwie Gefrierfleischorden: Order Mrożonego Mięsa...

(Lodówka! Opróżnić pojemnik!!!)

Hitchcock by się uśmieł, ale ja omal nie zwymiotowałam. Na samo wspomnienie żołądek skacze mi do gardła.

Przed dwoma tygodniami przywieźliśmy dwie potężne krowie nogi, dla psów. Raz na dwa miesiące kupujemy mięso w takiej właśnie naturalnej postaci u „lisiarza”, który ma chłodnię przy fermie i odsprzedaje nadwyżki po znośnej cenie. W domu kroimy to wszystko (jakieś 50-60 kilogramów) w kostkę, napychamy tym gulaszem foliowe woreczki i składujemy w piwnicznej zamrażarce. Zdarzyło mi się parokrotnie machać nożem do drugiej w nocy na kuchennym stole, gdy jakieś okoliczności sprawiły, że zostałam sama z tą robotą.

Tym razem Paw wyniósł owe nogi na taras (zima, mróz) i przepowiedział, że któregoś dnia sam się nimi zajmie. Wróci z pracy odpowiednio wcześniej. Ja mam tego nie ruszać. Okej.

Mijały dni, mięso kruszało, Paw wciąż nie znajdował czasu, by dokonać rzeźniczej obróbki. Tymczasem styczeń rozpromienił się śródzimowo i w ciągu parunastu godzin temperatura skoczyła do plus 15 stopni...

Wczoraj weszłam na taras i poczułam okropny smród.

Krowie nogi stały oparte o ścianę.

Stały, ale i poruszały się zarazem!

Nastawiłam odpowiednią ostrość widzenia i ujrzałam - setki tłustych białych larw poruszających się w mięsie, wspinających się po murze i rozłazących się po posadzce kamiennego balkonu.

W pierwszym odruchu cofnęłam się w głąb mieszkania, zatrzasnęłam szklane drzwi i stałam w pokoju dygocząc, z językiem wciśniętym w podniebienie. Przypomniało mi się, jak - sześćioletnia - chodziłam co dzień po mleko z niebieską kanką w ręce drogą między polami do umówionego gospodarstwa za miastem. Zdarzało się po deszczu, że ścieżka była różowosina od dżdżownic, które wiły się, wyginały, tańczyły - tysiącami - tak że nie miałam którędy przejść i musiałam skakać z „wysepki” na „wysepkę” na tej drodze przez mękę, omal przytomności nie tracąc z obrzydzenia.

I przypomniało mi się też, jak już w szkole, gdy byłam w piątej klasie, na lekcji wuefu rozbawieni koledzy wrzucili mi za koszulkę gimnastyczną garść rosówek, i jak gnałam czerwoną, zwirowaną bieżnią, krzycząc w jakimś infernalnym przerażeniu, z tym robactwem na plecach. Od tamtych wydarzeń wszelkie stworzenia wijące się, o budowie segmentowej, wywołują we mnie panikę. Jednak dziś jestem po trzydziestce, mam dwoje dzieci i muszę się opanować.

Powtórzyłam sobie w myślach mój refren bohaterski, którym zaklinam rzeczywistość, gdy jest już nie do wytrzymania.

Marsz! Marsz!

Jesteś tylko siłą Przymusu!

Być jest Obowiązkiem!

Jesteś tylko nim!

Zagotowałam czajnik wody. I jeszcze dwa wielkie gary. I potem jeszcze jeden czajnik. Wchodziłam na taras z buchającym parą naczyniem i zlewałam wrzątkiem posadzkę, ścianę domu, murowaną balustradę i krowie nogi. Systematycznie, wielokrotnie, zaciskając zęby, zaciskając powieki, skręcając w powrót sumienie. Dokonywałam eksterminacji białych robaków, cały czas pamiętając, komu zawdzięczam to traumatyczne doświadczenie. On. Paw. Nieodpowiedzialny, nieobliczalny, pozbawiony wyobraźni, lekceważący Wszystko, co się wiąże z domem i rodziną.

Wrócił o pierwszej w nocy. Zapakował zgniłe krowie nogi w ogrodową folię, wrzucił do bagażnika samochodu i - poprosił pokornie, abym towarzyszyła mu w poszukiwaniach śmietnika, z odpowiednio dużymi kontenerami, gdzieś na jakimś osiedlu, bo przecież do kubłów własnych i teściowych, zbyt małych i w dodatku opróżnianych raz w tygodniu, tego złożyć nie można...

I pojechałam!

Solidarna i dzielna żona takiego męża, na jakiego zasługuję.

A ów obrzydliwy incydent pozostał słodką małżeńską tajemnicą.

Swoją drogą, co ja robię: przyjaźnię się z wrogiem. Żenimy się z tymi, z którymi walczymy, zwyczaj znany u ludów prymitywnych. A więc przyjaźnię się z wrogiem, wdaję się z nim w dialog. Na ogół są to zwykłe, proste gadki, albo od razu kłótnie.

Właściwie kiedy ostatni raz zapytałam go, czy wierzy w Boga? Przecież poziom Boga we krwi nie jest stały, zmienia się w ciągu życia pod wpływem różnych okoliczności. Raz się wierzy, raz nie, albo się

czynnie wątpi, albo się biernie wierzy, albo w ogóle na długo się zapomina, że jest takie coś na świecie jak Bóg, rozmaicie to wygląda...

Mam wrażenie, że na sam widok Pawia, mego partnera życiowego, mój umysł pustoszeje...

Tak właśnie w małżeńskim życiu codziennym przejawia się Gombrowiczowska „gęba”. Czyż nie? Dla Pawia jestem Hańcią, Little Mary, Gretchen. A to, że umiem wiersz napisać, to nawet może być podniecające, taka ozdóbka perwersyjna.

On mnie taką w swojej obecności stwarza, czy też ja przy nim taką siebie stwarzam.

Tylko taką, nie inną. Taką na bieżące rozmówki, na 1200 słów słownika. Gotową do służby albo do prostej walki. To się ustaliło gdzieś na początku naszej historii, i teraz nic już się nie da zrobić. Na jego widok włącza się ten sam określony program. Tak jak nie można się cofnąć w czasie, tak ja nie mogę wobec tego człowieka być CAŁĄ sobą, jestem tylko częścią i to tą najmniej szlachetną.

Jeśli przestajesz być sobą w związku, to znak, że należy odejść, proste. Jak budowa cepa (ulubione powiedzonko Pawia). Ile jeszcze lat będę tu siedzieć i analizować klęskę in statu nascendi?

Strach odejść. Strach porzucić gotowy kształt, jaki by nie był. Za drzwiami obcy świat i trzeba by się bardzo starać, od nowa budować swoją twarz.

„Jeśli czytujesz Heideggera, to nie możesz być idiotką . Taki oto subtelny komplement spotkał mnie dzisiejszego ranka ze strony męża, gdy ujrzał na moim biurku dzieło pt. Budować. Mieszkać. Myśleć. Nic nie odpowiedziałam, poklepałam go tylko przyjaźnie w pośladek, aby czym

prędzej wynosił się do pracy. To, co miałyby paść z jego ust w następnej kolejności, i tak znam na pamięć. „Żeby przestała kwoczyć i zasiadła wreszcie do biurka, bo dzieci są już duże i świetnie sobie beze mnie poradzą. To, że nie znajduję czasu na pracę umysłową, jest wyłącznie moją winą.

Normalna kobieta nie wisi tak ciągle nad potomstwem, a tylko organizuje zabawę, po czym sama ma czas dla siebie". Oto przemówienie, które powtarza się cyklicznie i na które od dawna nie reaguję żadnym komentarzem.

Paw wyszedł, a ja się pochylam nad książką: „Jeśli człowiek ma się raz jeszcze znaleźć w pobliżu bycia, musi wpierw nauczyć się egzystować w tym, co bezimienne". Wzdycham.

Żeby cośkolwiek zrozumieć z Heideggera, każdy akapit czytam po trzy razy, a i tak rwie mi się wątek. Bo gospodarstwo wzywa mnie bez przerwy. Wystarczy, że wzrok podniosę niebacznie, zaraz dostrzegam, że niebo się chmurzy i natychmiast muszę porzucić myśl już prawie nanizaną na mózgowy zwój, bo trzeba po pranie lecieć, pościągać ze sznurka, aby co wyszło na deszczu, nie zmokło. Deszcz nie poczeka, Heidegger poczeka...

„Człowiek w równym stopniu musi umieć rozpoznać zwodniczość tego, co publiczne, jak niemoc tego, co prywatne". Znów przerywam. Bo Rózia gramoli się po schodach, rycząc wniebogłosy spadła z rowerka i stłukła kolano.

Albo: dobiega mnie zapach rozgotowujących się ziemniaków, więc zrywam się, by je precedzić, bo jeszcze moment, a nie będzie obiadu.

Albo: teść woła z dołu, już po raz kolejny, by pozbierać opadłe jabłka na kompot, „jeśli chcemy”.

Albo: psy rozszczękały mordy - listonosz właśnie stoi przy furtce, może „polecony”...

Albo: o, Matko Boska, już pierwsza, trzeba po Nenka do szkoły, skrzyżowanie bez świateł, ulica wylotowa z miasta, sam nie powinien wracać. W zeszłym roku zginęła tam dziesięcioletnia dziewczynka.

Albo-albo.

Albo-albo.

To już dawno jest jakiś Kierkegaard, ponury i napięty, a nie Martin Heidegger...

Ani myśleć, ani budować, ani zamieszkać w tak bezkształtnym losie.

Recepty filozofów nijak się mają do świata kobiet. Oni budują systemy myślowe dla siebie samych. Kobiety to jest tylko zaplecze intelektualnego frontu; tyły, aprowizacja, pielęgnacja, uciecha i rozród.

Niech sobie piszą bajki o Sierotce Marysi, co po jagody ratujące życie wędrowała...

Heidegger: „Człowiek zanim zacznie mówić, musi na nowo dać się ugodzić wezwaniu bycia, narażając się na niebezpieczeństwo, że wtedy rzadko będzie miał coś do powiedzenia. W ten tylko sposób zostanie przywrócona słowu drogocенność jego istoty, a człowiekowi jego domostwo dla zamieszkania w prawdzie bycia”.

Jakaś mucha lata za mną. jak pies się do mnie przyczepiła. Pijana, czy co. Albo oswojona. Wciąż na mnie siada. Na kolanie. Na nosie nawet. Pod pióro się pcha. Otwieram okno na oścież, nie odlatuje. Waruje przy mnie cały czas.

Packą ją.

Nie trafiłam.

I w bukiet róż.

Znów uciekła.

Zbyt ostrożnie uderzyłam, to dlatego.

Teraz w parapet.

Znowu nic.

W końcu na kolanie własnym ją ubijam, rozmawiając przez telefon. Odłożyłam słuchawkę. Mucha na podłodze. Leży, czy stoi? O, rusza się jeszcze. Nawet iść zaczyna w kierunku mojej stopy. Zdjęłam kłapek i pac. Wciąż za delikatna jestem. Więc jeszcze raz, bo nie pomogło. Wreszcie. Ostatecznie. Rozbita na placek.

No i wtedy żal poczułam. Że zwierzątko przecież. I jakieś takie indywidualne. Jakieś takie uczuciowe, jakby dziwnie przywiązane do mnie... Może czegoś chciało? Coś przekazać? Jakiś komunikat ważny, ponadgatunkowy? A jeśli to była dusza inkarnowana w nędznego owada, cierpiąca dusza? Zrobiło mi się naprawdę przykro. Poczułam coś do muchy. Cały wieczór ze mną spędziła. Jak szczeniak lepiła się do mnie. W ligninę ją zgarnęłam. To nie była zwykła mucha. Bezmyślnie ją zabiłam. Ze zniecierpliwienia i braku wyobraźni. Bo mała. Taka mała, że mi się w głowie nie mieściła, że przeleciała mi przez skalę wartości, jak przez zbyt grube sito.

Zero empatii. Kiedyś jakiś olbrzym zrobi mi to samo. Nie z braku sumienia, ale z powodu dysproporcji światów.

Nie palę teraz papierosów, palę zapałki (dzięki Bogu, ludzie wykradli bogom zapałki...).

Gdy już wszystko pokończę wieczorem, siadam przy stole w kuchni, przy uprzątniętym, do czysta wytartym, i - zapalam zapałki. Przez chwile patrzę, jak drewnienko lekko wilgotnieje tuż za rozbłyskiem siarki, jak się potem rozpala, czernieje i skręca. Gdy ogienek już mi parzy palce, zdmuchuję go i zapalam następną za-pałkę. I znów wpatruję się w mały gniewny płomyk. Od spodu błękitnawy, w środkowej partii niemal przezroczysty, górą złoto-rudy, rosnący tak szybko.

Ale zaraz jest po. Więc następna. Odwracam ją w dół i maleńka pochodnia natychmiast parzy mi palce.

Ogień jest piękny. Jest zmaterializowanym, widzialnym duchem.

Fascynuje i uzależnia. Podnieca zmysły. Namawia do niszczącej rozkoszy. Do grzechu. Do przekroczenia. Jestem w stanie zrozumieć podpalaczy, którzy podkładają ogień, by patrzeć.

Życie to spalanie.

Patrzenie w ogień: odkrywa właściwy sens i cel tej całej, prometejskiej kradzieży. Tajemnica wyjawiona: przemijanie w wielkim skrócie, kondensacja istnienia, aż po koniec, dostępna dla pojedynczego człowieka, błyskawiczna kronika wszystkiego, moment metafizyczny, wyświetlający całość, poza leniwym programem obowiązującego nas liniowego czasu. Krzyk żywej komórki, która wybucha. Krzyk miliardów komórek. Cud zagłady.

Dzieci śpią, mojego mężczyzny nie ma. A ja pragnę czegoś, ale nie wiem, co to jest. Czuję chłód w sobie i chcę się ogrzać. Ale to nie jest ten rodzaj zimna, który można ogrzać zapałką. To lód, który się stopi dopiero od pożaru.

Niech więc to będzie nawet katastrofa, wielki grzech, apartament w piekle wynajęty. Ale niech się wreszcie coś stanie, bo tak się nie da dalej żyć.

Mamusiu, Strasznie lubię to, co gotujesz. Zwłaszcza wszystko! (To Różia, która wpadła do kuchni w południe zwabiona zapachem obiadu.)

Dzieci śpią. Siedzimy w kuchni, jest druga w nocy.

Dwie godziny temu wrócił z pracy Paw. Podałam mu obiad w samo południe nocy. To teraz u nas norma. A oto lista dialogowa długiej sceny małżeńskiej pod tytułem: „Small business blues”... Takie sceny odbywamy przynajmniej raz w tygodniu. Zmienia się klimat naszego domu, na znacznie zimniejszy: noce są dłuższe i nie mijają o poranku...

- Dudek zaproponował, żebym zastawił swoje mieszkanie za kredyt bankowy...

- Masz na myśli NASZE mieszkanie?

- No, oczywiście.

- Nabyte za ciężko zarobione pieniądze i okupione rocznym rozstaniem z rodziną, zanim jeszcze ktokolwiek pomyślał o założeniu firmy?

- No, ja jemu powiedziałem, że ty się nie zgodzisz. Prawo spółdzielcze wymaga zgody obojga małżonków, więc ty po prostu nie wyrażasz zgody.

- Jak on w ogóle śmie występować z takimi propozycjami! Jeździ autem kupionym za firmowe pieniądze, a ten jego wkład mieszkaniowy, te cholerne trzysta milionów, które wziął po prostu z obrotów firmy, i których teraz tak brakuje, to też są w połowie nasze pieniądze!

- Ale jego żona powiedziała, że jak ruszy wkład mieszkaniowy, to ona pisze pozew o rozwód.

- Mam gdzieś jej rozwód. Śpiąca królewna cholerna. Przez cały rok nic jej nie obchodzi, tylko inkasuje forszę, wierząc, że jej Dudek tak dzielnie sam zarabia pieniążki. No bo już tym razem obiecał mówić prawdę, więc to musi być prawda, nie? Patologiczne małżeństwo.

Ona ma nerwicę, bo on kłamie, a on kłamie, bo ona ma nerwicę! A ja już mam kurwicę, wiesz? Rozumiesz? Bo z tego powodu, że on się jej boi, a ty się boisz jego, wszyscy równo pójdziemy na dno!

- Jak nie przestaniesz, to nic więcej ci nie powiem!

- Teraz to już mi możesz nie mówić. Trzeba było na bieżąco spotykać się z nimi i omawiać finanse, to by od początku była sprawa jasna i dla niej, i dla nas. Ja nie wiem, jak do takiej dziumdzi do-trze informacja o klęsce i o tym, że to w ogóle nie są jej pieniądze, gdy ona już teraz wpadła w stupor. To córka wojskowego, dla niej jest tylko tak-tak, nie-nie. Czy ona w ogóle może objąć rozumem, że w polskim biznesie jest możliwy taki stan posiadania, że się ma pieniądze i jednocześnie się nie ma pieniędzy?

- Powiedziała, że pójdzie za nim do spółdzielni, jeśli on by chciał wkład ruszyć, i nie dopuści...

- No to co, na progu się położy? Chwileczkę, zaraz, a może on jej wcale jeszcze nic nie powiedział, tylko ciebie tak bada? Sprawdza, czy by może nie przeszło skorzystanie z twoich majątków?

- Ty wiesz, że to całkiem możliwe.

- No bo niby kiedy miał to powiedzieć. O północy jeszcze do nas dzwonił, z firmy, czyli nie był w ogóle w domu. Co za kłamca nałogowy.

A ty się dajesz wciągać w tę chorą grę i teraz ich problemy małżeńskie zajmują naszą rodzinę. Mówiłam ci już...

- Mówiłam, mówiłam! No i co z tego! Człowiek uczy się na błędach!

- Człowiek, ale nie ty! Przez cztery lata powtarzasz wciąż te same błędy, jakby wręcz o to chodziło, żeby się w nich umacniać. Po co ty płacisz ludziom, którzy nic nie robią? Zamiast zwolnić, bo dół finansowy, bo się z obrotu odsetki od długów spłaca, to wy zatrudniliście nowych, żeby tamtym pomogli! To dopiero jest ekonomia. Ale u was priorytetem są nie zyski, ale dobra atmosfera w firmie, żeby nikt do nikogo nic nie miał, broń Boże! Kawka, herbatka, soczek, obiadek po chińsku... Fantastyczne operacje finansowe! Miliardowe obroty! Tym razem na pewno się uda, wyjdziemy na prostą... I bum, znowu księgowy się nie spisał, nie policzył kosztów i podatek zeżarł zyski. No trudno, następnym razem się go dopilnuje. Lepiej go nie zrażać, bo on ma znajomości w Urzędzie Skarbowym, ten pan Kazio. A jak mu się samochód w Niemczech popsuł, to mu na cito, na telefon, pożyczyciście dziewięćdziesiąt milionów! Gdy ja w tym czasie soczewicę z cebulą dzieciom gotowałam, bo tatuś ma kłopoty w pracy...

- To Dudek mu pożyczył, ja nic o tym nie wiedziałem.

- Dudek! Się nie zapytał współnika, którego widzi kilka razy na dobę, tylko przelew zrobił z konta na konto! Tobie jest winny dwa razy tyle i jakoś nie przelewa, rachunków nie wyrównuje, ale panu Kaziowi od ręki! Bo się ma taki gest! Panisko, amerykany pali, coca-colę popija, a słoma z butów wystaje! Pieniędzmi rzuca wkoło jak pijany piekarz bułkami! Ty wiesz, co on czyta? Slaughterliterature, o tym, jak jeden drugiemu rżnie piłą elektryczną nogi i ręce, albo brzuch żywcem

nożyczkami rozcina, a nad tą krwistą mazią ufoludki polatują! Cała szafa jest tego w biurze. Gdy pootwierałam te książki kiedyś, to pierwotny strach poczułam, jakbym znów była australopitekiem. Czy ty w ogóle wiesz, co to za facet jest? To jakiś ciemny typ, hochsztapler, lis krzyżówka z krokodylem!

- To jest jego sprawa, co on czyta. Po co w ogóle ruszałeś jego rzeczy?

- Książki to nie są czyjeś rzeczy, to są świadectwa rozumu. Książki, które czytasz, pozwalają zajrzeć ci do głowy i zobaczyć myśli, uczucia, intencje, potrzeby emocjonalne. Jeśli coś czytasz namiętnie, to znaczy, że tym właśnie jesteś. Jesteś autorem swoich lektur i one zawsze cię zdradzą!!!

Dudek to jest uśmiechnięty facet z piłą.

Ale ty się akurat tyle znasz na ludziach, co przedszkolne pachole.

Potrzebna mu jest twoja pocziwa gęba i to, że możesz pracować bez jedzenia i spania.

Kawa, telefon, taksówka, kawa, telefon, taksówka, to są komponenty twojego życia.

Popatrz, jak ty wyglądasz, łeb na pół łysy, oczy podkrążone, buty rozdeptane. Nawet nie masz się czym ogolić porządnie, remington w Polsce nie do naprawienia. A ten ruski wibrator, co go dostałeś od mamusi pod choinkę, nawet się do golenia swetrów nie nadaje...

- Jezu, Hanka, zamknij się już, bo jeszcze trochę, to mnie coś trafi! Wiem, że masz rację, ale nie można tak gadać, gadać, gadać! Po dziesięciu minutach mam już tylko ochotę przez okno wyskoczyć.

Przestań, do cholery, przestań. Pomóż, zamiast dobijać.

- Pomagałam. Policzyłam wszystkie długi. Siedziałam z tobą po nocach nad fakturami w biurze, dzieci same w domu spały.

Niestety, to niczego nie zmienia. Ty się boisz tego typu, boisz się od niego odejść, boisz się opieprzyć kogokolwiek poza własną żoną i dziećmi.

Pracownicy są cacy. Najlepsza kawa do biura, markowe materiały piśmiennicze, a jak kwiatek na biurko sekretarki, to od razu araukaria! Byle wszyscy się do ciebie uśmiechali.

Ale jak trzeba było skrzynkę wody mineralnej przytargać, bo są święte przepisy, że należy poić zziąjaną załogę w upał, to na moją prośbę żadne plecy się nie odwróciły.

Soki donald w kartonikach to owszem, każdy sięga do szafeczki prezesa...

Właściwie nie wiadomo, kto tam u kogo pracuje. To zdaje się Mietek z tym drugim kupowali sobie ostatnio auta, tak? Ty zaś, panie prezesie, jeździsz moim starym gratem, na buty cię nie stać, nawet dyplomatkę masz po żonie. Ale duma rozpiera prezesa, bo umożliwia chłopakom start życiowy.

Kurs angielskiego za darmo, który oni mają w nosie, gdy tymczasem nas nie stać, żeby własnym dzieciom opłacić korepetycje!

Popatrz na to mieszkanie! Ile lat pędzła nie widziało! Drzwi od szafy stoją obok, bo się zawias urwał trzy miesiące temu. Okno od roku wybite woła szklarza. W korytarzu cała ściana spadła na psa, tynki trzeba robić.

Czy ty w ogóle coś widzisz? Przecież ty jesteś w jakimś amoku.

Tobie ktoś jakiś magiczny biznes blues śpiewa i rozum ci odbiera. Do domu możesz się spóźnić nawet i trzy dni, żaden problem, ale obcy ludzie muszą zostać obsłużeni natychmiast, bo to sprawa honoru.

A rodzina - na dnie hierarchii, rodzina poczeka, żona to jest rzeźba kamienna, zawsze stoi w tym samym kącie!

Ty już nie wiesz, że żyjesz, ty jesteś w grze. Do tego nie masz za grosz wyobraźni. I to cię zgubi. Tylko że mnie już może wtedy nie być. Zresztą, mnie już dawno nie ma. Tylko jakieś upiorne żonidło lata po domu i wrzeszczy. Nienawidzę jej.

I ciebie, że ją stworzyłeś.

Faceci bez wyobraźni mają żonidła, bo tylko na to zasługują.

Kurwa.

Tak.

(cisza)

- Haniu, co ci się stało?

- Nic. Nic. Nie ma mnie. Wyszłam. Przez piwnicę. Strasznie tam jest. Tylko mnie nie dotykaj!!! Nie chcę ci wybaczyć. Już nie.

Poszedł. Wyszedł z kuchni i poszedł sobie. A we mnie gwałtownie topi się lodowa góra płaczu. W pokoju go nie ma. Rzucam się na stary materac ze szlochem. Lawina ostatecznych obrazów przelatuje mi przez głowę i wyzwala potoki łez. Nienawidzę tego życia! Nie będę tak żyła! To jest jakiś idiotyczny wir, który odbiera rozum. Kim ja się stałam? Już nie potrafię normalnie myśleć. Umieję już tylko kombinować i kojarzyć, kojarzyć i kombinować. To wyzwala chore emocje. To mnie w końcu zabije. A on po prostu wyszedł.

Powinien usiąść obok i przytulić mnie... Jaki ten podgłówek jest szorstki, całą twarz mam podrapaną. I wszystko w niego wsiąka...

Nawet nie będę wiedziała, ile napłakałam. Boże, o czym ja teraz myślę, o ważeniu płaczu, liczeniu łez? Znow jakaś buchalteria? Dla jakiego szatańskiego księgowego? Jakby ktoś obcy mnie opowiadał od środka, spisywał na bibułkach duszy moje dzieje, wszystko, do pojedynczego drgnienia powieki, do imentu. Jakbym już nie żyła swoim życiem. Jakbym sobie towarzyszyła tylko i chłodnym okiem patrzyła na tę szamotaninę, zanim podejmę ostateczną decyzję odejścia.

Albo odejdę od siebie samej, w jakikolwiek sposób. Ten dom, to jest mój grobowiec.

Mój dom w Breslau

Zimowe ogrody mają dużo czasu

Przychodzą godziny popatrzą odchodzą biały szron białe brzozy

Śliwa cała w zamszowych owocach mróz ich serca liczy

To jest okno przy którym podróżuję od lat

z jednego miejsca do tego samego miejsca

(drzwi się czasem szarpną jakby chciały uciec)

Tym oknem dawno temu wyskoczyła ośmioletnia Lotta

prosto w powietrze ostre jak chrust Wczesnym rankiem

po mokrej i wietrznej nocy chwycił mróz Rosjanie

zdobyli miasto

Piekło trwa chwilę obróconą w kamień

W tym półdzikim ogrodzie czekam na ciebie od lat

dziewczynko mała grzeczna ciszo

Umyj mnie uczesz mnie

pocałuj jak klucz w drzwiach głęboko

Jesteśmy w domu

Lotta skakała z pierwszego piętra na dno ogrodu, tam gdzie dziś rośnie forsycja. Razem z matką. Czy matka ją objęła? Czy trzymała ją tylko za rękę? Czy może wypchnęła dziecko przed sobą, albo przeciwnie, skoczyła pierwsza, a Lotta instynktownie, ale i ze strachu podążyła za nią...? Lotta. To imię w polszczyźnie ma skrzydła, „leci”.

Dziewczynce fizycznie nic się podobno nie stało, nie połamano sobie nóg ani rąk. Ale jej dziecięca dusza z pewnością skręciła kark...

Po latach myślę o małej Lotcie, jak o swej współlokatorce, współmieszkance tego domu, tyle że żyjącej tutaj w innej fałdce czasu.

I tak samo o jej niewiele starszej siostrze Sarze, którą zgwałcili (na piętrze? na parterze?) pijani Sowieci w śmierdzących mundurach z zegarkami po łokcie... Czy żyła jeszcze, gdy ją, śmiejąc się i wrzeszcząc, wrzucali do studni w piwnicy? Czy zdążyła (czy w ogóle była w stanie) pomyśleć o matce i siostrze, które uciekły, zostawiając ją samą w piekle? A one? co myślały o niej, porzuconej, i jak bardzo to myślenie bolało...

Sarah („h” nieme) pozostała z nami, ze mną, z Nenkiem i Rózią.

Wyobrażam sobie, że może kiedyś się spotkamy w tym domu z uratowaną Lottą. Bo ona żyje. Słała listy tutaj, do Babki Meir. Po polsku były te listy, tak chciała porozumienia z nową, polskojęzyczną duszą swego rodzinnego domu, że dawała je do tłumaczenia. Jednak Babka pozostała nieugięta. Babka zna niemiecki, angielski i francuski, tak samo jak ta wykształcona Niemka (która jest dziennikarką w Szwajcarii), ale odpisywała twardo po polsku, dla zasady. Bo to się do niej odzywał wróg, przedstawicielka wrogiego narodu, co tę wojnę wywołał. Babka

odpisywała, że nie, że nie chce jej tu widzieć, żadnych Niemców, bo to jest teraz jej dom.

Kiedy jakaś taksówka krąży po okolicy i nikt z niej nie wysiada, wtedy myślę, że to Lotta krąży wokół swego dawnego domu i patrzy w okna...

Mam te listy: pięć listów. Babka Meir dała mi je kiedyś na moją prośbę; to nic wielkiego dać coś bezwartościowego komuś bezwartościowemu, prawda?

Dla mnie to skarb, bo cierpienie jest jak skarb, szczególnie cierpienie dziecka, które na zawsze zatopione jest w dorosłym człowieku.

Kiedy miesiąc temu pojawiła się na ścianie pokoju, tego z balkonem (obecnie rozbudowanym, przerobionym na taras), rdzawa plama, która powiększała się każdego dnia, natychmiast pomyślałam o Sarze. „Ściana krwawi” - magiczne myślenie zawsze wyprzedza wszelkie rozsądne, logiczne wytłumaczenia. Przecież to niemożliwe, to pewnie jakaś rura biegnie tędy... Ale skąd tutaj rura? Skorodowała? Ale dlaczego tak czerwono? Sarah. To jest znak od Sary, jej śmierć i wciąż się nie może zbliżyć... Sarah, ona mieszka z nami; ostatnia godzina jej życia wciąż trwa w murach tego domu.

Studnia w piwnicy to bardzo niedobrze dla mieszkańców.

Nikt nigdy nie będzie tutaj szczęśliwy.

Czym jest LOS? Czy to jakiś Bóg bez głowy? Kiedy życie zamienia się w los? Przypadek czy przeznaczenie? Czy los to przeznaczenie? A przypadek? Czy ciąg przypadków to już przeznaczenie?

Ciągle przychodzi mi Bóg do głowy. Nagle, ni z tego, ni z owego, mam potrzebę pójścia do jakiegoś kościoła, do katedry, na Ostrów Tumski

pojechać chcę... Czy to się odzywa potrzeba czegoś świętego przy tym monstrualnym, przygniatającym nadmiarze - powszedniego? A może On ma taką naturę, że wykorzystuje człowieka w nieszczęściu? Czuję, jakby się mnie czepiał, kusił. Bóg-Kusiciel. Ale co On może mi dać za moją duszę? Przecież ja duszy pragnę! Duszy!

Więcej duszy!

Wróbel na tarasie w skrzynce z bratkami przekrzywił główkę, wiatr burzył mu piórka, wiał „pod włos”... Pąki na gałęziach klonu puchły i wilgotniały, narodziny listków miały nastąpić zaraz, za parę godzin. Ćwierkanie wycinało jednakowe, powtarzalne wzorki w materii mojego słyszenia. I pomyślałam, dlaczego tak uporczywie trzymamy się swego życia, gdy żyć albo nie żyć, to dwie strony tego samego istnienia?

Bycie szersze jest niż życie. Czułam to wyraźnie, w wiosennym słońcu, patrząc na wróbla w skrzynce z bratkami, na pączki, z których za chwilę wytrysną liście.

Nic. Nikt. Nigdy.

Cudowne słowa.

Gdy je powtarzam - rosnę!

Za kilka dni skończę trzydzieści cztery lata. Jestem jakby zaskoczona tą liczbą. W czwartek robiłam prześwietlenie płuc i, zapytana o wiek, nie mogłam ustalić, czy mam trzydzieści cztery, czy może już trzydzieści pięć? To już tak dużo, że można się pomylić. Doktor spojrzał na mnie dziwnie... Kobiety skrzętnie pilnują swego wieku, a tej jakoś wszystko jedno? Nie pilnuje swych lat.

Wczoraj była niedziela, okropna. Ale może decydująca. Depresyjno-alkoholowa. Nie wypilałam dużo, ale za to rano i na pusty żołądek. Sama widzę, że piję coraz więcej. Zwykle do południa daję sobie radę. Ale gdy o pierwszej wchodzę do kuchni, by zabrać się za obiad, otwieram butelkę piwa. Jedno nie wystarczy na tyle roboty. Otwieram drugie. Dopiero gdy piję trzecie, jest naprawdę miło: widok za oknem zyskuje szczerą urodę, świat jest przyjazny, a górą polatują nadzieje na coraz lepszy obrót spraw.

Palenie tymczasowo porzuciłam, bez kłopotu, ten nałóg to nie jest mój diabeł stróż. Ale z alkoholem, choćby w wersji soft, nie jest tak łatwo. Jeszcze podczas wakacji targowałam się z Bogiem Nie-Tak (to imię mojego Boga, który mi służy za interlokutora wewnętrznego): pić - nie pić, a może pić - mniej? W sobotę twardo nie kupiłam piwa podczas porannych zakupów. Za to wczoraj już nie mogłam Wytrzymać, zrobiłam sobie ohydny drinka z sokiem pomarańczowym, potem następnego, musiałam szybko znieczulić ten dzień.

Że taki pusty jak poprzedni, że minie bez śladu. Dzień, którego nie Przypomnę sobie nigdy... Że Paw mimo niedzieli poszedł do pracy i nie ma czasu na życie ze mną. Że długi jego firmy rosą, a on lekką ręką puszcza miliony. Do tego odurzony biegiem wydarzeń w kółko powtarza, że jeszcze jeden zakręt i już wychodzimy na prostą. Dla niego liczy się tylko akcja, nie refleksja. Niechby dużo kosztowała, byle była dynamiczna i naprodukowała mu morze adrenaliny! To jedyny napęd, na którym on jedzie!

A dom? Miejsce pochówku rodziny? W to nie warto włożyć ani złotówki. Brudne ściany. U sufitów najbrzydsze lampy świata: jakiś lampion w metalowych kędziorach, zerwać tego nie wolno, bo to Pawcio

jeszcze w szkole na lekcji wychowania technicznego twórczo powyginał, W kuchni za to wisi plamista misa z mętnego szkła, znaleziona wśród rzekomo starożytnych rupieci profesora N., który był mentorem Babki Meir u zarania kariery naukowej, przerwanej brutalnie zamążpójściem. Patrzeć nie mogę. Wszelki sprzęt od sasa do lasa, paździerzowa tandeta - z darów rozmaitych znajomych emigrujących na Zachód. „Chcecie? Wam się to przyda, my TAM sobie wszystko kupimy. TAM się nie trzeba zapisywać na meble!" Zawias w drzwiach szafy urwał się, więc stoją oparte o ścianę już pół roku.

W oknie wybita zewnętrzna szyba. To się skrzydło zdjęło z futryny i postawiło byle gdzie, pod domem, aż czekając sezon cały na szklarza wypaczyło się, oblaźło z farby i pokryło się smutkiem...

A do tego ten obszarpany małżeński materac, rzucony w kąt pokoju, za cienki, za krótki, za to wyraziście wyznaczający poziom (dno), na którym egzystuje nasz związek.

Kiedyś był stelaż i całość nazywała się tapczanem, ale to były dawne czasy wyniosłych nocy, gdy po miłości leżeliśmy przytuleni i snuliśmy plany na przyszłość.

Teraz jest już po przyszłości.

Teraz wieczory spędzam sama, całe dni spędzam sama, a pode mną, piętro niżej, żyją jego rodzice, żyją i emanują w górę, ku mnie, miazmaty, trucizny, opary pogardy, ku mnie, która nie potrafię wy-mościć ich synowi przytulnego gniazdka, która nie pracuję, oddając się lenistwu i jakiejś nic nie wartej pisaninie...

Bardzo się staram, by nikt nie widział, ile piję. Nawet Paw się nie domyśla, że, kto wie, może mam tylko krok do alkoholizmu?

Jest tylko jeden problem, problem butelek, których przybywa za kuchennymi drzwiami i które łatwo policzyć, niestety. Które trzeba odnosić do sklepu bez ostentacji, delikatnie, uważając, by szkło zbytnio nie dzwoniło w torbie. Nie daj Boże dziecko posłać na róg, do sklepu „pod dębem”, ono to dopiero wszczyna hałas, co krok kopiąc kolanem w torbę, którą, o zgrozo, wlecze prawie po ziemi! Pół ulicy słucha wtedy brzęku moich butelek, jakby na spowiedzi podstępnie nagłośnionej!

A ja w oknie stoję, wzrokiem odprowadzam niefrasobliwe pacholę i syczę, bo moje superego wije się jak nadepnięty padalec.

Dzięki Bogu przestraszyłam się wczorajszego dnia. Że niby wcale się nie upiłam, a jednak niewiele pamiętam. Różia narysowała piękne koty, stała przede mną demonstrując obrazek, a ja wpatrywałam się weń obojętnie, potem pogłaskałam ją po głowie i myślałam tylko o tym, że muszę się położyć, natychmiast. Spałam półtorej godziny.

Potem zrobiłam obiad: ziemniaki w mundurkach, parówki, kiszzone ogórki. Każdemu harcerzowi odebrano by za takie danie odznakę wzorowego kucharza. Ale, o dziwo, ten ponury posiłek pasował i do otoczenia, i do mojej duszy. No i zmusiłam się, by wreszcie coś zjeść, parę suchych kartofli.

Od jak dawna tak siebie okłamuję? Dwa lata? Trzy? Od kiedy czuję, że coś wyjada mnie od środka, kawałek po kawałku, i moja przestrzeń wewnętrzna staje się BRAKIEM?

Dzień, którego nie przypomnę sobie nigdy...

A życie? Czyje zapamiętam? Czy kiedyś, TAM, przypomnę sobie Hannę, która uciekła za daleko, i znalazła się gdzieś, gdzie kończą się wewnętrzne mapy?

Wiersz. Napisałam cały wiersz. Pod tytułem „Lamentacja”.

Położyć się na ziemi i płakać

Strasznie tęsknić i płakać

Zapadać się we własne niespełnienie płacząc

Już nigdy nie mieć nikogo przy sobie i z tego powodu płakać

Porzucić wszystko czym się było płacząc płacząc

Pamiętam cię świecie przyszedłeś wraz ze mną

Ale teraz płaczmy bo nic już nie będzie jak było

Moja matka moje dzieci mój ukochany

Blakną oczy miłości i zamykają się powieki

W swych srebrnych ciałach płynęliśmy sobie na ratunek a ból i
rozkosz płacz i śmiech żal i obietnica zrastały się w los

Teraz nie ma nas

Zamykają się powieki

Pod nimi czarne niebo i mrowie ognistych punktów jak lawa nocą

Jestem wyspą która tonie

Jestem rdzeniem pamięci która płonie

Jestem opuszczoną miłością

Za mną jest życie

Niech mnie ktoś zapamięta

A może ja w środku jestem złą, ordynarną babą? Może chcę przeklinać, spluwać i ciskać cynizmu monetą ta-nią? Chcę być złą, wstrętna, leniwa i myśleć tylko o najgorszym?

Przecież ja całe życie myślę o rzeczach złych, o śmierci, z ciekawością myślę, drzę ze strachu i ciekawości. Już w dzieciństwie wyobrażałam sobie wolność jako śmierć rodziców. Uśmiercałam ich

każdego wieczora przed zaśnięciem, a potem się napawałam wolnością- Jung gdzieś o tym pisze, że to normalny proces indywiduacji, ale u mnie to była obsesja, nie proces.

Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że samolot, którym polecili do Gruzji (bo raz polecili z wycieczką do Gruzji), rozbił się i wszyscy zginęli. W związku z tym ja zostaję sama na świecie. (Młodsza siostrą nie zaprzętałam sobie głowy.) Sama na świecie! Rozkosz bycia samej na świecie!

Teraz też wciąż rozważam śmierć moich najbliższych. (Czyli proces indywiduacji wcale się nie zakończył.)

Płaczę, gdy wyobrażam sobie śmierć któregoś z moich dzieci, oczywiście, że płaczę i bolą mnie takie myśli jak oparzelina. Ale wolę to przećwiczyć; strach powoduje, że muszę to wciąż ćwiczyć. Jeśli się tego dobrze nie nauczę, to w razie, gdyby to się naprawdę zdarzyło, będę wyła jak suka i zdechnę. Wiem to. Już się czegoś o sobie dowiedziałam na studiach z Życia na Świecie.

Gdy sobie wyobrażam śmierć Pawia, a wyobrażam ją sobie każdej samotnej nocy, żal nie jest zwierzęcy. Jest ciężki, powłóczysty i świecący jak brokatowy tren. Jest to żal uroczysty, właściwy dla sytuacji. Skończone, skończone, myślę sobie. Amen. Stoję nad przeszłości wielką skrzynią i bawię się łzami, tasuję scenki z życia, grzebię w zaduchu zużytych wspomnień. Czuję, jak wszystko od siebie odstaje, jak rozwarstwia się czas i nic nigdy już nie będzie jednością.

Ale to się daje wytrzymać, moje samotne istnienie po śmierci Pawia ma w sobie godność i elegancję...

Oczywiście, że nie jestem ordynarną babą.

Jednak się boję ordynarnej baby w sobie; mam taki potencjał.

Znam parę wstrętnych przekleństw, użyłam ich ileś razy wżyciu (mażeńskim). Co prawda potem zawsze czułam się głupio. Jakbym to nie ja przeklinała, jakby to była cudza taśma, ścieżka dźwiękowa z filmu o kimś obcym.

Tak samo było, gdy kiedyś ze złości cisnęłam książką o ścianę.

Przecież ludzie rzucają książkami albo innymi przedmiotami. Więc się zamachnęłam, gdy okoliczności to usprawiedliwiały. I natychmiast poczułam się głupio. Dlaczego to zrobiłam, POZWOLIŁAM SOBIE na reakcję, która nie jest moja własna?

Pobiegłam po książkę, pochyliłam się nad nią jak nad zranionym ptakiem, poskładałam jej skrzydła i nigdy więcej niczym nie rzucałam.

MAM DOŚĆ - bo to o to chodzi, prawda? - „MAMDOŚĆ” musi sobie radzić samo, zatrzaśnięte w moim wnętrzu.

Uczeni psychologodzy odkryli czarną dziurę w człowieku. Pustkę w jego duszy. Ta pustka się przekłada na uczucie BRAKU. Ssący głód i palące poczucie bezsensu zdominowują psychikę i ktoś taki zaczyna się w życiu swym miotać. Rozpacz, depresja, nałogi. Ktoś taki chce siebie wypełnić czymś, albo uśpić, albo uciec. Nie ma jednak ratunku. Emocjonalna próżnia rozprzestrzenia się i pożera go od środka.

O, jak dobrze znaleźć książkę, w której jest to opisane (czytam taką). A więc jest nas więcej? Inni też cierpią? Też się miotają? Też piją? Razem lżej; wspólny bezład, bezwład, bezsens weselszy jest i mniej podły. Już sam opis choroby jest jak lekarstwo, bo ułatwia chorowanie. Łatwiejsza

choroba, to łatwiejsze wyzdrowienie, nawet jeśli to ma być wyzdrowienie poprzez śmierć.

Strzelanie do luster. Ruscy robili to niemal standardowo, gdziekolwiek się w trakcie walk znaleźli. W naszym domu wszystkie lustra zostały „rozstrzelane” przez Rosjan. Gdy Huczny Dziadzio (wtenczas dwudziestopięcioletni komendant straży akademickiej) po „wyzwoleniu miasta” i wycofaniu się wojsk radzieckich (do koszar) objął w posiadanie willę przy Salamanderweg, żadne nie było całe.

Strzelanie do lustra niewątpliwie jest parodią samobójstwa.

Ale równocześnie jest - zabijaniem świadka, bo lustra patrzą na nas, widzą wszystko i mogą wszystko zapamiętać.

I jeszcze, tak myślę, jest to akt niezgody na porządek, bo lustro, które symetrycznie odzwierciedla widok, jest powtórzeniem jakiejś sekwencji rzeczywistości, a tym samym wprowadza w otoczenie rytm, czyli ład. Wojna to przestrzeń chaosu, potwornego, morderczego kar-nawału, i zanim przyjdzie niewola porządku, trzeba się wyszaleć.

Czasem myślę, że ja też, ja też mam ochotę rozstrzelać lustro, bo chciałabym unicestwić i siebie, i świadka, którym jestem dla samej siebie, i tę wojnę, która trwa, chociaż nikt jej nie widzi, tę moją wojnę wreszcie skończyć.

Już nie mogłam. Do Basi poszłam. Pojechałam autem. Tyle dla mnie zysku z tego biznesu Pawia, że mi moi rodzice małego fiata kupili (okazyjnie od stryja z Brombergu), którym ja teraz czasami objeżdżam obszar mojej wolności, to znaczy przywożę zakupy, dziecko ze szkoły, albo jadę w odwiedziny.

Po przeprowadzce z powrotem na Salamanderweg najbardziej brakuje mi Basi. Basia, zgodnie ze swą pielęgniarzką naturą, w chwilach szczególnie ciężkich daje z siebie wszystko: empatia wszech-ogarniająca i pełne uczestnictwo w cudzym losie. W tym wypadku jest to mój los...

- A co ty się, Hańcia, tak zresz od środka? - pyta moja Basia, która zawsze lojalnie uprzedza, że jest tylko prostą pielęgniarzką, więc żeby się po niej szkoły wyższej psychologii nie spodziewać. A jednak, gdy siadam na jej kanapie, od razu jest mi lepiej, moja dusza się sama prasuje i wygładza. Wpadam w rytm jej języka, prostego pielęgniarzkiego języka, i stopniowo następuje samoleczenie przez uproszczenie. - Ty sobie, Hańcia, coś ubzdurałaś. Nabiłaś sobie głowę pięknymi wizjami, a nas tu tymczasem chamstwo zalewa. No, przecież masz tego chłopca jakby ciut lepszego od innych, ale ty to byś jeszcze więcej chciała!

- Jak to mam lepszego, Basiu, kiedy nic z nim się w życiu ulepić nie daje...

- No, jest to taki gapa, intelektualista, te krowie cudne oczy, te srebrne okulary... Każdy, Hańcia, go wyczuje, i ty się nie dziw, że mu ludzie garściami pieniądze z kieszeni wyciągają!

- Ale ja mu przecież mówię, że to są złodzieje, bo mam oko na takie typy...

- Po co mu twoje oko, jak ten Dudek, co mu słoma z butów wystaje, wpada do firmy i woła, że mu na cito sto milionów dać trzeba, bo spółdzielnia jutro cztery piętra pod dach wyciągnie i jak nie zapłaci, to go żona zabije, a on już do śmierci w tym hotelu garnizonowym dzieciaki tłuc będzie!

- Kochana! Ona nie ma o niczym bladego pojęcia, to harcerka jest, córka wojskowego! Jej mąż jest według niej prawym i prawdomównym mężczyzną jej życia, uczciwie zarabia i POWINIEN już dawno mieć pieniądze na mieszkanie, bo wszystko na to wskazuje, że mają owocować lata jego ciężkiej pracy oraz jej wyrzeczeń!

- Zaraz, to ona jest pod wrażeniem, że ma bogatego męża?

- Otóż to! w dodatku sądzi, że ja też mam bogatego męża, bo przecież jak ktoś jest nieobecny w domu dwadzieścia godzin na dobę, to z tego automatycznie wynikają duże pieniądze.

- No, ale przecież rozmawiałaś z nią na wiosnę.

- Oczywiście. Zajechałam swoim maluchem, którego dostałam od rodziców, ale to jest niemożliwe, na pewno mój mąż mi kupił z dorobku firmy, samochód nie bierze się z powietrza...

- No już dobrze.

- No więc zaczęłam tej śpiącej królownie tłumaczyć ciężką sytuację, że dopiero co wzięli stówę wprost z obrotu i teraz to niech ona swoje sumienie zapyta, czy znów mogą brać, gdy tymczasem już nas wyprzedzili o osiemdziesiąt, że Paw się zaharowuje, od lat bez wakacji, w każdy weekend w pracy, długi rosą, kupa niepotrzebnych, leniwych pracowników i „przyjaciół” pobiera co miesiąc wysokie pensje, do tego zusy, podatki, benzyna, darmowe kursy, darmowa kawa, czynsze w najdroższym biurowcu, a jej mąż tylko odpala papierosa od papierosa, coca-colę pije i powieści czyta, pod tytułem Zbrodnicza królowa albo Anioł śmierci.

- No i patrz pan, intelektualista, telewizor ma i wideo, ale on książki czytać woli...

- No ale jej główny wniosek z naszego dramatycznego spotkania był taki, że jej mąż pali! Pali, a przysiągł, że rzucił palenie! Rozumiesz, świat drży w posadach, komornik już nogą grzebie, a jej Du-duś ją okłamał! I jak ona teraz będzie żyła, gdy straciła zaufanie! I jak on mógł jej to zrobić, żeby obcy ludzie jej donosili, co to będzie i jak ona teraz wygląda...

- A lepiej od ciebie wygląda, bo ma pełny wkład na mieszkanie i nowego poloneza, a ty masz tylko poczciwego męża, co od ciebie siedemnastoletniego malucha pożycza i jeszcze mu pomagasz co rano nogi w aucie pozawijać, żeby drzwi się zatrzasnąć dały...

- Ty wiesz, jak on w tym maluchu wygląda? Kolanami może kierownicę obracać, nosem klakson wciskać!

- No to wypijmy, Hańcia, pod tego dwumetrowego, bo on twój jest i uczciwy, i tak naprawdę dobry dla ciebie - powiada moja Basia i otwiera barek, w którym się pręży półlitrowa butelka poloneza.

- A co mi tam dobry! - pryham, bo na takie pogodne podsumowanie jest jeszcze dla mnie o wiele za wcześnie. - Myśli firmą, mówi firmą, oddycha firmą, to już nie jest tamten facet, całkiem się przeprogramował.

- Zaraz się przeprogramował! To chamstwo wkoło niego go pożera! Co się dziwisz, jeśli ktoś siedzi w gównie, to i gównem śmierdzi. - Basia ponownie napełnia kieliszki.

- Ale, Basiu, nie tak się kiedyś umawialiśmy...

- A kto się z tobą umawiał, wariatko jedna! Po dwadzieścia lat mieliście i do łóżka wam było spieszno!

- No i jak to łóżko wygląda? Kawał obskurnej gąbki na podłodze!

Przyjeżdżam z dziećmi z wakacji, uduchowiona, w oczach mam błękit morza przezczysty - a tu chałupa pusta, patyna kurzu na wszystkim,

nikt mnie nie wita. Na parterze teść tyłem siedzi, „a, to wy” mówi pod nosem, obierając jabłka, nie przerywa sobie. Teściowa, też plecami, informuje mnie, że Pawełek wyjechał, będzie późnym wieczorem. Więc ja za torby i na piętro. A tam od ściany, spod nie uprzątniętej pościeli zapach grzyba się wizualizuje do postaci potwornej i natychmiast zapominam o tygodniach patrzenia na najbardziej przejmujące krajobrazy nadmorskiej przyrody! Ściany całe w krwawych plamach po ubitych komarach stoją nade mną i szydzą z urody świata.

Czuję, że moje przemówienie się wydłuża ponad miarę, ale tak dobrze mi się mówi, coraz łatwiej, coraz trafniej... I komu jak nie Basi opowiem wreszcie wszystko, dokładnie, ze szczegółami, gdzie mnie najbardziej boli...

- Dziurawy dywan puszcza do mnie perskie oko! Szmaty zwisają z foteli, bo do szafy za daleko! A na oknie w kuchni stuletnia róża moczy nogę w wazonie z zielonym kisiem! Ohyda! Nienawidzę tego! Ten chaos, ta ruina, to opuszczenie! Gdy tymczasem mój mąż w garniturze, w eleganckim biurze, z panienkami jakobsa popija...

- No, Hańcia, ależ ci za skórę zalazł, ty już prawie donos piszesz!

- Dzisiaj jest mój dzień, Basiu, masz jeszcze te napoje?

- Oczywiście. Trzymam dla Kordowiczów, na piątek, ale ty dzisiaj bardziej potrzebująca jesteś.

- Tylko że ja bez fanty nie dam rady.

- Może ci kanapkę zrobić? Śniadanie jadłaś?

- Nawet by mi przez gardło nie przeszło. Potąd mam tego biznesu!

Smol biznes blus.

Cholera.

Wschodnioeuropejskie karate.

Facet się zapuścił kompletnie. To zapach pieniędzy go wywabił z porządnej uczelni... Czy wiesz, że on już miał napisany doktorat?

Tylko wnioski i spis treści miał zrobić! Teraz drąży ten tunel młodej przedsiębiorczości i myśli, że drogę w życiu znalazł... I jeszcze mnie za sobą ciągnie... Tyle się na niego naczekałam! Pięćset listów żeśmy do siebie napisali, wiesz?

- No bo ty go, Hańcia, bardzo kochasz. Inaczej dawno byś to olała i się cieszyła, że masz na życie i nic robić nie musisz.

- Ale ja chcę robić! Ja nie chcę nie robić! Chcę razem z nim. Ja zawsze myślałam, że małżeństwo na tym polega, że się różne rzeczy razem robi...

- Wypij i nie myśl. Bo jak się zbyt skoncentrujesz, to jeszcze odgadniesz, do czego jest małżeństwo.

Następnie dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Stał w nich mój elegancki, przedsiębiorczy mężczyzna, człowiek sukcesu. Więcej nie pamiętam.

No, nie, bez przesady, pamiętam. Paw potrzebował auto i miał mnie przedtem odwiedzić do domu - tak się umówiliśmy rano, zanim się pokłóciliśmy - więc przybył i uprzejmie przysiadł na chwilę. Jednak wysoka temperatura spotkania zaskoczyła go nieco. Rozmowa toczyła się dalej, w tym samym tonie, tyle że we troje.

I powiem szczerze, że Paw był dla mnie jak - ktoś trzeci, ktoś całkiem zewnętrzny, ledwie go postrzegałam. Mój wielki żal, pełen alkoholowej fanty, odizolował mnie nieco od otoczenia, musiałam bowiem skupiać się nad logiką budowanych zdań. Musiałam dotrzeć do końca z

pełną, przekonywającą argumentacją, bo pole walki było już mocno zryte, a ja nie chciałam dzisiaj oddać ani kawałka spornej ziemi. Patrzyłam na Basię, mówiłam do Basi, bo ona nam dzisiaj sędziowała, i czułam, że na jej terenie i poprzez nią uda się coś wygrać.

Stańto na materacu. Że będzie przynajmniej to, nowy materac.

Materac na raty. Paw obiecał, a Basia przyklepała.

Po czym całe napięcie opadło i wszystkie siły nas opuściły.

Było południe, a jakby czwarta nad ranem, gdy na przyjęciu nikt już nie jest sobą.

Z Basi wyciekła cała empatia, „ja już to wszystko przerabiałam”, powtarzała, „ja już to przerabiałam”.

Paw pochylił głowę, ciężką od trosk, i zapatrzył się w jakieś swoje tło wewnętrzne, w ścianę czy mur, który go odgradzał od samego siebie, i którego nie udało mu się dotąd przekroczyć, czyli pojąć, o co tak naprawdę może chodzić w jego życiu.

Ja poczułam się jak samotna wyspa, leżąca poza wszelkimi turystycznymi szlakami, gdzie nawet poczta nie działa.

Na czystych szybach okna blask słońca odziwaczał, pociemniał i trwaliśmy nieruchomi, milczący, jak aktorzy w dramacie Czehowa na przykład, pod sam koniec przedstawienia, gdy wszystko już się stało, wszystko się powiedziało, obnażyło, przepadło; wszyscy prze-grali wszystko i wszystkiego zaniechali, teraz już tylko ostateczność i przeznaczenie. I herbata, herbata z konfiturą... o tak i tak. Nie piękniej, nie rzewniej. Tak trywialnie i „na brudno”. Dwoje, raczej inteligentnych, ludzi kupowało sobie materac. Żeby sobie nim wyścielić dno, na którym się

znaleźli... Kto mi dopisał to zdanie? Wszechwiedzący narrator? Świadek? Ja sama z przyszłości, „której nie może nie być”?

Przemeblowanie to jeden z lepszych sposobów integrowania rodziny. Oznacza wspólny weekend, a choćby tylko wspólną niedzielę. Oczywiście ponosimy jakieś koszty, bo bycie razem, z dziećmi, we czworo, to w naszym przypadku zawsze eksperyment socjalny.

Okazją stał się oczywiście nowy materac. Król mebli. Wszystkie pozostałe sprzęty domowe musiały zmienić swoje miejsce, aby on mógł opaść na podłogę w optymalnym miejscu. Odbywały się prace towarzyszące, takie jak: odkurzanie, trzepanie, łowienie pajaków, porządki w szafie. Nowe łóżko małżeńskie to obietnica nowego życia.

Trzeba przepędzić demony, wymieść zabobony, przewietrzyć dusze, a serca napęlić nową wiarą.

Wszystko było już w toku, atmosfera przyjazna, a nawet serdeczna, gdy Nenek w pewnej chwili, przytrzymując jedną ręką materac, Był drugą zamachnął się jak wiatrak i niechcący trzepnął mnie w oko.

A ja, także niechcący, w lekkim zamroczeniu, jęknęłam: „Czy on musi tak wciąż podskakiwać?”.

I wtenczas... rzucił się jak lew ojciec na syna, jak przewodnik stada na krnąbrnego samczyka, i dopadł go gdzieś za szafą odsuniętą od ściany, dokąd to umknął pierworodny. Towarzyszył temu jak na sawannie ryk samca broniącego samicy, przez chwilę było pierwotnie i pięknie.

Ale zaraz poczułam strach o dziecko; na szczęście Nenek czmychnął do swego pokoju lizać rany, a mój zwycięzca przytulił mnie mocno, jakby mi życie uratował, i mogłam słyszeć bicie jego serca, bo akurat mam ucho na tej wysokości. A przytulanie jest dla mnie ważniejsze niż wyznania

miłosne i akty strzeliste. Gdy zamknięta w ramionach ukochanego słucham, jak pracuje ten jedyny w ludzkim ciele metafizyczny mięsień, odpychając czas w krew zamieniony, to jest tak, jakbym podsłuchiwała maszynę ciężko pracującej wieczności, ponadludzkiej, choć przecież zanurzonej w ludzkim ciele. Zamieram wówczas, kompletnie szczęśliwa, dopuszczona do samego tabernakulum. I jestem dobra. Jestem czystą harmonią. Moja dusza i ciało przepływają jedno w drugie na znak, że są różnymi stanami tej samej energii. Cud prawdziwy. Cud przytulenia.

Ale dziecko, czy nic mu się nie stało?!

Incydent z Nenkiem nie miał dalszych konsekwencji. Przemeblowanie się udało. Jest poniedziałek, mąż w pracy, zwierzęta nakarmione, pranie powieszony, obiad nastawiony, lodówka umyta. Zabrałam na materac materiały piśmiennicze, siedzę, korzystając ze wsparcia poduszek, i piszę. W radiu Dworzak, opus dziewięćdziesiąte szóste, kwartet numer dwanaście. Cudnie.

„Świat, w którym żyje każdy człowiek, zależy przede wszystkim od sposobu, w jaki go pojmuje. To samo zdarzenie, które lotny umysł ujmuje interesująco i odbiera jak przygodę, dla umysłu płaskiego i banalnego będzie bezbarwną sceną z życia codziennego.

Pierwszym i najważniejszym warunkiem szczęścia w naszym życiu jest to, czym jesteśmy, nasza osobowość".

Tu na tym kawałku ziemi w czerwcu.

Tu pod tym kawałkiem nieba w czerwcu.

W miasteczku Wu. Na uliczce eS. W życiorysie Ha.

Powraca chwilowa szczęśliwość.

Przewraca się z brzucha na plecy, na kocu, w ogrodzie.

Młody jej brzuch, jak nagie lustерko, przecierają białe obłoczki.

Nic się złego nie stanie nikomu na świecie.

(Nikomu prąd w genitalia, gwoździe pod paznokcie, bambusów pałeczki w ucho, gwałt zamiast wtajemniczenia. Ani nawet szarej bezowocnej, bezterminowej żmudy po horyzont czasu. Ani unie ważnienia genów przez śmierć dziecka, czyli cofnięcia paszport w podróży przez dalsze istnienie)

Nic się złego nie stanie nikomu na świecie...

Jedwabiste podobłocze. Nieboskłony. Błogostany.

Świetliste kokony z przędzy Losu.

Wewnątrz ja, czysta jak łąza.

Mam na imię Ha. Mam na imię Ach!

Muzyka jest odpowiedzią. To pewne. Napytani postawione i nie. Jest odpowiedzią bez treści. Tym bardziej przykuwającą. Instrumenty to są wyroczenie; wciąż pragniemy ich słuchać. Muzycy kładą ręce na klawiszach i strunach, i wydobywają z nic wiedzę, niejasną. Ona wnika w nas i chociaż niczego nie mówi słowo wami, to przecież uspokajamy się i mamy poczucie, że zostaliśmy nasyceni odpowiedzią.

Siedzę na materacu i słucham koncertu d-moll Sibeliusa. Gra Iza ak Stern. Tylko on tak potrafi zagrać gwizdanie na skrzypcach.

Gdy muzyka sięga szczytów piękna, to, co estetyczne, staje się etyczne. Chcemy tego wciąż słuchać, by czuć dobro.

Paw przyniósł od zegarmistrza naprawiony wreszcie zegar. To specjalny zegar, stary zegar, bardzo stary zegar, z kukułką. I teraz wskazuje on nie tylko godziny, ale także poziom miłości w domu naszym...

Zegar ma prawie sto pięćdziesiąt lat i wciąż żyje. Jego narządy wewnętrzne chroboczą nieustannie, a ptaszek trzaska drzwiczkami swego domku z wielkim zapamię, wykukując dowolne godziny o do-wolnej porze, dwunastą o trzeciej, siódmą o dziewiątej.

Najważniejsze, że chodzi.

Jednak nocami... Paw śpi zdrowym snem, spracowanego, nakarmionego i wykochanego męża, ja natomiast (wydelikaccona oczywiście stałym przebywaniem w domu z dziećmi) zrywam się co godzinę wybudzana nagłym łomotem furteczki na sprężynie i agresywnym kukaniem ptaka, który czuwa stale, czuwa bezsennie, dyżuruje, jak jakiś pielęgniarz czasu w tym naszym rodzinnym lazarecie.

Leżę w ciemności z otwartymi oczami, spać nie mogę i liczę. Liczę kolejne kuknięcia, najwięcej jest po północy, bo ptak ma nie po kolei godziny w głowie...

Leżę w ciemności z otwartymi uszami i się w napięciu wsłuchuję w te upiorne jęki i bolesne zgrzyty werku, i się męczę wraz z czasem, który zamiast płynąć, przeciska się, przedziera, przeszarpuje przez ten stary zegar, jak przez jakieś zasieki czy labirynt.

Zegar ów odziedziczyliśmy po rodzinie profesora, który przed wieloma laty był mentorem Babki Meir, gdy ona pozostawała jeszcze w stanie wolnym i zamierzała poświęcić się karierze naukowej.

Z tego to ważnego powodu zabytkowy, nietykalny, ale za to znów tykający czasomierz wisi w naszej sypialni, doprowadzając mnie nieraz do białej gorączki.

Zdarza mi się, że czekam w łóżku, aż Paw zaśnie, i wtedy płynę możliwie cicho po skrzypiącej podłodze ku zegarowi. Leciutko dotykam wahadła w kształcie liścia klonowego, i... KONIEC!

W jednej chwili nieruchomieje cały świat.

Układam się do snu odprężona i spokojna, smakując ciszę absolutną, której smaku nie da się porównać z niczym.

Nie zawsze uchodzi mi to jednak na sucho. Niekiedy rankiem Paw nie śpieszy się tak bardzo jak zwykle, podchodzi do zegara, by z namaszczeniem podciągnąć ciężkie szyszki na łańcuchu, którego ogniwa przeżuwa zegar licząc czas. I SPOSTRZEGA! I natychmiast zmienia się w srogięgo męża, który zadaje wszem i wobec, a także j i przede wszystkim swej samowolnej żonie, pytanie:

- Kto ruszał moją kukułkę???

Dawniej przyznawałam się do winy, bo mi się jeszcze wtedy wydawało, że ludzie w ogóle są do siebie podobni i że każdy każdego I może zrozumieć, tylko trzeba delikatnie i odpowiednim językiem przemawiać.

- Nie mogłam zasnąć - tłumaczyłam. - Wiesz, jak to jest w nocy, wszystko się wyolbrzymia. Dźwięki się zwielokrotniają w ciszy. Miałam uczucie, że mi ten ptak kukał prosto do mózgu.

- To są twoje histerie! - wołał wzburzony Paw, i już się niecierpliwił, bo go czas zaczynał gonić, a tu zegar nieczynny, cofnięty. - Ty się musisz leczyć!

- Ale ty spróbuj zrozumieć, że są ludzie, którzy...

- Normalnym ludziom zegary nie przeszkadzają! - przerywał mi I zamierzony wykład z psychologii i sam wygłaszał:

- Jeśli sobie powiesz, że nic nie słyszysz, to nie słyszysz i po prostu śpisz... Ale nie ty! Ty się wsłuchujesz i pozwalasz, aby to rosło w twojej głowie! Ja sobie wypraszam takie traktowanie mojej kukułki! Jej to szkodzi! W dodatku ten stary zegarmistrz na Świdnickiej zamknął zakład i kto mi ją teraz będzie naprawiał! Nikt już w tym kraju nie potrafi! Proszę mi tego, do cholery, nie ruszać!!

„Do cholery...”? Kukółka hałasuje jak żywa, a ja mam milczeć jak martwa? Czy ja przypadkiem nie potrzebuję trochę więcej uwagi i czułości niż ten drewniany ptak? Czy mój mechanizm wytrzyma dłużej, czy mechanizm przeklętego zegara?

Teraz idę w zaparte: - A kto by ci ruszał ten twój zegar! Sam się kukaniem zatyka, bo stary jest.

I nie wrzeszcz.

Dlaczego powinnam podziwiać i szanować Alberta Einsteina? Jeśli fakt, że chadzał bez skarpetek i bardzo źle traktował swoją żonę, jest dla mnie odstręczający? Wielcy ludzie, którym zazdrościmy ich losu... W porywie młodzieńczego entuzjazmu dałam pierworodnemu na drugie imię - Albert. Na cześć Einsteina, Camusa, Schweitzera. Jakże mało wiedziałam wówczas o ich życiu i życiu w ogóle! Niedobry, autystyczny Albert E. Powikłany, cierpiący Albert C. Naiwny, napompowany fałszywą ideologią Albert Sch. (Kim będzie Nenek Albert M., spadkobierca imienia wielkich a ułomnych duchów?)

Wiem, że tykać geniuszy nie należy, że to małostkowe, że to jest optyka - salonu w maglu. Ale cóż, może to ma być rodzaj jakiejś instynktownej kompensaty za własne niespełnienie i rozczarowanie?

No i jak ja Żyję? Jak w jakimś słoiku albo w terrarium.

Zakopana w trocinach, bez kontaktu ze światem.

Od czasu do czasu przebieram nóżkami po szklanej ścianie, ale to tylko kult własnej niewoli, rytualne oddawanie czci ulubionej formie życia. Przecież dobrze mi tu, bezpiecznie, na swoich śmieciach.

Jeśli pragnę zajrzeć w oczy światu, włączam swój mały telewizor-tek. Zabieram go ze sobą nawet do kuchni. I patrzę sobie przez szybkę na to, co widać, i słucham sobie tego, co słychać...

Bardzo mnie przejmują losy innych ludzi. Płaczę, gdy komuś na ekranie dzieje się krzywda. Jakieś dziecko niekochane, żona zdradzana...

Albo gdy on jej wyznaje, że ją kochał ogromnie, ale wszystko tak się ułożyło, że nie mógł dać jej żadnego znaku!

A najbardziej się wzruszam, gdy taki film pokazuje całe życie.

Najlepiej w retrospektywie: jest już po wszystkim, nic się nie odstanie. On narobił głupstw, ona nie wytrzymała i odeszła, albo jeszcze lepiej - umarła. I teraz on, nawykowo przeczesując palcami posiwiałe włosy, w przewlekłej i apatycznej rozpacz, siedzi i wspomina. O, Boże, jaki jest już teraz mądry! Zdradził ją, ale to było oczywiście bez znaczenia, przypadkowo. Tak naprawdę, to nigdy nikogo innego nie kochał. W momencie, gdy pojmuje tę ostateczną prawdę, popada w kosmiczną tęsknotę, która wyrywa go z fotela i pcha do powrotu. Nawrócony na zanedbaną, zapomnianą miłość... Prawie że święty jest od tych szlachetnych uczuć, które nim wstrząsają! Leci samolotem na przykład i tak się spieszy, że parzy się plastikowym kubeczkiem z kawą i wciąż pyta stewardesę, ile mają spóźnienia. Potem taksówka, znajome ulice, nic się nie zmieniło, jakby świat zamarł na całe, no, powiedzmy, trzy lata. Królestwo uspięte jest i dziś się przebudzi! I przebudzi się królewna, która

cały czas spała. Będzie jak dawniej. Nie. Będzie inaczej, będzie cudownie, on jej wszystko wynagrodzi. Wysiada przed domem, płaszcz rozpięty, szalik w kratkę biało-czarną powiewa, śnieg się sypie na trotuar i zaraz topnieje, bo zima dopiero się zaczyna. Staje w drzwiach. W wielkich dwuskrzydłowych drzwiach, gotów do najpiękniejszego dalszego ciągu...

A w domu tylko cisza mieszka. Na imię Cisza, na nazwisko Zupełna. To ona mu otwiera.

Wzruszam się i płaczę łzami wielkimi jak te na rysunkach Jana Marcina Szancera. Jestem już w takim stanie, że utożsamiam się z każdym, byle był choć trochę nieszczęśliwy.

Wczoraj wieczorem byłam tak zmęczona, że zapadłam w jakiś półsen przed telewizorem. Wyobraziłam sobie moje życie, które jakby się ze mnie wysunęło, niby cień spod stóp, albo szare skrzydełko spod pancerzyka owada, i usłyszałam szept: już wszystko jest zrobione i wszystko się już stało, już nie mam dla ciebie ani jednego epizodu do zagrania, to koniec. Cokolwiek zechcesz zrobić: żaden wysiłek, żaden gest nie będzie już dotyczył twojej historii.

I poczułam, że wszystko wyhamowało, całkowicie, a ja jestem jakby żywcem zanurzana w wieczność. Śmieszna myśl przyszła mi do głowy, że wieczność jest nieekologiczna, bo mnie żre jak siarka.

W tym samym momencie dotarł do moich uszu zgrzyt klucza obracanego w zamku: Paw wracał do domu po całym dniu pracy w pracy. Poderwałam się, jakby to ratunek przybył na ratunek.

Sfrunęłam na dół schodami i przytuliłam się do przewianej wiatrem koszuli mego najbliższego człowieka. Przecież nikogo bliższego nie mam! Ten jest jedyny. Chodź na górę, jest obiad, kolacja, obiad, opowiadaj, jak

projekt, a Dudek? Zgodził się podpisać? I poczeka na swoją forszę? Widzisz, mówiłam, że się uda. Tam są twoje kapcie. Jest kapusta z grzybami. Już młoda. Oczywiście, że pieczarki. Maluchy śpią od dwóch godzin. Psy nakarmione? Nakarmione.

Ulga. Jaka ulga. Wciąż mam życie. Trzymam je mocno.

Konieczne i ratunkowe jest sprowadzać Kosmos do balkonowej skrzynki z kwiatami albo pulpitu laboranta, albo do stosu komputerowych danych. A nawet - do sprawozdania z działalności Koła Przyjaciół Osiedla! Człowiekowi jest potrzebny ograniczony, mały świat; nieskończoność jest metafizyczną trucizną. Trzeba mieć dom. Gospodarstwo domowe jest bezpieczną kapsułą, arką, która przetrwa ów potop niepojętej dla nas kary, bo karą jest życie w świecie, który jest nie do objęcia i nie do pojęcia...

Maluchy starają się być dystyngowane, chociaż nie zawsze to wychodzi, bo teściuch wrzaskiewicz jest tęgi... Gdy nieraz z parteru ryknie, to falują dachówki na strychu, ptactwo się zrywa z komina, Różia wykonuje komendę „padnij” (ma silny instynkt samozachowawczy), a Babka Meir wpada w dygot...

Babki mi nie żal. Sama sobie taki los wybrała. Bo mąż to los. Paw też wrzeszczy o wszystko. Syn swego ojca. Ale ja nie wpadam w dygot. Ja się zamykam, głuchnę automatycznie, myślę o czym innym, Lód na piekle. Wszystko ukryte pod spodem. Tak się czuję: lód na piekle.

Zdolność adaptacji do trudnych warunków jest u człowieka olbrzymia. To dzięki temu, że terażniejszość, przenikając nas - znieczula. Dopiero gdy czas minie i oglądamy się wstecz, włos nam się jeży na

głowie i nie możemy uwierzyć, że w tym byliśmy, i tyle wytrzymaliśmy, bólu, upokorzeń, głupstwa.

- Jaga biękna bogoda - zaśpiewał rano Nenek. - Bogoda to jest żona Pana Boga...

Mam ten dzień. Tylko dla mnie. Nenek w szkole, Różia w przedszkolu. Chodzi do zerówki w przedszkolu. Do pierwszej anginy, oczywiście...

Jaka piękna pogoda! Słońce drży na liściach. Niebo jak uduchowiona woda. Dzień jak prezent, jak mawia Babka Meir, że mawiała jej babka, a mawiała: dzień jak prezent!

Już od dawna, patrząc na świat, nie odczuwałam takiej przyjemności: topole, brzoza, modrzewie po prostu przechadzają się w oknach domu, przechadzają się w miejscu, ale jak szumnie!

Siedzę na materacu i czytam. Drzwi są uchylone mniej więcej do połowy. Słyszę, że ktoś idzie cicho po schodach. Cicho, pneumatycznie, na granicy dźwięku. Tylko Babka Meir potrafi tak chodzić, że żadna deska w tym starym domu pod nią nie skrzypnie. Mogłabym jej zarzucić, że się skrada, ale byłoby to może z mej strony nadużycie?

Bo ona jest przecież u siebie. Ten dom należy cały do niej. Bardziej do niej niż do jej męża, który otrzymał go w darze od władz w 1946 roku za czynne pionierstwo na „ziemiach odzyskanych”, był dowódcą straży akademickiej, broniącej ponemieckiej substancji przed sojusznikiem, i pilnował porządku osiedlania się Polaków w tej willowej dzielnicy Wrocławia. Ale w istocie ów dom moralnie należał się Babce Meir, bo to ona utraciła majątki na wschodzie, oraz kamienicę w Warszawie, a teść nic nie utracił, bo nic nie miał.

Słucham, jak stopnie schodów, jeden po drugim, przekazują bezszelestnie Babkę Meir wyżej i wyżej, nie mogę tego oczywiście obserwować, ale WIEM. Wiem, bo rośnie napięcie, które zawsze towarzyszy pojawianiu się jej osoby gdziekolwiek.

Osiągnęła poziom pierwszego piętra i wpłynęła do mojej (?) kuchni. Mignęła mi w uchylonych drzwiach jej wysoka szczupła postać. Położyła coś na kuchennym stole. Pewnie kożuszek od mleka, na talerzyku, albo głąb kapuściany, czy jakąkolwiek inną spożywczą reszteczkę dla kota, dla psa. Nie rozglądając się wokoło (nie ma syna, nie ma wnuków, a więc nikogo, komu by można posłać smutny uśmiech...), odpłynęła w dół zgodnie z ziemską grawitacją, niemal nie mącąc ciszy.

Zaczynam się przyzwyczajać, że mój dom nie jest „moją twierdzą”, że w ogóle nie jestem tu u siebie. Co prawda obie kondygnacje, po remoncie, mają osobne wejścia, własne kuchnie i łazienki, do parteru przynależy piwnica, do piętra strych. My z Pawiem tego przestrzegamy. Pukamy w drzwi wewnętrzne, które dzielą oba mieszkania, pukamy i czekamy na „proszę”. Jednak oni, nie pogodzeni z nową sytuacją, z głęboko wrośniętym poczuciem własności, traktują schody na nasze piętro zupełnie „przejściowo”, jako własną drogę do własnego strychu, zupełnie jak przedwojenni Niemcy „korytarz” do Gdańska!

Początkowo próbowałam przez Pawia ustalić zasady współżycia w podzielonym domu. Ale oni potrzebują niezbędnie zarówno piwnicy, jak i strychu!

A więc bezceremonialnie się idzie na strych, się mija otwartą sypialnię rano, z całą jej wstydliwą kotłowaniną, się zagląda do kuchni, gdzie ze zlewozmywaka wystaje wczorajsza kolacja porzucona z ważnych

powodów, się otwiera drzwi na strych, szeroko, na oścież i na cały czas wieszania tam prania.

Latem wlatują mi stamtąd wprost do kuchni całymi chmurami muchy-sraluchy, muchy-bombowce, czarnobłękitne buczące maszyny do obrzydzania jedzenia, a także górnolotne komary, które się potem dyskretnie usadawiają nad łózkami, by nocą zmienić nasze mleczone buzie w krostowate twory...

Zimą zaś wali się z góry lodowate powietrze i spada prosto w moje domowe ciepłko, długo hodowane i subtelnie regulowane po-dmuchem z lufcików.

Ale dziś dopiero październik. I dzień wstał piękny. Imieniny Wioletty i Narcyza. A Babka Meir z miseczką ofiarną zrobiła tylko pętlę i zniknęła niby duch.

Siedzę tu, na tym materacu; piszę, a Huczny Dziadzio się szarogęsi na moim piętrze domu. Najpierw, idąc na strych (no trudno), zagadał do Prążka:

-A co, kotku? Nie, piesku... Nie, nie - kotku! Głodny jesteś? Pełna miseczka? Niece, niee maa jedzonka... Nie dali...

A kot mu wchodzi w słowa, miauczając wniebogłosy.

Po czym poszedł teść, ciężkim stąpieniem poszedł po schodach na górę.

Starym ludziom, którzy niedowidzą, niedosłyszą, niedomyślą, myślą się psy z kotami, czekolada ze śliwkami... Pamiętam jeszcze matkę Hucznego Dziadzia, zwaną babunią Zeliną, która częstowana pralinkami, z dystygowaniem porcjowanym entuzjazmem wyrażała swe ukontentowanie z powodu wybornego smaku „tegorocznych śliwek”. Nie uwierzyłabym,

gdybym przy tym nie była. I te miny obecnych: przez chwilę niepewność co do podstaw zmysłowych tego świata, ale zaraz kolejno zatrząskiwały się na ich twarzach przyłbice dobrego wychowania, bo co nie powinno się zdarzyć, to się nie zdarza.

Teść wrócił ze strychu. Teraz chodzi po mojej kuchni. Otwiera i zamyka lodówkę. Szura kapciami.

- No, nie ma nic, kiciu, nie ma, biedaku, pusto.

- Miau, miauu, miauu!

- No, widzisz, kot głodny, pies głodny... Idź pospać...

To ty idź pospać, teściuchu jeden. Jakim kocim prawem pałaszujesz się po moim terytorium! Oni tam na dole uważają, że ja głodzę koty, psy, dzieci i męża. Nie zamiatam, nie piorę i nie prasuję! W ogóle rodzinie żadnej egzystencji nie umożliwiam! Wciąż słyszę, że „psy dostają za mało mięsa i na okrągło marzną na dworze, mróz, czy słońce, są nieszczęśliwe i wypędzane”.

Po ćwierć kilo wołowiny dziennie dla psów niepracujących uważam, że wystarczy. Przecież one nawet domu nie pilnują. Szczekają tylko na dzieci z tornistrami i na matki z wózkami. A gdy tylko idzie ktoś pewniejszym krokiem, nie daj Boże pochyli się, by zasznurować buta, psy czmychają za róg domu i tylko nosy im stamtąd widać, takie to czujne i obronne...

Jeszcze do niedawna walczyłam o swą przestrzeń życiową. Ale Paw oświadczył mi wreszcie, że to jest nie tylko nie do zrobienia, ale nawet nie do pomyślenia. Że to po prostu wbrew naturze. Ostatecznie jest to dom rodziców i już nic tego nie zmieni.

A więc jestem „na cudzym”, żyję u kogoś i nie mogę poczuć na stałe żadnego „zadomowienia”. Nigdy nie wiem, czy nagle, gdy robię akurat coś głupiego, piję piwo albo oglądam serial dla zwierząt w telewizji, nie stanie w drzwiach postać sędziego, który omiecie mnie wzrokiem pełnym pogardy, nie wiedząc, że właśnie odwaliłam kawał ciężkiej roboty i jest to tylko niewinna chwilka odprężenia.

Jestem jedyną osobą w tym domu nie połączoną więzami krwi z właścicielami. Moje dzieci ogromnie się zdziwiły, gdy pewnego dnia dowiedziały się ode mnie, że babcia i dziadzio nie są moimi krewnymi.

- Jak to?!!! - zapytały chórem (dwuosobowym) - przecież jesteście naszą mamą!

- To nie ma nic do rzeczy - odpowiedziałam z zimnym okrucieństwem. - Jestem tylko koleżanką ze szkoły, którą wasz tatuś pojął za żonę.

- I co teraz będzie? - z konsternacją pyta Nenek.

- Nic. Z tym już nic nie da się zrobić - odpowiadam. - W rodzinie zawsze jest jedna obca osoba. W tym domu to ja.

Dzieci patrzą ze współczuciem, ale i z niedowierzaniem. Coś im się jednak nie zgadza w tej rodzinnej układance.

Mnie też się nie zgadza. Okazałam się elementem niewtapialnym, a i materiał się okazał niewsiąkliwy...

„Nasze uczynki prowadzą do nawyków, nawyki stają się charakterem, a charakter to jest Los”. (Kto to powiedział? Nie pamiętam.)

Wyskoczyłam do łazienki na jednego. Nie chcę palić w pokoju czy w kuchni, bo wszystko śmierdzi i dzieci patrzą.

Siadam sobie na brzegu wanny i palę, patrząc w owalne lustro bez ramy. Do połowy papierosa jest nawet przyjemnie. Potem jednak: skurcze żołądka i rzygam dymem. Ale jestem twarda, zaciągam się głęboko, starając się mentalnie powstrzymać odruch wymiotny. Zazwyczaj co drugi raz się udaje. Palę do samego filtra i ten ostatni „zaciąg” jest już obrzydliwy. Łzy mi w oczach stają. Patrząc w lustro i widząc strużkę śliny na wykrzywionej twarzy. Jestem na siebie wściekła.

Nie, nie wściekła - jestem wobec siebie okrutna, jak ktoś obcy, jak oprawca. Mówię: przestań tak jęczeć, bo zapalę drugiego i dopiero zobaczysz. Ale ja już nie mogę, odpowiadam tej sobie, która jest dręczycielką, to jakbym wdychała szary papier toaletowy... Uspokój się do cholery, mówię, i sięgam po paczkę leżącą na parapecie. Cicho, żołądku, będzie dobrze. Zapalam. I jest całkiem w porządku. Nawet gdzieś daleko, głęboko, gdzie się ciało z duszą zrasta, świeci nieśmiało światełko przyjemności.

Na parapecie leży laleczka. Z szarej skarpetki Różia zrobiła upiorną laleczkę z watą w głowie, z zielonymi wełnianymi kudłami i oczami z czerwonych guzików. W przedszkolu na zajęciach dzieci robiły szmaciane laleczki. Ten skarpetkowy potwór z bezwładnie opadającym łebkiem ma na imię Papierosiek. Różia położyła go na parapecie obok vogue'ów. To ma być symbol walki z nałogiem. Przykro mi, gdy na to patrzę, ale tylko tyle. Wiem, że moja córeczka nie zostanie zakonnice i będzie się tarmosić ze swym życiem tak jak ja, i próbować wszystkiego, a zacznie od papierosów. Znam ją nie od dziś, nawet nie od dnia jej narodzin. Znam ją całe moje życie.

- Wszystko, tylko nie pal - prosi mój mąż, gdy wraca do domu i czuje dym. - Pij, ile chcesz, tylko nie pal.

To pierwszorzędny zupełnie objaw troski o zdrowie najbliższego człowieka, nieprawdaż?

A tak! Pić także będę!

W ogóle nie wyobrażam sobie życia bez alkoholu. To jakby mnie mieli z domu wygnać.

Alkohol jest moim opiekunem, moim rodzinnym ciepłem, moją chemiczną matką, która nuci mi prosto w serce krótkie kołysanki o tym, że warto żyć. Krótkie, niestety.

Idę do kuchni, ale piwa nie ma. Mówiłam, żeby więcej kupić.

Nieprawda, nie mówiłam. Odkąd któregoś dnia stanęła za drzwiami skrzynka „Lecha”, a po czterech dniach okazało się, że to ja sama wszystko wypilałam - boję się ilości niepoliczalnych...

W sklepie mówię sobie w myślach: jedno ci Hanuś wystarczy, inaczej się pośpisz, wiesz, jak to jest, potem za żadną robotę się zabrać nie można, no i alkohol niszczy witaminy, jedna butelka, owszem, to nawet zdrowo, na nerki, ale już dwie, to przesada, zaczniesz tyć - tak sobie przepowiadam z serdeczną troską - jak te siedemnastowieczne Holenderki, grube były, ociążałe, senne, bo na okrągło piły piwo, no, ich mężowie za to byli bardzo zadowoleni...

Mój także. Lubi grube, i potulne. Zawsze, gdy podnoszę głos, mówi: weź relanium albo strzel sobie piwo. Nie jestem apteka, żeby mnie napychać tabletkami. Nie dam się wpędzić w lekomanie dla świętego spokoju męża. Wybieram piwo. Ono mi pozwala trochę zaniknąć, przestać istnieć w pewnym rejonie mojej duszy, tam, gdzie bez przerwy trwa pożar.

Dopiero będąc nie całkiem sobą, jestem - sympatyczna, łagodna i łatwa.
Żonka.

Jak trwoga to do Boga
jak żal to pał
jak pogarda to do gardła
papieros, wódka i Boże ratuj...

Taki wierszyk ułożyłam dziś w łazience, siedząc na wannie,
strzepując popiół do muszli, patrząc sobie w oczy w lustrze.

„Żal, że nic się nie zmienia, nawet żal” - tak pisała mniszka Helottiza
w liście do mnicha Abelarda.

Ona miała gorzej.

Umyć głowę, wysuszyć
Pójść z Rózią na badania kontrolne, zająć na pocztę
Kupić marchewkę i jabłka
Ugotować zupę
Nastawić pranie, zrobić porządek w szafkach
Umyć podłogę w kuchni i w łazience
To był plan na przedpołudnie. Wykonany

(Czy te ptaszki nie wyglądają jak przed odlotem do innych krajów?)

Czuję, że Zaczynam pisać Za Szybko. Jakbym chciała wzburzone
morze pchnąć w koryto rzeki. Spokojnie! Po kolei!

Idę do kuchni, wyjmuję z szafki kubek, z pudełeczka wyciągam za
sznureczek „wisielca”, machinalnie sięgam po papierowy filtr do kawy...

Zaraz! Herbata ma być, nie kawa. Wsuwam filtr z powrotem do opakowania. Czajnik już szumi. Za mało wody. Dolewam. Znów szumi. Zalewam wrzątkiem torebkę z herbatą. Przykrywam spodeczkiem. Ma się parzyć trzy i pół minuty. Wyciągam z szuflady vogue'a.

Cienki jak argument przeciwko paleniu. Idę do łazienki. Zapalam od wiecznego płomyka. Błady błękitny płomyczek, maleńki i wąty w wielkim blaszanym pudle junkersa. Nazywamy go - wiecznym.

Oto symbol ogniska domowego... naszego. Coś nikłego, co ciągle gaśnie.

Siadam na brzegu wanny. Popiołek syk-syk do ubikacji. Zza okna słyszeć warkot silnika.

Czyżby mąż wracał tak wcześnie?

Nie, to przecież samolot. Nad ulicą przebiegają kanały powietrzne, czy też korytarze, dla pasażerskich i wojskowych. Dokładnie nad naszą ulicą. Są takie dni, że te wojskowe przelatują, szybko i nisko, rycząc, jeden za drugim, z zegarkiem w ręku co dwie minuty! Sprawdziłam, co dwie minuty dzikie wycie przez kilkanaście sekund. Zdarza mi się, szczególnie po nieprzespanej nocy, że nie mogę wytrzymać i wyję dla towarzystwa, zatykając uszy.

Kiedyś w szklarence teścia i na werandzie popękały szyby. Kiedyś dwuletnia Rózia, wtenczas jeszcze z wizytą u dziadków, padła na ziemię jak martwa. To był chyba instynkt słabego zwierzątka, które w wielkim zagrożeniu ratuje się „śmiercią”...

Latają tak, aż comiesięcznego limitu paliwa nie wylatają. Podobno. No ale dziś to tylko jakiś kukuruźnik, a może helikopter?

Topię niedopałek. Rytualne trzy odruchy wymiotne i zamykam swą „popielniczkę”. Czy już mam nerwicę żołądka? A może nawet wrzody? Mało eleganckie.

Ale kogo to obchodzi?

Czy ktoś w tym domu w ogóle myśli, jak ja się czuję?

W małżeństwie nawet umrzeć nie wystarczy. Może to przejść niezauważone...

Wracam do kuchni opróżnić pojemnik pod lodówką, po raz trzeci wypełnił się po brzegi. Przenieść taką tacę z wodą, szeroką, chybotliwą, przez całą kuchnię aż do zlewu, to prawdziwa ekwilibrystyka.

Przed rokiem urwały się drzwiczki od zamrażalnika. Ale kogo to obchodzi. Paw codziennie zabiera mój samochód, codziennie mijają, jadąc do pracy, sklep z częściami AGD, i nie jest w stanie sprawy sfinalizować. Więc gdy jest już tyle szronu i lodu, że się robią himalaje, że już nawet śledzia nie da się wcisnąć, wtedy wyłączam pudło z prądu i trwam jak przy łożu chorego...

Przeparzyła się. Wyciskam herbacianą torebeczkę, okręcając ją sznureczkiem na łyżeczce. Zdaje się, że to nie jest w dobrym guście.

Swoją drogą, co musiałabym zrobić, by mojego męża wyrzuciło z orbity, po której odbywa całodobowe loty swe?

Czy na przykład Teda Hughesa wytrącały ze zwykłej równowagi próby samobójcze jego żony? Czy po każdym takim incydencie miłość pojawiała się na nowo? W końcu i tak ją zostawił, poetkę Sywiię Plath, z maleńkimi dziećmi w półzrujnowanym, zimnym domu, gdzieś poza granicami swojego świata, uprzednio jej jeszcze kciuk złamawszy w walce wręcz...

Wsadzić głowę do piecyka gazowego, jak ona... No ale przecież włosy się spalą. Nie! Co ja mówię, przecież gazu się nie zapala. To ma być otrucie, nie samospalenie.

I cóż? Klęczy ona (na przykład ja) nieżywa z głową w piekarniku.

Mąż wraca z pracy i wrzeszczy od progu:

- Co ty znowu wyprawiasz!

A ona nic, bo nie żyje.

On woła: przestań. Ona nic. On ją trąca. Ona leci na bok. I co dalej? Co dalej? Z jednej strony cisza, spokój (ze strony zmarłej, czyli mnie). A on? Czy bardzo go boli trzynaście lat wspólnego życia? Czy przez głowę przelatują mu obrazy, myśli, pytania? Czy się rozpacz głęboko w sercu zakorzenia? Czy on powtarza: tak ją kochałem. Jak będę teraz bez niej żył? O, nie będę żył bez niej!

Ależ będę! Będę żył! Ona miała depresję. Taka była nadwrażliwa, skrajnie tak reagowała na zwykłe życie: albo entuzjazm, albo rozpacz. Przecież jej mówiłem: poza twoją wyobraźnią jest normalna rzeczywistość, przestań się wciąż zastanawiać, czy cię Kocham, czy nie Kocham, zacznij żyć swoim życiem (nie... skąd on by tyle o mnie wiedział - myślę sobie całkiem nieżywa).

Ile by potrzebował czasu, ten najbliższy mi człowiek, aby zagryźć ów odświętny ból po stracie? Sądzę, że rok. Wielkanoc, Dzień Matki, urodziny z tortem, Dzień Dziecka, Dzień Zmarłych, Boże Narodzenie i - Nowy Rok. Niech żyje Nowy Rok! Amen.

I jeszcze, oczywiście, co jakiś czas uroczysta pielgrzymka wewnętrzna do grobu żony wykopanego we własnym sercu! Naprawdę, nienawidzę. Nienawidzę go. Nienawidzę go kochać...

W małżeństwie nie wystarczy umrzeć.

Trzeba to małżeństwo zamordować!

Zastanawiam się, czy nie przerobić tej mojej Spowiedzi na komedię do teatru. Widzę bowiem, że mój sposób pisania jest mało poważny. Cierpię jak potępiona, bo kocham głupio i przez pomyłkę, co drugi dzień w wyobraźni rzucam ten dom i wyjeżdżam. Albo szukam tej jedynej tętnicy na przedramieniu, którą można wypłynąć z tego świata... A jak to opisuję? Albo pobrzękując łańcuchowym dowcipem (polska specjalność narodowa), albo napinając linkę feministycznego dystansiku (import z Zachodu).

Może boję się zawierzyć słowom. Bo jest zbyt poważna moc w słowach i jeśli użyję ich do opisania rzeczywistości, to wtedy dopiero by mi się ona NAPRAWDĘ ziściła! Zaczęłyby się sama dostwarzać, dzielić i pączkować bez mojej woli, zgodnie z zasadami bio- i analogii, jak również czarnej przekory, oraz ślepego pędu. I nie byłoby już „nastrojów”, „depresji”, „fikcji”, „złudzeń” czy „zmęczenia”, OSTATECZNOŚĆ, od której się nie wykręcę żadnym - okej, jakoś to będzie, jeszcze nie jest najgorzej, pomyślę o tym jutro, na pewno coś się da z tym zrobić...

OSTATECZNOŚĆ.

Której na razie wciąż chcę uniknąć.

Dlaczego szczeniak wkłada łapę do miski

Z Wodą? A do miski z jedzeniem nigdy? Bo w lustrze wody odbija się obraz psiego pyska, który się wydaje należeć do kolegi, z którym warto się pobawić. Więc się wkłada łapę, rozlewa się wodę, a ode mnie dostaje się klapsa...

Tożsamość. Osobowość. Gdzie ja to mam (pyta Hanuś)? Czy po utracie tych rzeczy (bo je chyba utraciłam) jestem bliższa faunie? Nie jestem już jednostką ludzką, tylko częścią zbiorowości, jak mrówka, pszczoła, termit, które są tylko funkcjonariuszami społecznych organizmów. Tożsamość. Osobowość. Czyli to można zgubić... Jak torebkę z dowodem osobistym w środku, przesiadając się na przykład z pociągu na pociąg. To dokąd ja teraz jadę, i jako kto? Czy moje dzieci to są fizyczne przerzuty mnie samej na zewnątrz? Zaludniłam świat... w pewnym sensie i w skromnej ilości...

O to szło? Wyłącznie o to szło???

Uciekam od każdej samoświadomej chwili. Oduczyłam się myśleć, bo to męczy. Umiem tylko ewentualnie - pomyśleć. Pomyślenie ma charakter momentalny i dotyczy zwykle konkretnej rzeczy. Coś trzeba załatwić, popchnąć do przodu. Mój umysł jest wypchany strzępkami, ścinkami, najlepsza krawcowa nic z tego nie uszyje...

Nie ma się życia, dopóki się go sobie nie opowie. •• To jest jeszcze jedna mądrość amerykańskich uczonych. Oni regularnie odkrywają Amerykę, ci Amerykanie. (Uczony nazywa się chyba Burnay, i zapewne ma na imię John.)

Właśnie, miałam coś opowiedzieć, ale nie mam cierpliwości, nie mam czasu, nie mam ochoty... Wypiłam piwo i muszę szybko pić dalej. Coś mnie w środku o to prosi, coś woła: pij, bo palą się bibułki twojej duszy pomiędzy kartami pamięci!

Dusza to jest album ze zdjęciami z całego życia, a najdelikatniejsze są półprzejryste bibułki przedzielające kartonowe stronice lat.

Bez nich wszystko się parzy, przykleja się do siebie, przebarwia. One są bardzo ważne, to ekrany, które ratują od unicestwienia. A więc jednak chcę żyć? A więc, znieczulając się, właśnie się ratuję? Pijąc?

Nieprawdziwym istnieniem ratuję się od prawdziwego nieistnienia...

Niestety, nie ma drugiego piwa. Sklep na rogu już zamknięty.

Jeszcze nie upadłam tak nisko, by jechać do nocnego. Zresztą nie mogę już wsiąść w samochód, bo piłam. W takim razie zapalę papierosa. W łazience już czeka na mnie mój wizerunek - tylko popatrz prawdzie w lustro...

Pawiu, mój Pawiu... Jak ja mogę cię kochać? Nie mogę.

Muszę...

To jest już co innego niż miłość, to związek chemiczny. Jak NaCl, H₂O, CO₂. Jeśli się rozpadnie, to sól nie posoli mięsa, woda nie ugasi pragnienia, oddech udusi, świat przestanie działać, zacznie się apokalipsa.

Nasz związek jest gorzki jak trucizna. Nie mieliśmy prawa się połączyć, bo jesteśmy z różnych światów, a jednak trwamy w jakimś zwarciu. Mamy dzieci, mamy wspólne zdjęcia, a nawet czasem się śmiejemy.

Stworzeni przeciwko sobie.

„Gorzko, gorzko”, zawołał uprzejmie twój ojciec podczas poślubnego obiadu. Echo woła tak do dziś.

Ja sama sobie składam pocałunek na własnym ramieniu i wychylam toast, za zdrowie, za moje, żeby wytrzymało, żeby wytrzymało cztery piwa dziennie.

Dwa metry wzrostu, duży fiut, ale głowa nieustawna i serce słabo oświetlone...

Śmiesz powtarzać mi, że wydaję twoje pieniądze?! Że utrzymujesz cały dom?!

Gdybym ci wystawiła rachunek, to nie byłbyś w stanie nie tylko go spłacić, ale nawet pojąć tego bilansu!

Rachunek za ciążę donoszone i niedonoszone, za ciężkie porody, za choroby wynikłe z faktu bycia twoją kochanką oraz matką twoich dzieci; rachunek za rozkosz zbyt błahą i za kilka gwałtów; za samotność we dwoje, za banał straconych złudzeń i niespełnionych nadziei; rachunek za sprofanowane święta i za jałowy dzień za dniem; za mój gniew i twój krzyk; za odmowę współistnienia, za utratę miłości, za starość w środku życia...

Zostawię ci ten rachunek na stole w kuchni.

Już niedługo.

Czytanie Elzenberga Kłopotu z istnieniem pozwoliłoby mi znów myśleć, gdyby nie to, że czytam zbyt łapczywie, więc i myślę byle jak, byle tylko znaleźć potwierdzenie. Byle zawołać w duchu: ależ tak! ja też tak sędzę i czuję! Wciąż mi się wydaje, że za jakiś czas, potem, gdy już wszystko zrobię, siądę spokojnie i prze-czytam wszystko raz jeszcze z notatkami. (Potem? Kiedy będzie „potem”?)

Ja się spieszę nawet obierając ziemniaki, jakby mnie kto gonił.

Podobało mi się to, co Elzenberg napisał o życzliwości. O, nie dać się innym, nie pozwolić, by obzarli nas do ogryzka. Przez tyle lat utwierdzałam się w przekonaniu, że każdy, ale to każdy człowiek jest coś wart i każdego trzeba szanować (och, te słodkie miazmaty Schweitzerowskiej „czci dla życia!”), a przecież widziałam dookoła siebie

jałowość, głupotę, złe instynkty - najbardziej jałowość i zamknięcie się na wszelki rozwój. I nie potrafiłam pogodzić tego z czią dla życia!

Życie życiu nierówne. (Czy nie z tego powodu porzuciłam samą siebie, by podtrzymać samo życie, jako kobieta, jako matka?) Życie, jak pogoda, nie dopisało.

Marzę, by poczuć się lekko. Lekko wskoczyć na krawężnik.

Więc można nie marzyć o wielkiej miłości, a tylko o zdobytym z wdziękiem szczycie krawężnika... Lekką stopą, obutą w sandał, robisz w przestrzeni niewielki łuk, a słońce nad tobą błysło, jakby zrobiło ci zdjęcie.

Kiedy odzyskam lekkość bytu???

Melancholiczny zamęt w głowie. Czego nie dotknę myślą, zaraz tonie w żalu. Pierwsze siwe włosy i nędza zdrowotna (znów nerki). Do tego Babka Meir podstępnie podkrada mi duszyczki moich dzieci, wabi ciasteczkami, grą na fortepianie; one same schodzą na parter, widząc moją znękaną twarz.

Niezakorzenie i wyobcowanie w tym domu, który napina się niby macica w skurczu, by mnie wypchnąć z siebie, jak obce ciało...

Czuję to ciśnienie każdego dnia.

Paw, który wracając ze świata, najchętniej najpierw trafia na dół, do matki, gdzie opowiada przez czterdzieści minut o tym, co mu się przydarzyło wśród ludzi. Bo na dole jest nastrój bezpiecznej zewnętrżności, atmosfera sprzyjająca opowiadactwu, streszczaniu poszczególnych sekwencji, czynności i dialogów z życia wziętych. A ja, tu na górze, zapytam przecież o to, co czuł, co pomyślał i dlaczego tak powiedział. Niewygodna jestem. Policjantka serca. Detektyw sumienia.

Usiłuję mu duszę rozwarstwić, rozszyfrować kod tajemny, którego on sam woli nie znać.

Te odwiedziny tam na dole, zanim spotka się ze mną, to jest jego codzienna zdrada i nielojalność. Przecież on jeszcze nigdy nie stanął w mojej obronie! Na kolejne: Twoja żona dzisiaj... nigdy nie zawoła: Ach, wy! Nie znacie mojej żony! Przestańcie się jej czepiać! Ona jest dobra, czuła, mądra, chora, nieszczęśliwa, przemęczona, przerażona i ja ją kocham!

Nie. On spuści głowę i pomilczy, bo nie wie, co się robi z tym kłopotem.

Z tym mną.

Z tym całym chyba-jednak-może-kto-wie-prawdopodobnie... życiowym swym błędem.

Z tym przeterminowanym owocem młodzieńczego buntu...

REWOLUCJA ZAWSZE NAJPIERW JEST DZIEWICĄ, POTEM CZAROWNICĄ...

Swoich buntowników najpierw namaszcza, wieńczy i poświęca, a potem, niesyta ofiar, zakłamuje się aż po jądro swej ideologii, po to, by móc dalej kreować chaos, który jest w istocie jej żywiołem.

Oboje chcieliśmy, solidarnie, przerwać dzieciństwo i zacząć nowe, niezależne życie. I co? Siedzimy na gruzach „nowego”...

Niewątpliwie, teraz nasze życie jest już czymś innym. Tylko czym?

Bo przecież nie jest ani dzieciństwem, ani dorosłością. To jakieś „pomiędzy”, jakiś ciasny przegub, bez powietrza, bez przestrzeni.

To kiedy więc i od czego się zaczyna prawdziwe, dojrzałe życie?

Coraz częściej czuję, że konieczny jest kolejny ruch. W grze mego życia.

Ach, rzucić wszystko i odejść, stworzyć świat raz jeszcze!

Z jakąż nonszalancją nosi się wolność! Jak potrafi odrzucić wszystko, jak szalik na plecy... A przecież przestrzeń nas ogranicza, czas nas przykuwa, wydarzenia wiążą. Co się robi, żeby to wszystko rozsadzić bezboleśnie?

Odwiedziłam niedawno muzeum zegarów. „Bóstwa złowróźbne, okrutne, szydercze”. Wszystkie wisząc spały. Ze zmarszczką zatrzymanego czasu na płaskich obliczach. A ja chodziłam między nimi jak godzina, owadzim kroczkiem, sekunda za sekundą. W progach małych sal stały nieruchome panie i mrugały powiekami. Pilnowały strażników czasu...

„Trzeba bardzo szybko biec, aby stać w miejscu”, mówi Królowa w Alicji w krainie czarów. (Bo świat pędzi i jeśli chcemy w nim trwać, musimy pędzić razem z nim.)

Powinnam przestać tak się spieszyć z tym życiem. To ten pośpiech uniemożliwia mi myślenie. Przecież ja już nie umiem nawet książki porządnie przeczytać! Kartkuję tylko, poszukując co ciekawszych fragmentów, takich wysokokalorycznych, na przykład aforyzmów. „Objadam” książkę od góry i z boków, by się czym prędzej nasycić. Potem zostaje z niej coś, co już nie budzi apetytu. Zostają posłowania, pustosłowania, gładzenia, wprowadzenia, dialogi, epilogi, nawiązania, odwołania, przypisy...

Kupiłam przypadkiem w Veritasie na Ostrowiu Tumskim Miasto świateł Kingi Strzeleckiej, zakonnicy. Kto to mi o niej mówił? Paweł

Śpiewak? Miałam zamiar przeczytać to rzetelnie i po kolei. Ale nie byłam w stanie! Noga za nogą, litera po literze - cóż to za nuda! Dopiero gdy zaczęłam skakać po rozdziałach, udało mi się poczuć jakiś smak tej książki. Zadziwiło mnie, jakże atlasowe wnętrza otwarte dla Boga mieszkają niektórzy ludzie! Jak gładko, jak cukierek w buzi, obracają słowo „Bóg"! Bóg przebacza, Bóg rozumie, Bóg wymaga, Bóg nie żałował tego, co raz darował...

Antropomorfizacja to degradacja.

A jednak presja tego wzorca jest tak silna, że nawet ja, świadoma i krytyczna w swym mniemaniu, dopuszczam się nieraz familiarnych negocjacji z Bogiem. Na przykład w sprawie palenia papierosów.

Wciąż Mu przyrzekam, że porzucę, ale mi się to nie udaje. I wtedy „słyszę" Boże marudzenie: Oj, nie powinnaś, nie powinnaś, w końcu cię ukarzę, o, widzisz, już dziecko chore jest, za karę, że znów palisz, tyle razy przyrzekałaś, i co? Myślisz, że jak Boga nie widać, to słowa można nie dotrzymać?

Jakby Bóg był jakimś dziaduniem Bożym... A przecież prawdziwy Bóg do nikogo i niczego nie jest podobny i nie zniża się do strofowania wiernych w ich rodzimych językach.

Tyle że ludzie potrzebują zwykłego, użytkowego Boga, który siedzi u nich w sercu pod lampką i komentuje rzeczywistość niby korespondent z krainy Sumienia.

Powinien być JUŻ dzień. Radio podało godzinę i inne szczegóły, mimo to ciemność nie ustąpiła.

Ciało zakopane w szarej pościeli, jak pod stertą jesiennych liści.

Wstawać... Jak tu wstawać, gdy brakuje początku, za co się chwycić, o co się oprzeć, gdy rozsypuje się każda myśl, natychmiast, gdy tylko pojawi się w głowie. Było wczoraj, będzie jutro. Było jutro, będzie wczoraj. Ale teraz, teraz jest NIC. Rozpadam się jak rzeźba z piasku...

- Jesteś zakluczona, nawet gdy się uśmiechasz, mamusiu - mówi Nenek, który przysiadł na brzegu mojego łóżka. Uśmiecham się dalej, ale przecież już nie muszę, bo on WIE...

Nasze życie zewnętrzne, to, co robimy i co jesteśmy w stanie powiedzieć, to tylko niewielka częśćka tego, co się z nami dzieje. Tak zwany czubek góry lodowej. Pod powierzchnią jest Zasadnicza Reszta istnieniowych zasobów. Wypiętrzanie się, to powinna być nasza życiowa robota.

Pisanie wierszy, pisanie dziennika, czytanie książek, to była niegdyś moja praca: przenoszenie owej ukrytej, nie ponazywanej, mglistej substancji duszy na zewnątrz. Bardzo ważna praca. Tłumaczenie na ludzki język niepojętych treści, które się w sobie nosi od stworzenia świata, od kiedy się było kamieniem, rybą, ptakiem, dzikim drapieżcą... albo i aniołem, bo może i aniołami już byliśmy my, ludzie, bo byty krążą raz w jedną, raz w przeciwną stronę. Ponazywać to znaczy okiełznać. Objawić tajemnicę.

I nagle się okazuje, że cała zmuda na nic. Nie mam „tajemnicy”, jestem pusta, moje treści są proste, jak te wszystkie czynności, które wykonuję, bo muszę. Byt z kretesem określił mi świadomość.

Jaka tam góra lodowa! Jestem korek od butelki, podskakujący na fali, wciąż tak samo, dzień za dniem...

Kukulka w starym zegarze wykukala szczyt mojej inercji. Wydaje mi się, że wciąż trwa ten sam dzień, tylko jakimś cudem co chwila zapada wieczór...

Popadłam w zapomnienie. Zapomniałam wszystkie wiersze. Zapomniałam wszelkiej myśli. Zapomniałam się i pozwoliłam sobie na bardzo, bardzo długi pocałunek Nudy. I teraz mnie mdli. Bo Nuda całuje obrzydliwie do samego gardła! Brrrr!!!

Babka Meir to pożoga i kwaśne deszcze w jednym.

W wieku siedemdziesięciu lat wygląda jak własna mumia.

Koścista, zawinięta w ciemną wyświeconą skórę. I tylko te usta, mięsne, szerokie, a za nimi w płaskiej jaszczurczej szczęce osadzone solidne uzębienie. Sucha i lekka, przemieszcza się bezszelestnie i truje niezauważalnie. Zatrula wokół siebie rodzinną ziemię z wszystkimi jej mieszkańcami.

Czasami myślę, że mogłabym ją zatłuc deską.

Codziennie wyobrażam sobie tę chwilę, gdy wreszcie mówię jej całą prawdę, i to ją zabija, bo ma słabe serce. Jakbym Gorgonie Meduzie podstawiała lustro pod nos.

- Zdeformowałaś psychikę syna, zdemolowałaś duszę wnuka, pogardzasz swym mężem i połową świata. Własna matka cię nie kochała, i ty nie wiesz, co to jest normalna miłość. Jesteś trucizną, jadowitym pajakiem tego domu. O, zatruj się wreszcie własnym jadem i uwolnij nas od siebie!

Tak wołam.

Taką mam kwestię.

No i wtedy ona oczy w słup i fajt!

A ja akurat muszę wyjść do apteki po syrop na kaszel pilnie potrzebny - zamiast wzywać pogotowie do teściowej, która leży na podłodze...

Kobiety kobietom potrafią wiele bólu zadać. Bez narzędzi, bez krzyku: jednym słowem, gestem, twarzą, nawet plecami. Babka Meir jest mistrzynią zabijania duszy; moja jest już strzępem, dziurawą firanką, zetlałą szmatką...

Kobiety kobietom potrafią życie zamienić w koszmar.

Babka Meir przez całe lata sący synowi do ucha, że złamałam mu karierę naukową i pchnęłam na drogę jałowego biznesu, bo wciąż żądam pieniędzy. Nenkowi wmawia, że złamałam karierę jego ojcu, i ograbiam go z majątku, z dorobku życia, bo jestem chciwa na pieniądze... Obcym ludziom opowiada (podśluchałam rozmowę telefoniczną, niechcący podnosząc na górze słuchawkę...), że złamałam jej synowi karierę, że jestem leniwa i chciwa pieniędzy.

Ja się pytam - jakich pieniędzy? Kto je w tym domu widział???

Babka Meir powinna odejść. Jej życie nic nie jest warte; zmarnowane, zaprzepaszczone, zakłamane, zamienione w gorzkie pigułki dni. Średnio po trzydzieści w opakowaniu na jeden miesiąc. Razy dwanaście przez cały rok. Przyjmowane latami. Tysiące gorzkich dni, przeżykanych w ponurym nastroju, w nienawistnych myślach, w żalu do Boga, który jest niesprawiedliwy i którego nie ma. Tysiące dni we łzach wylewanych pokątnie nad miską przy obieraniu kartofli.

Babka Meir o dużych silnych zębach w płaskiej szczęce. Słaba kobieta nie do zdarcia. Ofiara losu, objawiająca co dzień tę samą twarz, zarazem znękaną i obrażoną. Czerpiąca jednak przecież jakąś demoniczną

moc ze swego permanentnego nieszczęścia... Którego nikt nie widział... Bo przecież wszystko, co złe, przeminęło razem z wojną i teraz nie tkwi ona w żadnym piekle, tylko w zwykłym życiu. A jednak jest zła i nieszczęśliwa. Od dziecka. I od dziecka jest stara. Tak jak Zło.

Nie jestem sumieniem świata ani wyznawczynią czci dla życia w ogóle, już nie. Nie czuję się chrześcijanką. Nie tonę w magmie Dobra, nie sieję go, nie rozrzucam, jak popadnie. Mam sumienie buchaltera, rozpatruję każdy przypadek oddzielnie. Nie podam jej nitrogliceryny (jest w kredensie, w sosjerce zrośniętej z podstawkiem, ostatniej przedstawicielce ponemieckiego serwisu). Nie podniosę z podłogi, nie zadzwonię na pogotowie.

Niczego tak nie czekam, jak przyjscia śmierci, która zabierze Babkę Meir. Powinna ją zabrać dwa razy, dla pewności.

A ja wtedy okadzę wszystkie pomieszczenia domu, od piwnic po strych, by udławić jeszcze i jej duszę, i przegnać ją z mojego życia, do imentu, na zawsze. Amen.

Babka Meir obrażona jest na Pana Boga. Prawdopodobnie od 1939 roku. A od 1944 to na pewno. Chodzi o to, że Bóg, który dopuścił do takiej wojny, nie ma prawa istnieć.

Babka Meir była łączniczką w powstaniu warszawskim i wielokrotnie Niebo strzelało do niej, gdy biegła pochylona pośród zburzonych domów z sercem w gardle. Miała osiemnaście lat i widziała rzeczy przerażające. Widziała ludzi żyjących w ruinach i jedzących szczury, i sama też je jadła. Widziała diabła na ulicy Brackiej, w piwnicy, jak gwałcił dziewczynę, jednocześnie pijąc krew z jej tętnicy szyjnej, którą przeciął wojskowym nożem. To był składany nóż \$ z białego i złotego

metal z napisem „Gott mit Uns”. Został w sercu dziewczyny. Babka Meir zabrała go, gdy już skończyła się tamta potworna, pełna hałasu, cisza gwałtu, a zaczęła nowa, całkiem głucha, Diabeł odszedł na chwiejnych nogach. Zniknął w ciemności. Babka t (osiemnastoletnia, czarnooka, o wydatnych, namiętych ustach, wtedy suchych, pobladłych) zrobiła krok do przodu, z trudem odklejając się od ściany, z którą była zrosnięta jak płaskorzeźba. Miała wrażenie, jakby jej ciało zostało w tej ścianie, a ona jest tylko zimnym płomieniem, który pełga z miejsca na miejsce. Ten płomień dotarł do dziewczyny, leżącej na podłodze piwnicy. Miała ona otwarte usta, z których wydobywała się dodatkowa przeraźliwa cisza. Spodnie dziewczyny (była ubrana w spodnie do konnej jazdy) i bielizna rozcięte były w kroku nożem. Ten nóż wystawał z jej piersi. Wątle światło wpadające przez wybitą szybę piwnicznego okienka nie wydobywało całej możliwej czerwieni z krwi, którą zalane były piersi, szyja, nawet twarz dziewczyny. Jej oczy były zamknięte. Jakie to szczęście, że zamknięte, pomyślała Babka Meir. Poznała dziewczynę po bryczesach, ale nie pamięta imienia. Zginęło na wojnie. Nie pamięta, jak wyjmowała nóż z ciała, jak wyszła z piwnicy w słońce i dokąd wtedy poszła. W takich razach idzie się przez jakiś czas donikąd. Ale miała nóż. To był nóż na Boga.

Na tym nożu skupiała swą uwagę, swoje myśli, swoją siłę do końca po-wstania. Dzięki niemu mogła iść po trupach, przenosząc z walącej się piwnicy do następnej, jeszcze całej, swoją umierającą na raka matkę, która jej nie kochała. Matka Babki Meir była w życiu wesola, lubiła towarzystwo, a papierosy paliła w długich szklanych lufkach. Miała kamienicę w Warszawie i wiejski mająteczek. Była śliczna, bardzo

podobała się panom, mąż ją wielbił, za dziećmi (także własnymi) nie przepadała, lecz przecież do dzieci jest bona.

Ale coś jest takiego w życiu, że może się ono nagle w jeden dzień zmienić w coś całkiem innego. Jakby ciemną nocą ktoś komuś świat sprzedał, za drewniane dwa złote, i budzisz się gdzie indziej, w innym sobie, bez żadnej rzeczy, która byłaby twoja. Wszystko jest cudze, a ty sam jesteś nie zagojoną blizną po ranach, których sprawca jest ci nie znany... Twoje życie jeszcze żyje, ale ty już nie.

Babka Meir miała osiemnaście lat, miała nóż i miała siłę, by siedzieć na podłodze piwnicy z matką na kolanach i patrzeć, jak umiera w bólach ta ciągle jeszcze młoda, dawniej wesoła, lekkomyślna kobieta, która kiedyś miała na imię Mama...

Widziałam ten nóż. W szufladzie biurka Babki Meir. Był czysty, bez śladów krwi. Musiała go umyć, zimną wodą, kiedy? Poczułam niemiły dreszcz na myśl, że żyję z nim pod jednym dachem. Miał więcej niż jedno ostrze. W zasadzie był to nóż wielofunkcyjny. Można takim otworzyć puszkę i wyczyścić paznokcie. (I zabić dziewczynę. I zacząć się na Boga.)

Skąd ja znam tę historię? Czy szlachetne serca otwierają się wobec tych, którymi pogardzają? Tak, pod wpływem alkoholu.

Pije go rzeźnik, którego codziennością jest szlachtowanie świń, który babrze się we krwi i skóra mu się od tego maceruje na rękach.

Pije ksiądz celebrans ze wspaniałej katedry wrocławskiej, wznosząc kielich i oczy swe ku sklepieniu, nad którym górują dwie wieże zwieńczone kusymi hełmami. Od tych hełmów, świeżo nałożonych na wieże, śmiesznych jak czapeczki po młodszej siostrze (Katedralce?

Katedrusi?), zaczęła się nasza rozmowa, a skończyła całkiem na czymś innym...

Jakimś cudem po wigilijnej kolacji roku pańskiego któregoś tam trafiłyśmy razem z Babką Meir do jednej łazienki, na papierosa. Babka Meir pstryknęła zapalniczką i niebieskawy płomyk oświetlił na moment jej czarne, okrągłe oczy. Pełne łez. Tarninówka własnej roboty jej męża ten cud sprawiła. Jednorazowy cud spoufalenia przeklinającego z przeklinanym, pogardzającego z pogardzanym, nienawidzącego ze znienawidzonym.

Paliliśmy marlboro, siedząc na brzegu wanny i strzepując popiół do muszli. Słuchałam jej opowieści i oczywiście przestawała być dla mnie Babką Meir, zimnokrwistą jaszczurką, która patrzy na mnie z każdego kąta domu nieruchomym wzrokiem. Tego wieczoru w jej żyłach płynęła nagle rozmrożona rozpacz...

Słuchałam w strasznym napięciu, czułam szczękościsk i sztywność paków trzymających kolejnego papierosa i patrzyłam na wiszące na przeciwległej ścianie lustro, w którym odbijała się jej postać raz po raz zasnuwana dymem. Miałam ochotę ją pokochać i pragnęłam, by ona także pokochała mnie.

Następnego dnia nie stało się nic. Tak zwane Pierwsze Święto tego samego wciąż świata rozpoczęło się uroczystym śniadaniem, na którym Babka Meir pojawiła się jeszcze bardziej zasnurowana niż zwykle.

Nad białym kołnierzykiem granatowej garsonki poruszała się jej mała głowa, a jej oblicze zwracało się uprzejmie to w stronę męża, to w stronę syna, to znów w stronę wnuka, który rozluźniony rozprawiał o

dalszych przygodach prezentów spod choinki, czując, że to dziś jest ten wspaniały dzień, gdy nie krzyczy się na dzieci.

Spojrzenie Babki Meir na mojej osobie nie spoczęło ani razu, nie zwróciła się do mnie z prośbą o podanie półmiska z wędliną czy sosjerki z sosem tatarskim lub ćwikłą. Doskonale radziła sobie w wystarczającym towarzystwie, a ja byłam jak ta wstążka po balu, co została na podłodze zgubiona, zapomniana, do niczego już nieprzydatna nikomu...

To oczywiste, że po akcie obnażenia intymnych treści wewnętrznych pojawia się potężne zażenowanie, przerabiane przez sprytną podświadomość w niechęć, a nawet agresję wobec osoby, która była świadkiem.

Byłam świadkiem.

Powinnam ponieść karę.

Jawohl!

Humanizm jako postawa jest pewną figurą intelektualną wspartą wielowiekową tradycją, która z kolei jest efektem ubocznym europejskiego teatru życia społecznego.

Humanizm jest w najnaturalniejszy sposób konsekwencją antropocentryzmu i dlatego musi być światopoglądem ograniczonym.

U mrówek, które życie społeczne uprawiają od milionów lat, też mamy do czynienia z teatrem życia, toczą się wojny „przemysłane” strategicznie, obowiązują kodeksy „etyczne”, istnieją stałe zasady postępowania, rolnictwo, hodowla i polityka urodzeniowa. One być może w swoim pojęciu są jakimiś „ludźmi”, taka tylko różnica, że informacje i emocje przekazują sobie mrówki na poziomie chemicznym, nie na

przykład werbalnym, a ich światopogląd jest prawdopodobnie mrówkocentryczny.

Jeśli ktoś trzyma się światopoglądu antropocentrycznego, jak mrówka mrówczego, to jest zaledwie człowiekiem, jak mrówka jest mrówką tylko, i z takiego istnienia nic ciekawego dla świata nie wyniknie. Bo naprawdę istotne jest przekraczanie, zdolność wychodzenia poza gatunek, poza strukturę, porzucanie przypisanych nam form. Jest to ucieczka od Stworzyciela, który nas zamknął i ograniczył w swym dziele, nas - w naszym człowieczeństwie.

Uciekając od Twórcy, paradoksalnie się do Niego zbliżamy, oczywiście wbrew jego woli. Bo przekraczamy przypisane nam formy i granice. To prawda, że bardzo niewielu ludzi zdobywa się na takie transgresje, i prawie nigdy „kompleksowo”, totalnie. Robią to geniusze, i tylko w pewnych dziedzinach życia: w nauce, w sztuce, w szaleństwie...

Szyby w płacz! Po wczorajszej słonecznej pogodzie znów deszczowisko. Wszyscy chorzy, gorączka, katar, kaszel, ehu! ehu! hrl... hrl... Nawet ja mam nos zatkany i czekam z niepokojem na rozwój wypadków. Bo jeśli i ja się rozłożę, będzie katastrofa.

I kogo tu prosić, by nas tym razem oszczędził? Jacy bogowie mają przydział na nas? Bo przecież Bóg przebrany za Boga, Jahwe, Jezus, czy inny odgrywający swą rolę, jest tylko postacią z historii cywilizacji i z powodu swej umowności - nie jest wiarygodny. Gdybym zaczęła odgrywać wiarę w niego, gdybym przemawiała modlitwą, obiecywała mu coś za coś, to prawdopodobnie znalazłabym do wielkości członka rodziny Pożyczalskich, a moje życie stałoby się bajdą.

Wierzę tylko w Boga-w-Aerozolu, rozpylonego we wszechświecie, przepływającego swobodnie z siebie do siebie... Przenikającego wszystkie rzeczy i istoty. Nic oryginalnego taki światopogląd, a przecież jednak wcale nie taki popularny.

Fizycy mówią: Energia. Mistycy: Duch.

Wszystko jedno, Boski Pył, w swych zagęszczeniach, napięciach i luzach, a nawet - próżniach. Czy Takie Coś może się mną zaopiekować? Uratować? Wskazać drogę? Pocieszyć?

Gdybym nagle usłyszała, że Bóg do mnie mówi w moim języku, doznałabym rozczarowania tak dogłębnego, że prawdopodobnie oddałabym swoje życie do Szatni i odeszła jak najszybciej, boso, w niebyt...

Istnieje podejrzenie (już Maeterlinck o tym pisał, a po nim tłumy entomologów oraz etologów), że poszczególne owady społeczne nie mają wyodrębnionej indywidualności, wykonując bowiem rozmaite czynności, zachowują się jak cząstki nadrzędnego organizmu. Wręcz należą do zadań, które są im przydzielone. Kieruje nimi jakaś chemia rozpylona w powietrzu, jakaś informacja zawarta w feromonach, i ona to stanowi o ich losie, decyduje o przynależności do „kasty” i o roli do zagrania. Bóg pszczół nazywa się Rój.

One zaś są budulcem swojego boga, jego materialnym spełnieniem.

Gdy wypadną z lotu i stracą kontakt z Rojem - giną. Czy czują wtedy przez chwilę indywidualną samotność? Tęsknotę za Całością? Czy mają owo tępe, obezwładniające i unicestwiające poczucie Braku? Tego żaden badacz, żadnym detektorem nie sprawdzi.

Gdy się nad tym zastanowić (naturalnie po dyletancku, w kuchni), ślady takiej organizacji, takiej „boskości” i tak zwanej duszy zbiorowej, odnajdujemy oczywiście u ludzi. Na przykład społeczność pierwotna związana w pęczek instynktem i magią... Ale i doskonale zaprogramowany „naród niemiecki” w okresie nazizmu! Większość Niemców czuła się przecież częścią wielkiej, silnej struktury, czuła błogość podporządkowania i należała do swych obowiązków, z rzadka tylko i niechętnie zapadając się w indywidualne sumienie. Jak miał na imię ich bóg? W każdym razie matką roju był Hitler.

Ze względu na rozmiary ludzkości, jej wielką masę, długość, szerokość i głębokość (w czasie, w historii), trudno nam ZOBACZYĆ bożyszcze, które tworzymy, ocenić stopień jego skomplikowania i udział pojedynczego indywiduum w wytwarzaniu substancji zwanej bogiem naszego gatunku. Jahwe, Jezus, Allah, Budda, to są przybliżenia, imiona marzeń... Ciekawe, że „ludzcy” bogowie nie nadają się dla zwierząt, w ogóle ich nie rozumieją, nawet każą sobie składać z nich ofiary.

Prawdopodobnie bogowie gatunkowi (czy biolodzy nie określają ich mianem fenotypów?) muszą mieć zwierzchnika, boga bogów. Taki jest porządek świata, że się mniejsze w większym zawiera, a większe w jeszcze większym... Co robi bóg bogów (nie mam tu na myśli przepychanek na Olimpie, bo to przecież historyje na ludziach wzorowane), ten, który jest zarazem Sumą i Emanacją? Odpoczywa? Jest bytem uogólnionym, bezgraniczną ideą? I co wynika z jego istnienia dla mnie osobiście? Prawdopodobnie nic, bo moim losem rządzi ten gatunkowy, który z kolei ze względu na swą podrzędność mnie nie interesuje. Podlega manipulacjom kolejnych pokoleń kapłanów i każe jeść

mięso zwierząt, podległe przecież innym bogom, prawdopodobnie słabszym. A rośliny? Ich „bóg” podlega bogom ssaków?

O, już czuję, jak moje myślenie zapętała się i zjeżdża na poziom neolityczny, gdzie każda żywa istota ma swego boga, który jest jak cień, na który trzeba uważać, by go nie nadepnąć, a w razie odebrania życia tejże istocie, trzeba jej „cień” przeprosić.

Oto skomplikowane powody, które uniemożliwiają mi wiarę w Jezusa Chrystusa i pozostałe kreacje, którym stawia się świątynie, trony, teatrony. Żadne obrzędy i gry, gesty i teksty mnie nie przekonują. Oto moje teologiczne negacje. Nie mam boga. Jestem sama.

W sprawie choroby muszę negocjować z własnym ciałem.

Po raz czwarty zrzucam kota z kolan, ciągle pakuje się na mnie, jakby wszystkie inne miejsca w mieszkaniu były zajęte.

Włączam mikrofalówkę na rozmrażanie.

Kręci się w niej olbrzymi wołowy ozór.

Po trzydziestu sekundach szron, który go pokrywał, znika całkowicie i ozór nabiera kolorów. Jego korzeń - miejsce, gdzie został odcięty od krowiego gardła - jest teraz żywoczerwony, jakby wszystko stało się przed chwilą. Czubek figlarnie zagięty ku górze, w sam raz, aby połaskotać podniebienie. Tymczasem krowa podzielona przez rzeźników na dziesiątki części znajduje się w dziesiątkach czyichś lodówek i kuchenek. Jest gdzieś i podniebienie, któremu smakowało życie... i niebo jest gdzieś, i łąka, obraz zielonej łąki, który krowa nosiła w swych wielkich aksamitnych oczach.

Ja, wegetarianka, mam w domu pełno mięsa, bo nie nawracam na swoją wiarę rodziny, ani tym bardziej zwierząt. Widziałam raz kiedyś

roślinożerne rottweilery. Były mniej masywne, za to wyraźnie wydłużone, i emanowało z nich coś dziwnego: zarazem niepokój i rezygnacja. Nie były miłe. Nie budziły ani strachu, ani sympatii.

A ta ich niepokojąca rezygnacja udzielała się otoczeniu.

Wolę widok moich kotów, które rzucają się na surowiznę, każdy porywa swój kawałek do swego kąta, gdzie i strzeże go, i pożera.

A psy po prostu szuflują w miskach żuchwą wszystko jak leci, kaszę, marchew i konieczne mięsne ozdoby... Widać, nie można się wtrącać w zasadę działania łańcucha pokarmowego; jedni zjadają drugich, a do tego wcale nie jest wszystko jedno kto kogo! Krowa pożerająca człowieka, to byłaby scena nie do wyobrażenia, mimo że pysk ma wielki i ciało pojemne. A przecież chciałabym to raz zobaczyć, dla sprawiedliwości!

Ozór wyprostował się po kwadransie, oklapł i kręci się już na swej szklanej karuzeli pod złotym światłem bez wdzięku. Za chwilę znajdzie się w garnku, gdzie spędzi dwie godziny, zmieniając diametralnie strukturę białka.

Akurat siedziałam nad zeszytem, gdy Paw rozmawiał z Dudkiem przez telefon. Umiem pisać tak szybko jak stenotypistka, więc zanotowałam jedną, dostępną moim uszom, stronę dialogu, czyli to, co mówił Paw. Nie wiem po co. Czy to miałyby być jakiś dowód? Na co? Przeciwno komu? W jakim procesie? Może w procesie rozkładu pożycia... Z powodu niedobrych charakterów i różnicy światów wewnętrznych.

- No, zrobiłem, tak jak mówiłem. Zbiłem odsetki i zapłaciłem pięćdziesiąt procent. Będzie jeszcze jednaście i pół kosztów sądowych i trzydzieści adwokackich. Ten ich prezes powiedział, że nic by się nie stało, gdybyś się przed nim nie chował. Nigdy by nie oddał sprawy do

sądu. Ale po kolejnym telefonie, kiedy byłeś nieuchwytny, to już się wkurzył. Byłeś w Urzędzie Skarbowym? Ale znasz kwotę, jest to pięćdziesiąt z hakiem. Przecież księgowy dał ci faktury. To ona te dziewiętnaście przytrzyma? Dobrze, ale niech ukryje to do przyszłego czwartku. Ale z kim rozmowy? Gdzie byłeś? No, ja byłem w mieście.

Rozmawiałem. Ta baba jest śmieszna! Ja jej mówię, że rozmawiałem z jej synem, a ona: „I co pan radca powiedział?”. „Pan radca”, rozumiesz, on sobie żyje, kurwa, z nie odbytych procesów! Czy jak my to zapłacimy, facet będzie miał choć cień powodu, by nas zaskarżyć?

...No bo to jest pismo o odroczenie rozprawy o miesiąc. On może, jeśli nie dostanie tych trzydziestu bez faktury, on może sprawy nie wycofać. Bo jego honorarium wynosi sześćdziesiąt. No, ale jak bez faktury, to on mówi czterdzieści. A ja mówię, jak do ręki, to trzydzieści. I na tym stanęło. Ale on by chciał jeszcze za tak zwane zastępstwo procesowe. Muszę z naszą prawniczką pogadać.

...No, we czwartek, jak wycofasz wkład, zaczniemy płacić po kolei.

A to jest twój problem. Ja zrobiłem ruchy, jakby te pieniądze miały być. Potem się ten wkład odbuduje, ale na razie musimy to popłacić, bo nas te firmy zjedzą.

...No to możesz wyjaśniać. Ja nie mam skąd pożyczyć. To są trzy transze, które pozwolą nam wyczyścić długi. Mieścimy się czasowo.

No tak, trwa to miesiąc. Dostają tylko ci, co grożą sądem. Reszta ma harmonogram spłat. Potem się pojawi kolejna transza. Chowanie się przed wierzycielami to prosta droga do sądu, bo oni się czują zagrożeni.

...No a ile masz tych długów? No tak, dwadzieścia u Zasady i dwadzieścia w Megatroniku. No to spłacisz. Jak to: nie wiesz. Ja wiem,

czemu oni idą do sądu o dwadzieścia milionów, bo cię, kurwa, nigdzie nie ma, nie mogą cię złapać!

Jutro jestem w firmie. O trzeciej wyjeżdżam, potem będę w firmie. Może zdążę na zamknięcie. Zresztą, zawsze zostawiam Gosi wiadomość, gdzie jestem. Dobra! Do jutra!

Gosia, banalna, mdła Gosia, która odbiera telefony w biurze, zawsze wie, gdzie jest mój mąż.

A ja nie.

To o nią się tak martwił, gdy dostała ataku bóleści, bo ma wrzód na żołądku. Grobowym głosem mnie poinformował przez telefon, że się tragedia stała „naszej Gosi” i on w pracy dłużej zostać musi. Dłużej niż zwykle musi, a zwykle jest tam prawie całą dobę. Gdy pewnego razu do niego do pracy zadzwoniłam (o siódmej wieczorem), żeby przyjeżdżał, bo Nenek ma 41 stopni gorączki i już go do wanny z zimną wodą włożyłam, to mi uświadomił, że od tego to jest pogotowie ratunkowe, że tam mam dzwonić.

To była słuszna rada, do której się zastosowałam...

Dziecko przecież przeżyło, a ojciec opamiętał się przecież i zdążył do szpitala dojechać i wziąć udział w akcji ratowania. Ale od złych słów, które się usłyszało, nie można się uratować, choć tak bardzo by się chciało. Niby wszystko wraca do normy, pojednanie następuje, ale ponad tymi słowami, które się tymczasem zagnieżdżają głęboko, na dnie duszy. I czekają, by w odpowiedniej chwili powrócić i znów coś znaczyć, coś niszczyć, i powtarzać się tak długo, aż rozpadnie się wszystko, jak złudzenie.

Stawiam butelkę piwa na Stole, jest zimna i natychmiast się zaparowuje. Niech postoi. To nie sztuka odkapslować i natychmiast wlać ją w siebie.

Lepiej postawię za pojemnikiem na chleb, no bo niech ktoś wejdzie...

Ale ja przecież już ugotowałam obiad, nastawiłam pranie, pościel wietrzy się na tarasie. Tylko czy ktoś to w ogóle dostrzega?

Zresztą niech widzą, niech widzą piwo w samo południe! Mnie i tak nie obchodzą opinie nikogo z tego domu.

A może wstawić z powrotem do lodówki?

Trochę poczekam, bo wypiałam przed chwilą mleko, po co mam sobie robić w brzuchu bałagan. No i nie kopnie tak przyjemnie. Alkohol trzeba pić na goły żołądek, wtedy coś się z tego ma. Najpierw lekkie podniecenie, potem wyrównanie nastroju na optymalnym poziomie, następnie powracające fale spokoju. Po niewielkim przedawkowaniu natomiast - poczucie bezpieczeństwa tak silne, że zmienia się ono w senność nie do pokonania. Wtedy wystarczy się na chwilę przyłożyć do poduszki, a po krótkiej, ale głębokiej drzemce, budzisz się jak do nowego dnia.

Mleko minęło, już mogę. Płuczę szklankę i wycieram ją do połysku. Hokus-pokus i pędzi w górę biała piana. Wciągam do ust żółty strumyczek spod piany i czuję, jak zimny kłujący płyn gasi ognisko, które pali się we mnie przez całą dobę.

Jest mi dobrze. „Im lepiej człowiek czuje się z samym sobą, tym lepiej wygląda reszta świata” - tako rzecze Magnum, bohater telewizyjnego serialu. Magnum jest wielki, porośnięty sierścią i jeździ czerwonym kabrioletem na Hawajach. Jest umiarkowanym durniem i kompletnie nic mnie nie obchodzi.

Nie wypada oglądać seriali. Nie wypada pić piwa. Mądre kobiety tego nie robią. Jednak kwadrans po wyłączeniu telewizora i prawie godzinę po wypiciu piwa reszta świata wygląda znacznie lepiej niż przedtem, a potencjał życiowej energii, nawet jeśli się nie zwiększył, to przynajmniej napuszył, a to wystarcza, by popchnąć parę spraw do przodu. Tych najbardziej niezbędnych, wołających o załatwienie.

Paw mówi, że robię już tylko tyle, aby podtrzymywać podstawowe funkcje życiowe. I bardzo dobrze. Czy warto robić coś więcej?

Różia wróciła z ogrodu brudna niemiłosiernie i zawołała:

- Przebierz mnie zaraz! Bo to nie ubranko, to jest ubabranko!

Książki mają tytuły, dedykacje, motta, podziękowania, wstępy, epilogi... Moja jest naga jak rybi szkielet. Bardzo wątpliwe, czy wypłynie...

Ale przydałoby się zastrzeżenie, na przykład takie:

Zbieżność imion i nazwisk jest nieprzypadkowa, chociaż wszystkie zostały zmienione.

Albo takie:

Książka ta zawiera dokładnie tyle kłamstwa, ile potrzeba całej prawdzie.

A podziękowania dla osób „bez których książka ta nigdy by nie powstała”? Koniecznie powinnam je umieścić. Mogłyby brzmieć tak:

Pragnę wyrazić swą wdzięczność moim bliskim, szczególnie mojemu mężowi i mojej teściowej, którzy tak bardzo zależli mi za skórę, że jedynym ratunkiem była ucieczka wpisanie...

I epilog będzie na pewno. Już jest. Dojrzewa sobie w niedalekiej przyszłości, jeszcze nieco rozszczepiony, czyli alternatywny, ale na pewno

nic już nie powstrzyma wydarzeń! Jestem jak „myślący” foton, wybiorę szczelinę, którą z tego domu wylecę, Nie wiem kiedy i pod wpływem czyjego magicznego spojrzenia, ale czuję już gotowość.

Że też nie mogę sięgnąć poprzez czas do przodu, nie mogę wskoczyć w siebie stojącą cokolwiek dalej na drodze życia. Muszę czekać, czekać, bo doświadczenie, które przeprowadza na mnie Obserwator, ma swoją dynamikę, na którą nie mam wpływu.

Z dialogów małżeńskich:

- O co ci chodzi?
- O nic.
- Co ci jest?
- Nic.
- Czemu nic nie mówisz?
- Bo nie mam nic do powiedzenia.
- Może pójdziemy gdzieś?
- Gdzie?
- Nie wiem.
- Ja też nie wiem.

„Miłość nie zostaje opuszczona, jeśli sama nie odchodzi”. Św. Augustyn.

Budzisz się pewnego ranka i okazuje się, że nie ma miłości. Za oknem szaro, pościel wcale nie jest ciepła, a ty jesteś absolutnie przytomna, jakbyś nie ze snu, ale z innej jawy się obudziła. Jest zupełna cisza. Ale i krzyk jest także, krzyczysz w drugą stronę do własnych płuc. Jest uroczyście i - wstrętne zarazem. Zamiast żywotnych wnętrzności masz w sobie jakby płachty pogniecionych gazet, wszystko nieaktualne,

czas umarł. Leżysz na wysokim, bardzo wysokim łóżku, jest już jakby po sekcji, ktoś wziął wszystko co najważniejsze i wyszedł.

A ty zostałeś, poza wszelkim szczęściem i nieszczęściem. Tylko ten ból w piersiach, ten uwięziony krzyk.

A przecież wstajesz z łóżka, bo jesteś automatyczną matką. Dzieci muszą iść do szkoły, mąż do pracy.

Kawy wystarczy tylko na jedną filiżankę, zapomniałam, nie doku-piłam, nie spodziewałam się wczoraj, że Paw wieczorem nagle zażąda kawy dodatkowej (kto pije kawę przed snem!).

Stawiam więc obok materaca tylko jeden kubeczek, tylko dla niego, bo on najważniejszy, do pracy idzie. Nawet nie popatrzyłam w tę stronę, gdzie śpi przykryty kołdrą po czubek głowy. Zawsze tak śpi, gdy się boi. Zostawia sobie tylko szczelinę do oddychania.

- Dlaczego zapaliłaś światło? - zamruczał spod kołdry.

- Bo ciemno.

- Ja ci tak nigdy nie robię...

- Nie masz wiele okazji. Ale mogę zgasić.

- Nie trzeba.

Idę obudzić dzieci. Patrzą na nie. Wydają się jakieś takie osieroczone w półmroku pokoju.

Gdy wróciłam, Paw już siedział na materacu oparty o ścianę.

- Ta kawa smakuje rybą - oświadcza.

- Nie wiem, wczoraj piłeś tę samą.

- Wczoraj parzona???

- Skąd! Mówię, że ta sama, z tej samej puszki.

- Niedobra.

- Bo to resztką. Przeszła puszką.
- Jesteś jakaś taka...
- Taka jak ty wczoraj. (No i po co to mówię?)
- Wczoraj? Jaki byłem wczoraj?
- Chciałam się do ciebie przytulić, a ty nie chciałeś.
- Ja nie chciałem?
- Gdy przytuliłam się do twoich pleców w łóżku, krzyknąłeś „nie!”

niezwykle dramatycznym głosem...

- Coś ci się wydaje.
- Nic mi się nie wydaje. To fakt. Ale nawet gdyby mi się wydawało, to już zły znak, nieprawdaż?

- Z tobą trudno wytrzymać. Nic nie pamiętam.

- Może to od tego stresu tracisz pamięć. Po co otwierasz kolejną firmę, całkiem ci się w głowie pomiesza (wchodzę na niebezpieczną ścieżkę...).

- Znowu się czepiasz. Chcesz pieniędzy, chcesz, żebym kupił samochód, na to trzeba zarobić.

- Masz już trzy firmy i wciąż nie zarabiasz. To brak talentu. Nie umiesz zarządzać ludźmi, nie każdy umie, a teraz będziesz miał kolejnych pracowników. Nie ogarniesz tego, a oni zjedzą twoje pieniądze. Po co się w to pchasz? Może ty od czegoś uciekasz? (Zaryzykowałam. W książkach dla kobiet piszą, że pracoholik ucieka w pracę - przed samym sobą i przed intymnością. To by się zgadzało.)

- Przestań. Znowu zaczynasz.

Przestaję. Wcale nie mam ochoty na rozdrapywanie starych strupów. Zrobiłam to rutynowo. Dla treningu. Nie kocham go dzisiaj i nie tęsknię za

nim. Jego krótkie wieczorne „nie!” spontaniczne i szczere, zraniło mnie do głębi. Była to przepaść odpowiedzi na pytanie o miłość. Wiem teraz o wiele więcej o stanie jego uczuć, niż wie on, wiem wszystko.

Wczorajszej nocy, po tym incydencie (który trwał dwie sekundy, ale czas oprócz długości ma też głębokość; to były dwie sekundy o głębokości wielu lat...), zamarłam, zeszywniałam, pokryłam się lodem, a potem, gdy odtajałam, przemówiłam do siebie jak matka do dziecka: masz natychmiast spać. Żadnego żalu, ani jednej łzy.

Udało się.

Nawet mi go teraz szkoda.

Zaraz pójdzie do łazienki i będzie kaszlał. Ma na przemian nerwowy kaszel i wymiotne skurcze żołądka. Słucham tych odgłosów codziennie, przygotowując śniadanie. Dziś włączę radio, by nie słyszeć.

Wielu mężczyzn tak żyje, pędząc z miejsca na miejsce, tracąc pamięć, miłość, marzenia i talent do życia. Nawet nie zdają sobie z tego sprawy, ponieważ ich mózg wypłukuje się w wyniku dziwnej erozji.

Na koniec pozostają schematy, nawyki i garść wspomnień ze szkoły.

Szkoda mi go. I szkoda mi własnej nadziei. Od jak dawna jesteśmy już tylko sąsiadami w życiu?

Czasami patrzę mu w oczy i go tam nie ma. Jak w telewizorze - jest twarz, ale nie teraz i nie naprawdę. Jakby miał na dnie oka odbłaskowe szkiełko, taką płytkę odbijającą światło, jaką mają zwierzęta nocne.

Uciekł mi Paw. Wymknął mi się z życia nie wiadomo kiedy. Trudno. Dziś jest mi chwilowo dobrze, bo go nie kocham. Ale to może być niestety przemijające. Już parę razy mi się to udawało i czułam, że rosnę, pędzę do przodu. I wydawało się, że jestem już za zakrętem!

Ale potem wracałam, płakałam, cierpiałam, bo miłości powracająca fala niosła mnie pod jego nogi.

Ohyda.

Cukrowa ohyda.

Przepis Miłosza: „Jeżeli wszystko w tobie jest dygotem, nienawiścią i rozpaczą, pisz zdania wyważone, doskonale spokojne, zmień się w stwór niecielesny, oglądający siebie cielesnego i bieżące wypadki z ogromnego dystansu”.

Daj Boże nienawiść! Tylko w niej jest moc, która mnie oderwie od tego domu i umożliwi ów zbawienny dystans. Sama rozpacz jest bezsilna i może co najwyżej podtrzymywać siebie samą.

Staram się pisać spokojnie, z dystansem, ale proza wymaga tyle cierpliwości! Żadnej drogi na skróty, żadnych metafor! I pilnować trzeba logiki wydarzeń, w przeciwnym razie tekst staje się nieczytelny jak szpitalne risotto, serwowane na obiad!

Tymczasem spokojne pisanie przychodzi mi z takim samym trudem, jak spokojne czytanie. Książki czytam biegiem, opuszczam całe akapity, byle być już dalej, dalej... Po tylu latach „niedoczasu” już nie potrafię stopniowo, dzień po dniu „towarzyszyć książce”. Denerwuje mnie czytanie linijka za linijką. Pragnęłabym przyłożyć książkę do czoła i - pstryk, zeskanować cały jej świat przedstawiony, od razu sobie do głowy...

Pisanie prozy to jest jeszcze większa żmuda! Jesteś jak mrówka, która idzie przez monstrualny krajobraz, którego kształty objawią ci się dopiero po wielu kilometrach napisanych stronic!

A swoją drogą, ciekawe, jak gruba musiałaby być książka, aby linia ciągnęła zużytego na nią atramentu obiegła równik.

Obrzydliwa noc. Nie mogłam zasnąć, drażnił mnie własny oddech, łaskotały żyły, piekły kości. Gdy w końcu zapadnia snu rozwarła się przede mną, to wpadłam do śmieci, do zsypu swej wyobraźni. Przyśniły mi się ohydne robaki, larwy, które włożyły mi do ust. Do tego rudy kotoszczur gryzący mnie po nogach, zajadły, nie do odpędzenia! O szóstej już wstałam i teraz piję kawę i myślę, co to wszystko ma znaczyć? Zdecydowanie jedno przychodzi mi do głowy: że to wróży kłamstwo i niemożność ucieczki.

Jezu! Sny! Zawsze uważałam opowiadanie snów za najnudniejszą rzecz pod słońcem, za towarzyski nietakt i świadectwo jałowości intelektualnej, tymczasem sama usiłuję dociekać znaczenia symboli i wołam: Ale kto to jest ten Gotfryd?!

Nie wiem, kim był Gotfryd („A biedny Gotfryd zmarł w Rzymie”). Jednak jest jakiś postęp, bo przypomniałam sobie wreszcie, że owo zdanie lamentacyjne napisał Gaszyński w liście do Krasińskiego, w czasach, gdy ten ostatni wrócił był już z Europy do Polski.

Swoją drogą, jak można dziś interpretować sny, gdy nasza wyobraźnia nie jest suwerenna, ani tym bardziej „korzenna”, bo archetypy przemielone przez mass media, skrzyżowane z żądzą zysku, uległy deformacji, a intensywne masowanie społeczeństwa masowego rozbudza rozkosze albo lęki całkowicie fałszywe! Walenie po mordach w filmach akcji, w których człowiek jest jak gumowy odbojnik albo „rajska” reklama margaryny - te obrazki ze sztucznego tworzywa, oglądane po cztery razy wieczorową porą, stają się w końcu integralną częścią podświadomości. I o to chodzi nowym demonom...

Będzie nam potrzebny nowy Jung, bo zbiorowe sny ludzkości są współcześnie znacznie sprytniejsze. Nie mówiąc o tym, że śledząc cudze losy w filmach, śnimy potem cudze sny.

Myślałam, że uda mi się pisać „zdania wyważone, doskonale spokojne” i stworzę panoramę. Upadku. Moje żeńskie Pod wulkanem (z zachowaniem wszelkich proporcji). I się tym sposobem wykupię? Usprawiedliwię? Uratuję?

Ale tekst wydaje mi się ciasny i niewygodny, coś mnie dławi, coś mnie więzi. Za mało słów? Trzeba dobrać liter? Co się dzieje? Mam ochotę rozebrać się z tych zdań, rozrzucić je i uciec.

O czym to jest, co ja piszę? Bo przecież nie o mnie! Ja wciąż jestem gdzieś poza alfabetem, niewyraźna i niewyrażona, bezbrzeżna i bezkształtna, chora od tego ciągłego niedoistnienia!

Potrzebuję katastrofy. Wybuchu wulkanu. Potopu. Ostatecznej destrukcji. By znikło to napięcie, które być może czuje materia tuż przed tchnięciem w nią ducha...

Żeby ulżyło nam wszystkim.

A jeśli jest to już sejsmografia alkoholizmu? Pierwsze symptomy podziemne? Alkoholik bardzo uważnie gra swe role społeczne, by na powierzchni wszystko było jak zawsze.

Gram.

Gotuję, piorę, sprzątam.

Wychodzę z domu, wracam do domu.

Patrzę przez okno na jabłoń.

Podaję psu miskę. Oddaję się mężczyźnie mojego życia i przeżywam z nim „małą śmierć”.

Coraz mniejszą.

Znowu patrzę na jabłoń.

Widzę, że patrzę na jabłoń.

I już nie mogę tego wytrzymać, że widzę, jak patrzę na jabłoń!

We dwie z Rózią na wakacjach. Nad morzem. Alergiczne dzieci muszą zmieniać klimat.

Nenek „jako nastolatek nie będzie już jeździł na wczasy z mamusią”. Tak się wyraził i pozostał z dziadkami; zbudował na lipie w ogrodzie „własny domek” i siedzi tam całymi dniami, odprawia jakieś rytuały, świętuje cud ukradzonej wolności, w gęstym listowiu, tam, gdzie wzrok ojca nie sięga.

My z Rózią, my, kobiety, pojechałyśmy „odpocząć”.

Rzuciłam plecak, torbę i buty (Rózia od razu poszła karmić psa gospodyni) i, leżąc na tapczanie, słucham w Radiu Kołobrzeg jakiegoś koncertu życzeń czy czegoś podobnego. By zagłuszyć w głowie ten akustyczny „powidok” samochodowego silnika, który pozostaje kierowcom po wielogodzinnej jeździe.

Dzwoni kobieta i mówi: „Chciałam złożyć życzenia dla moich wnuków: Dorian Bździuk, Dorian i Patryk Bździuk”.

Po niej ktoś inny z pozdrowieniami dla Żermeny Mrugałki.

Na myśl by mi nie przyszło, że Dorian może być Bździukiem, a nie Grayem... A Żermena???

Zamęt w głowie prostaków przybiera czasem postać trąby powietrznej i wówczas, zaiste, są to wysokie loty...

Mamy tu być cały miesiąc. Wynajęłam (telefonicznie) pokój w prywatnym domku-klocku, blisko morza. Po przyjeździe się okazało, że na

sąsiedniej posesji trwa przebudowa. Całe dni warczy betoniarka i klną robotnicy. Nie sposób rozsiąść się na tarasie ze szklanką, rurką i ptasią melodyjką w uchu... Niech to szlag!

Rózia goni po sąsiednich ogrodach. Dwa domy dalej kotka urodziła kocięta, które wprawiają córeczkę mą w stan najwyższego napięcia. Dzieci z całej okolicy mają tam konferencję przynajmniej dwa razy dziennie. Z tymi dziećmi Rózia założyła interes: rozpostarły na chodniku chustę, poukładały na niej muszelki, koraliki, jakieś drobne zabaweczki - i sprzedały wszystko rozbawionym wczasowiczom.

Dowiedziałam się o tym wszystkim dopiero wtedy, gdy Rózia pojawiła się przede mną, wyrywając mnie z melancholijnej drzemki na leżaku słowami:

- Zarobiłam ciężkie pieniądze.

- Jakie pieniądze? - pytam nie otwierając oczu z powodu blasku słońca.

- Te - odpowiada krótko. Otwieram jedno oko i natychmiast drugie. Rózia, która dzierży w rączkach woreczek obciążony prawdziwymi pieniędzmi, dopowiada z dumą:

- Same monety. Idę do sklepu po gwizdzące lizaki.

Byłam tak zaskoczona, że zamarłam, i zanim wygramoliłam się z głębokiego leżaka, ona już gnała do sklepu.

Jutro chustę na krawężniku rozłożą zaraz po śniadaniu. Zarobią na pokarm dla kotów.

Dzieci błyskawicznie odgadują „ducha czasu”, dlatego nie należą do swych matek, ale do epoki, w jakiej przyszły na świat. Ja dawno temu czytałam Bankructwo małego Dżeka jak księżycową bajkę, moja córka w

sposób oczywisty jest małym Dżekiem, bo żyje w krainie detalicznego handlu, pośród chust, łóżek polowych i „szczęk” pełnych kolorowej tandety na ulicach miast.

Pamiętam, jaka byłam rozbawiona, gdy wcale przecież nie tak dawno, kilka lat temu, pchając wózek z Rózią w drodze przez targowisko na Krakowskiej, usłyszałam, jak moja mała córeczka, która wtedy dopiero uczyła się mówić, zawołała do starej handlary: Pani! po ile te sfetely!

No to teraz mam. Wszyscy mamy. Nowe pokolenie przedsiębiorczych Polaków.

Całe noce czytam. A cóż ja tak czytam? Gospodyni przyniosła mi dwa roczniki „Nieznanego Świata”. Nie wiedziałam, że w Polsce wychodzą takie czasopisma! Czytam z ciekawości, ale i dla pocieszenia. Bo w końcu jest to przestrzeń ducha, chociaż zaprawdę w dziecinnych interpretacjach. Około drugiej nad ranem czuję już zwykle swąd palonego rozumu i zaczynam wierzyć w poltergeisty.

I w to, że jak bardzo zechcę, to uzdrowię swoją chorą duszę, a nawet sprawię, że Paw się w końcu dorobi jakichś pieniędzy. I zaczniemy żyć. Wystarczy, żeby łazienka nie była naprzeciw wyjścia z mieszkania (feng-shui), a pieniądze przestaną „wypływać” z domu. Jeśli już jest, to trudno, ale wtenczas trzeba pamiętać o zamykaniu deski sedesowej. Co do siebie, wnioskuję z lektury, że należę do osób sensytywnych. I mam prekognicyjne talenty. Zaczęłam się bawić w numerologię, określiłam arytmetycznie, za pomocą dat narodzin i cyfr przypisanych literom imion i nazwisk, liczby osobiste, liczby losu.

Różia ma kolejno 6, 7 i 4, ja: 9, 3 i 3. Przeczytałam między innymi artykuł na temat wegetarianizmu: „Z paszy zużytej na wyhodowanie jednego befsztyka można upiec chleba dla trzydziestu głodnych!

Mięso jest pokarmem omyłkowo umieszczonym w ludzkim jadłospisie". To mnie przekonuje. Sama nie jem mięsa, bo nie lubię, a teraz mam w ręku statystyki. Napisali o jakiejś szkole salernitańskiej sprzed trzystu lat. Jedna z rad tejże szkoły brzmiała: „Jeśli nie ma żadnego doktora przy tobie, na trzy rzeczy pamiętać przyjdzie twej osobie: wesołym być, odpocząć po pracy, skromności zażyć w jedzeniu, kładąc przeszkodę chciwości".

„Doktor" Paw ma przyjechać do nas na ostatni tydzień i zażyć rodzinnych wakacji. Jestem nawet trochę wesoła, ale „przeszkody nie kładę", „chciwie jem" i piję (piwo) i jestem coraz grubsza. Pogoda cały czas pogodna, wieczorami biegam z Rózią po stygnącym piasku, fikamy koziółki, robimy gwiazdę, szpagat, ścigamy się i oglądamy, jak pokracznie naśladują nas nasze cienie. W ciągu dnia na plażę zaglądamy tylko na krótko, bo Różia dostaje wysypki od słońca.

Zapach morskiej wody jest bez wątpienia erotyczny. Słony, wilgotny, ciemny, podniecający, jak pamięć sięgająca pierwszego aktu (stworzenia: życie wyszło z morza...). Oddychając głęboko na brzegu, zaczynam tęsknić „nie wiadomo za czym", a dokładnie za tym, by z kimś, nie wiadomo z kim, gdzieś, nie wiadomo gdzie, przeżyć wreszcie to coś najważniejszego w życiu...

Coś stworzyć.

Nocą, naszą kołobrzeską uliczką przechodziły hordy łobuzów. Wybili mi szybę w samochodzie i wyrwali radio. Ponieważ było stare i nic nie warte, wrzucili je z powrotem do środka.

Gdy jechałam do autoszklarza, wystrzeliła mi opona na zakręcie.

Dopust Boży. Zanim zdążyłam założyć lewarek, pojawił się przyjaźnie usposobiony samiec i zmienił koło (wyglądam na dziesięć lat mniej...). W ramach spontanicznej, interplciowej wdzięczności umówiłam się z nim pod „Skanpołem” jutro o szesnastej. Ale niestety, mimo najlepszych chęci, jego iloraz mnie nie nęci... Nawet zdecydowanie odstręcza. Prawdziwy mężczyzna ma umysł jak żyletka.

A ten to samo mięso. Klocek. Dlatego natychmiast zapomniałam, że jestem umówiona.

Wracając z Zieleniewa (dopiero tam mieli szyby!), kupiłam cztery piwa i marlboro. Wszystko dla mnie. Wróciłam do palenia. Kontynuuję picie, czytam „Nieznany Świat”. I czuję szatańską rozkosz postępującego samozniszczenia. Katastrofy, potrzebuję katastrofy!

(Palę w łazience, gdy Rózia już śpi. Żołądek fruwa mi już przy trzecim „wdechu”, ale jestem twarda, wymiotuję i palę dalej, w końcu się nauczy, to tylko worek na pokarm.)

Wysłałam Zamówiony tekst do „Wieczoru Wrocławia”. Napisałam go od ręki wczoraj, wakacyjny felietonik dla prostego, wrażliwego czytelnika... Nakłamałam sobie do środka każdym słowem.

„Już wakacje [tak napisałam], czas urlopów, czas samych niedziel.

Będzie można zagospodarować je zgodnie z własną wolą, np. czytać do czwartej rano, kłaść się o świcie, wstawać w południe, gdy słońce w zenicie, albo deszcz pada myjąc dojrzałą zieleń... Nastął czas

odzyskiwania wewnętrznej przestrzeni, która w ciągu roku skrepowana jest pracą i obowiązkami.

Ta podróż ku wewnętrznej wolności [tak piszę sobie dalej w trybie poradnikowym...] jest możliwa pod warunkiem, że akceptujemy siebie, że patrzymy w lustro z sympatią i że motywacji do życia nie szukamy na zewnątrz.

Nie czekajmy, aż ktoś nas zaprosi do tańca! Poczujmy się źródłem, początkiem i sprawcą wydarzeń [lekarzu! lecz się sam!]. Tak niewiele potrzeba odwagi i tak niewiele wiary w siebie, by zniknął ciężar codzienności i wróciła radość przeżywania świata [aż mnie mdli od tego „oazowego” entuzjazmu...].

Wolność od beznadziejnego czekania na cud, wolność od żrącej tęsknoty, wolność od niezaspokojonej ambicji, od liczenia dni, rzeczy, pieniędzy... Jedźmy tam, już czas".

Proszę, jaką wypisałam receptę na udane wakacje! Tylko zażyć, a dusza wyzdrowieje, nieprawdaż?

Ha! Gazety kłamią.

Ludzie: prasa kłamie!

Zostawiłam na noc uchylone okno, bo miał cichutko zawołać, gdy przyjedzie, żeby mu drzwi otworzyć.

Czekałam do pierwszej, wpatrując się w ciemność, która zawsze w takich razach nadyma się i namarszcza, czarno na czarnym pokazując, jak bardzo nic się nie chce z niej wyłonić!

W końcu zasnęłam przy zapalonej lampce snem cienkim i łamliwym jak pierwszy lód na stawie. Okno łykało chłodne powietrze przez całą noc i ranek.

Nikt nie przybył.

A teraz bezwiednie omiatam wzrokiem uliczkę i placyk budowy przed domem. Różia pyta, nie podnosząc oczu znad książeczki do kolorowania: „Czemu tak podchodzisz i podchodzisz do okna? Patrzysz, czy tata nie idzie?”. I wtedy dopiero sobie uświadamiam, że krążę po pokoju, że stróżuję, że swojego czekania tak pilnuję...

Dwunasta. Chodziłam na pocztę, bo nie chcę dzwonić od gospodyni na dole. Ale automat na żetony nie działa. Musiałabym zamawiać międzymiastową w okienku i czekać, a przecież Różia sama została w pokoju. Więc się nie dowiem, dlaczego się nie pojawił o umówionej porze, czy zatrzymała go praca, a może śmierć po drodze?

Spacer dobrze mi zrobił, w sumie cztery kilometry, przewietrzyłam sobie rozum, a właściwie serce. Czy będę czekać, czy nie - i tak w końcu spotka mnie to samo. Nasz schemat od lat jest ten sam, tylko ja każdego ranka wstaję jak nowa i się dziwię pierwszym dziewiczym zdziwieniem, że nic nie jest, jak miało być.

Ciągle od nowa mam do Pawia żal o to, że wciąż na niego czekam, że po raz kolejny haniebnie się spóźnił, albo też wcale się nie zjawił! A on niezmiennie odpowiada: Po co ciągle na mnie czekasz?

Rób swoje, nie oglądaj się na mnie! Byłem zajęty! Coś mi wypadło!

Albo: Całkiem zapomniałem, że obiecałem! Albo: Nie mogłem się wyrwać! Przecież mnie znasz! Po prostu zapomnij i rób swoje!

Jednak kiedy przykładowie „nie czekam i robię swoje”, wychodzę z domu, albo idę spać, to wtedy on jest do głębi rozczarowany, obraża się, że go nikt nie powitał w drzwiach i nikt mu nie towarzyszy przy zzuwaniu butów i wkładaniu kapci, a w ogóle to, czy on „przypadkiem nie przyszedł

za wcześniej?". Prawdziwie rozcelebrowany jedyny żywiciel, któremu się wdzięczności należytej nie okazuje...

Myślę, że jeśli on w ogóle jeszcze mnie kocha, to jest to jakaś dziwna - miłość bez uczuć. Specjalny gatunek miłości dla małżeństw, w których dwoje ludzi nie wie, po co są razem.

Miłość bez uczuć. MIŁOŚĆ BEZ UCZUĆ.

Wczoraj nad morzem zobaczyłam starego Cygana idącego samotnie pustym brzegiem z akordeonem na plecach.

Dziwny widok, jakby niemożliwy?

Wiatr podrywał się co chwilę, dopędzał Cygana i szarpał go, to za włosy, to za nogawki spodni. Wyglądało to tak, jakby młody, zuchwały żywioł chciał coś wymóc na starym człowieku. A on szedł miarowym krokiem, z opuszczoną głową, lekko pochylony pod ciężarem instrumentu, nie zwracając uwagi na nic.

Piach zapadał się pod nim raz po raz, fale rytmicznie dopadały jego butów i cofały się. Rosło napięcie w krajobrazie, i ja także zapragnęłam, by coś się stało, by wiatr na przykład otworzył harmonię, odpiął pasek, rozciągnął miech, i - ulżył nam wszystkim: zagrał, jak tego pragnął, wydobył choć jedno westchnienie, żeby mu się udało...

A jednak się nie udało, napięcie krajobrazu musiało się wytracić samo. Cygan przeminął w polu mojego widzenia, a ja pozostałam w poczuciu niespełnienia, czyli utraty tego, co się nie zdarzyło.

Co jest warte życie. Tyle starania, wysiłku, cierpliwości i cierpień... Czy ja już kiedyś byłam starym człowiekiem, zmęczonym jak las po wichurze, że tak pytam, tym ciężkim pytaniem, co się nie wznosi jak

należy i nie kończy pytajnikiem, bo dawno nie wierzy w żadne odpowiedzi?

Na pewno byłam.

Pod powiekami, pod deszczowym niebem, we śnie silniejszym od miłości silniejszej niż śmierć...

Śni mi się, że jestem młodym mężczyzną, który budzi się na dachu pośród kominów i anten. Jest szary świt, a mężczyzna leży na boku z podciągniętymi kolanami, czyli w pozycji embrionalnej. Ma na sobie czarny garnitur i czarne trzewiki, białą koszulę, wszystko eleganckie, jak do trumny. W istocie jest to ubranie trumienne, bo on nie żyje, a dach budynku, na którym się znalazł, pełni funkcję poczekalni umarłych przed przyjęciem do nieba.

A więc jestem mężczyzną. I umarłem przed pierwszym pocałunkiem. Na ziemi pozostała moja ukochana. Niespełniona miłość jest silniejsza od śmierci. Muszę powrócić na ziemię i dokończyć miłość.

Tak czuję ja, młody mężczyzna tuż po śmierci, w drodze w Zaświaty.

Już po mnie idą, słyszę ich kroki, idą po mnie, jakieś dwie postacie, urzędnicy niebios, aniołowie „zbrojni” (przyśnili mi się tak nazwani). Mój strach rośnie. Muszę uciec, zanim mnie wypatrzą. Prostuję ugięte kolana i... po prostu spadam z dachu, staczam się z niego, jak zrolowany dywan. Na Ziemię.

Druga sekwencja. Mieszkam w dużym, mrocznym domu z ukochaną, którą odnalazłem. Ukrywam się tam, bo przecież ja umarłem i moje miejsce jest w Zaświatach; wciąż jestem poszukiwany. Okna domu są stale szczelnie zasłonięte grubymi brązowymi zasłonami.

Moja ukochana ma długie jasne włosy, a ja jestem - niewidzialny.

Ale JESTEM! I ona bardzo mnie kocha. Kochamy się wzajemnie, schowani przed całym światem. Kochamy się także fizycznie, mimo że ja nie mam ciała... Sceny miłosne pokazują się na ekranie snu. To jest wielkie, namiętne i harmonijne uczucie. Ja i ona mamy niemal wspólną tożsamość. Mamy też dzieci, ale metafizyczne; one SA, ale bezcieleśnie. Tworzymy wspólnotę i odczuwamy szczęście.

Kolejna sekwencja. Moja ukochana siedzi przy stole i czesze swoje długie włosy. Ja stoję za oparciem jej krzesła i przyglądam się.

W pewnej chwili promień światła żarówki pada na taflę lusterka stojącego na stole, odbija się i pada na mnie, który stoję za plecami ukochanej. W lusterku odbija się moja twarz.

Radość! A więc ona może mnie zobaczyć, popatrzeć mi w oczy, a więc jest magiczny sposób, który to umożliwia! Trzeba tylko ustawić lusterko pod odpowiednim kątem. Dusza jest widzialna - odbija się w lustrze... Wpadamy w euforię i wciąż urządzamy te lustrzane seanse widzenia.

Tymczasem trwają poszukiwania uciekiniera śmierci. Skądś o tym wiemy. Zaczynamy czuć napięcie. Ja i ona. Ja, czyli ona.

W dodatku rodzina mej ukochanej domaga się seansu, bo chce wreszcie zobaczyć męża córki, to im się przecież należy, jak długo można ufać niewidzialnemu?

Godzimy się na seans, nie mamy wyjścia. Przybywają jakieś postacie i czekają, stojąc na środku zaciemnionego pokoju. Napięcie rośnie. Rośnie lęk, bo aniołowie zbrojni są już blisko, już wiedzą, gdzie jestem. Czuję ten strach i ona także go czuje. Stawia na stole lusterko, ale jesteśmy już w

panice: już słychać czyjeś kroki na zwirowej alejce wiodącej do domu. To ONI.

Wtedy niespodziewanie dla wszystkich rzucam się do okna i gwałtownym ruchem rozrywam zasłony. Do wnętrza wpada oślepiające światło.

Krzyczę: Tutaj jestem!

I się budzę. Ze ściśniętym gardłem, tak ściśniętym, że nie mogę mówić. Wstaję, jak z paraliżu, sztywna i drażąca, i nie mogę, na jawie, wydusić słowa. Nie mogę się odezwać do nikogo. Nie mogę wydobyć się z tego snu, który był jak tajemnicza przepowiednia, jak metafizyczne zdjęcie, na którym widać na wylot sens mojego życia. Ale ja nic nie rozumiem. WIEM, ale nie rozumiem. O co chodzi? Co ze mną będzie?

On to ja, czy Ona to ja? Czy to o mnie i o Pawiu? Czy ta wróżba jest dobra, czy zła? Przecież za dwa tygodnie wychodzę za niego za mąż!

To był mój sen przedślubny. Nie opowiedziałam go nigdy nikomu, choć początkowo próbowałam. Jednak ile razy rozpoczynałam, coś łapało mnie za gardło, sztywniały mi szczęki, traciłam głos, a ciało wpadało w drżenie. Przez pierwsze dni działało się tak już nawet na samo wspomnienie snu.

Potem, gdy zaczęło się już życie, na ulicy Salamandry, zapomniałam. Sen o moim podwójnym „ja”, o śmierci przed miłością, o wielkim spełnieniu, a potem o końcu, który jest strachem i światłem, ten sen, jak zamknięta kapsuła, leżał gdzieś na dnie pamięci, czekając na rozszyfrowanie? Na spełnienie? Na katastrofę?

Przypomniałam sobie dzisiaj ten sen, gdy przyszedł list od M., który jest poetą i od pewnego czasu ściga mnie swymi listami. Dziś napisał, że

poeci powinni mieć ze sobą metafizyczne dzieci. Takie sobie efektowne a puste zdanie. I nagle zapomniany sen wystrzelił jak spod ziemi, wybarwił się i napiął we mnie.

Zadrzałam.

Nic nie jest naprawdę piękne, jeśli się człowiek nauczy, że pięknie jest tylko we dwoje. Ileż razy tak było, że patrząc na przykład na góry myślałam: wiem, że jesteście piękne, ale po co się tak staracie? I tak będziecie NIE DO KOŃCA i NIE NAPRAWDĘ piękne, bo JEGO tu nie ma! Tylko jego obecność jest w stanie nadać wam ważność.

Czy to znaczy, że pełnia szczęścia (wynikająca na przykład z przejmującej urody krajobrazu) jest nie do zniesienia w pojedynkę? Że jeśli nie można się podzielić szczęściem, to w ogóle się go nie ma? Albo tylko połowicznie, ułomnie? Czyli bezwartościowo?

Drugi człowiek jest więc gwarantem, żyrantem i świadkiem, bez którego nie mogę dostąpić jedności z tym światem.

Czyli życie we dwoje prowadzi do kalectwa (to jest oczywiście tak zwany ponury żart, którego nie mogłam sobie darować).

A może to jest tylko jakaś moja właściwość, mój kłopot z istnieniem! Tkwię samotnie u podnóża krajobrazu, nie mogę wchłonąć jego piękna, moja dusza pozostaje skurczona, zamknięta, nieczynna.

Jak u płodu przed narodzinami. A więc ja jeszcze nie żyję?

Ale przecież się urodzę! Urodzę się! Osobna, niezależna, cała!

I pojedę nad morze, sama, usiądę na brzegu, spojrzę głęboko pod powiekę horyzontu, poczuję ten szczególny dreszcz, który przenika człowieka, gdy podłącza się on do tej wielkiej Energii Świata, gdy się łączy z wszechżyciem - i rozplącę się, rozplącę się, zwyciężając.

Scribere necesse est, vivere non est necesse.

Pisanie jest konieczne, życie nie jest konieczne. Ilu „zarażonych pismem” użyło tej parafrazy? Pisanie jest moją jawą, życie jest snem.

Odplywa noc, nastaje dzień, a ja wynurzam się jak łódź, która ma dno także od góry, świat mnie widzi, ale ja nie widzę świata. Przyrządy pomiarowe wskazują dzień, więc wstaję, na znak zegara, wchodzę do kuchni, wsypuję kawę do ekspresu, wlewam wodę, idę do pokoju dzieci i mówię do nich cichym głosem: „wstajemy”, i uśmiecham się namiętnym uśmiechem, pochylam się nad nimi, dotykam ich skóry, wiem na pamięć, że są moje i pamiętam, że je kocham. Ale ich nie czuję, jakby były bardzo daleko, na ekranie. Nie da się tam przeniknąć, wszystko jest i nie jest zarazem, dzieje się, ale niepochwytanie, płasko, zatrzymuje się jak deszcz na szybach, nie dotyka mnie i nie jest żadnym dowodem w procesie istnienia...

Dopiero gdy wszyscy wychodzą z domu, ogarnia mnie żywa cisza, a raczej uderza mnie. Patrzę przez okno na jabłoń i słyszę, jak ona mocno wsłuchuje się we własny rdzeń, patrzę na łaty starego śniegu i czuję, że będzie umierał, na pordezewiałe taczki pod murem domu, przechylone, jakby brały ostry zakręt na drodze do własnego rozpadu, i zaczynam wszystko widzieć na żywo, jakby krew podpływała pod powierzchnię rzeczy, po raz ostatni i jakby one naprężyły się w sobie i pozowały do swej nagrobnej fotografii, którą zaraz zrobi mój umysł. Zaraz to napiszę. Nie ma się życia, dopóki się go nie opowie.

Biorę do ręki zeszyt, zaczynam pisać, pierwsze litery są jeszcze martwe i obce, ale stopniowo nabierają ciała, wybudzają się, i pierwsza rzecz, to chce mi się płakać, lodowe drzazgi łez rozmarzają pod

powiekami i zaczynam sobie przypominać uczucia. Jestem tutaj znów. Muszę to zapisać słowami, nic nie mam oprócz słów, które łączą mnie z resztą świata i układają się jak list, korespondencja istot wtrąconych w materię. Żyjemy, dokąd my żyjemy, w bańce powietrza, pod napiętą błoną czasu? Czy jesteśmy razem, czy osobno, czy skłania nas do siebie ta nieokreślona tęsknota, czy przeciwnie, rozdziela. Czy kropla, która dopiero co była idealną strukturą kryształu, gwiazdką śniegu, a dziś około południa wsiąknie w ziemię, potem, z wiosennymi deszczami, powoli podpłynie pod jabłoń i wejdzie w jej rdzeń, aby w kwietniu znaleźć się w pąku na kruchej gałązce, zakwitnie na różowo, zamieni się w owoc i spadnie znów na ziemię, wyparuje z pękniętego jabłka, które obsiada pasiaste osy, czy ona się zgadza na taką paradę wcieleń, a więc na ciąg pożegnań? Czy ja się zgadzam na swoje życie, które mnie śni i trzyma w sobie zamkniętą jak ziarno, pełne i całe, widzialne, ale niewidzące? Ziarno. Kapsuła istnienia zamknięta z dołu i z góry.

Urodziłam dzieci, ale dopiero słowa pozwalają mi się wyzwolić, wyzewnętrznić; przecież o to poszło w raju. Bóg, diabeł, pierwszy człowiek wrywali sobie - słowo. Logos. Mamy je. I jesteśmy winni - żywiołom, kamieniom, roślinom i zwierzętom (a nie Bogu) - słowa, których one nie mają, których nie wywalczyły. Dlatego powinniśmy wstawać rano i mówić wszystkiemu: „wstajemy”, nie damy się, będziemy żyć i śledzić życie, aż w końcu dowiemy się, dokąd ono prowadzi.

Biedny stary śniegu, smutna, nieczynna jabłoni, pordzewiała blaszana taczko ogrodowa, której nikt nie widzi, macie mnie, ja nazwę was po imieniu i przeprowadzę dalej, przez krainę wiecznego przeistoczenia. Bądźmy razem.

Miłość, alkohol, narkotyki i oddech śmierci.

Nasi wielcy pomocnicy w spektaklu istnienia. Dzięki nim wychodzimy ze swych małych ról i gramy - Hamleta! Cóż jest warte życie, jeśli choć raz nie staniemy jak on na krawędzi, a więc na środku sceny, i nie zawołamy stamtąd do ludzi i do Boga:

- Chcę być i nie chcę! Jest pięknie i strasznie! Kocham was i nienawidzę! Gardzę i pożądam! Zwycięzę, ale przegram! Naprzód i cała wstecz!

Oto jest odpowiedź.

- Mamo! - jęknęłam, gdy ból, który już wyłobił we mnie koleiny i ślizgał się w nich bezkarnie, zmęczył mnie, oderwał od mojego czasu i niemal wydarł duszę.

Ale przecież nie wołałam swej matki! Wiem, że nie o nią chodziło. To był jęk, który przybrał formę pierwszego słowa, jakiego się uczymy na początku. (Ono chce być też może ostatnim.) I więcej, zawołałam formę, by nie krzyczeć bezkształtnie. Bo to wstyd człowiekowi.

Jeszcze i to, że nie znamy imienia Boga (a przecież to jego mieliśmy zawołać), bo jest on nieskończonym słownikiem. Potrzebując go w bólu tak bardzo, wybieramy jakieś hasło, które, jak nam się wydaje, powszechnie jest znane.

(Czy nie powinniśmy wołać ogólnie: „Świecie, ratuj!“?)

Jestem protestem.

Nie dam się unieważnić.

I nie o życie albo śmierć tutaj chodzi, ale o...?

Co to jest, to, ponad życiem, ponad śmiercią, poza językiem, z czym walczymy na co się nie zgadzamy...

Na tarasie z dziećmi w słoneczny dzień. Nabieraliśmy wody w usta ze szklanek i pryskaliśmy wydmuchując wodny pył, który opadając w dół do ogrodu wyświecał małe tęcze. Powtarzaliśmy to bez końca i zapamiętaliśmy się w tej czynności, jak jacyś nieuprawnieni stwórcy, którzy się dobrali do tajemnicy. Radość, poczucie przekroczenia i duma. A więc to takie proste! Dlaczego na co dzień jest to przed nami zakryte i zabronione? Wołaliśmy: „Ach!”

I „Patrzcie! Patrzcie!”. I zapomnieliśmy o deserze, lody roztopiły się w miseczkach na plastikowym stole, dopiero gdy słońce utknęło w gałęziach wielkiego orzecha, oprzytomnieliśmy i spojrzeliśmy po sobie; uroczystość się skończyła. Ale olśnienie, które dostrzegłam w oczach dzieci, nie gasło i były one jak inne, nowe istoty, które właśnie odkryły, że - potrafią cuda.

- Ach! Mamo... - westchnęła Różia. Nie do mnie.

Niekiedy mam wrażenie, że jestem tu tylko po to, by przeżywać te swoje marne męki, a potem je opisywać najpiękniej jak się da. Bez formy nic nie ma znaczenia. Jest tylko strumieniem śmiecia.

Strumieniem, w którym stoi czyjeś „ja” i płacze, czyli dolewa łez do strumienia.

Sztuką jest to, co się zamknie w jakiejś formie (to oczywiste).

Dopóki wierzę, że panuję nad formą swych wspomnień, mam przed sobą przyszłość. „To co było - będzie, aby to, czego nie było, znowu mogło być”. Tak napisałam w jednym ze swoich pierwszych wierszy. Miałam dwadzieścia lat i nie byłam wcale mądra. Może tylko umiałam słuchać szumu przepływającego czasu i powtórzyć tę jego szeptaną wiedzę?

Tak mi dobrze, gdy alkohol wpada do żołądka, skąd niemal natychmiast sięga duszy. Zimna szara sztywna niematerialna część mnie nagle rozpręży się jak różowy gaz (to owe serotoniny, endorfiny, autodrwinny...). Coś się we mnie zaczyna miło przeciągać, coś we mnie zaczyna mnie lubić i pobłajać mi przyjaźnie, chociaż przecież to coś wie, że mądrze nie czynię...

Cykady liczą do siedemnastu.

Nikt nie wie, skąd to potrafią. Dokładnie przez siedemnaście lat żyją pod ziemią w korzeniach drzew, po czym pewnego dnia wychodzą na powierzchnię, „dostają skrzydeł”, czyli przepoczwarzają się, porzucając pusty oskórek. I idą po pniu w górę, ku koronie, czyniąc wielki hałas...

Właśnie mija siedemnasty rok mojego małżeństwa.

Przed chwilą wstałam, zapaliłam światło. Zaparzyłam sobie herbaty i usiadłam przy stole.

Muszę oprzytomnieć z tego koszmarne snu...

Jestem u Bratkowskich, z Rózią. Pojechaliśmy we dwie na wakacje alergicznego dziecka, w tym roku - w góry. Mają Bratkowscy olbrzymie służbowe mieszkanie w secesyjnej poniemieckiej willi.

Willi stoi w wielkim przyszpitalnym parku i mieszkają w niej same lekarskie rodziny. Zawsze mnie ciągnęło do medycyny, więc zatrzymałam tę (jeszcze licealną) przyjaźń z Bratkowskimi na stałe. Gdy się przenieśli w Sudety, nasze spotkania zmieniły się w wakacyjne pobyty, z dziećmi, psami, w różnych zresztą konfiguracjach.

Tym razem przyjechaliśmy tylko ja i Rózia.

Co za dom! Co za okna! Olbrzymie koliste okna o średnicy prawie trzech metrów! A za nimi nocne niebo, nerwowe, z poszarpanymi

chmurami, i stare buki, opalizujące w księżycowym blasku, szumiące z powagą, ciężko.

Jest trzecia nad ranem. Wszyscy śpią. Pokój dzienny, w którym mieszkam gościnnie, przylega do kuchni, więc nie czyniąc ambarasu, mogę tu teraz siedzieć, z herbatą waniliową, nad zeszytem w kratkę.

Tu, teraz, z 13 na 14 sierpnia, po obudzeniu się z koszmarne snu.

Niektóre ważne życiowe doświadczenia najpierw mi się śnią, a dopiero potem „jawia”... Tak było w sprawie orgazmu. Doświadczyłam go po raz pierwszy we śnie, w jakiejś piwnicy z piętrową pryczą, z nieznanym chłopakiem. Rozkosz była tak silna, że się od tego obudziłam. Obudziłam się i potem jeszcze dalej wsłuchiwałam się w nią, jak powoli gaśnie, jak jej słodka melodia w moim ciele zwalnia i zastyga. Jakiś czas potem rzeczywistość potwierdziła, że to było na pewno to, dokładnie to, co ludzie nazywają orgazmem.

Dzisiejszej nocy przeżyłam we śnie to, co ludzie nazywają...

Popijam herbatę małymi łydkami i słucham, czy jeszcze boli mnie, czy już przestaje, ten ból, który mi się przyśnił i przedostał zdradziecko do jawy.

Przyśniło mi się, że mi serce pękło z rozpacz. Tak się to mówi.

Przyśniło mi się, że Paw zabrał mi swoją miłość, nie inaczej tylko tak, słowami mi się to przyśniło: zabrał mi swoją miłość. To były słowa, to było zdanie, to było antyobjawienie, wyrocznia, poczułam gwałtowne, bolesne szarpnięcie i zostałam z przepaścią w sercu, z wypaloną dziurą w piersiach.

Śniło mi się, że płakałam, że głośno krzyczałam z bólu i rozpacz.

Obudziłam się od tego bólu, ale on wcale nie minął, słyszałam własny rzeźący oddech, który wydobywał się ze ściśniętego gardła, razem z jękami. Nie musisz już płakać, mówiłam do siebie, jakby od drugiej strony siebie, to był sen, już się obudziłaś, nie krzycz, już nie śpisz, możesz przestać.

To było tak, jakbym wyszła ze snu niewłaściwymi drzwiami, albo jakby sen pękł niespodziewanie i rozlał się na jawie jak jakaś płonąca substancja, nad którą nie można zapanować.

O, tak. Serce może pękać, a dusza boli jak ciało. Nie w metaforze, ale w piersiach, pod żebrami, pod mostkiem.

Straszna jest pustka, która zostaje po miłości.

Właśnie przeżyłam koniec mojej. Wiem to na pewno. Leżałam na łóżku z przepaścią w piersi, a przestrzeń wokół mnie była niczym nie zamaskowanym kosmosem, czyli także przepaścią. To była samotność jakaś nieludzka, nieziemska. Tak się będzie czuł być może ostatni człowiek na ziemi, gdy dostanie telegram, że nie ma Boga...

Zapaliłam lampę, by zmniejszyć świat, bo już nie mogłam wytrzymać tego Ogromu.

Zobaczyłam stół, fotel, biblioteczkę.

O, rzeczy, jesteście takie dobre dla nas, jesteście naszą przytomnością, i parawanem, i zbroją. Zwykłe rzeczy, zwykłe zdarzenia, codzienna społeczna przemiana materii, to wszystko, co nas tak pochłania, zajmuje, sprzątanie, kupowanie, czytanie gazet, chodzenie do fryzjera, to nas ratuje przed jakąś wielką grozą, która czeka bardzo blisko, za cienkimi drzwiami, wystarczy zły sen, odejście bliskiej istoty, albo choroba. Groza czeka tuż-tuż.

Za oknem szumią stare buki w czarnosrebrnej nocy, która jest jak czyjaś obecność, nieprzyjazna, zaraz za kruchą, przezroczystą szybą, posiada zmysły. Czuję, że ona mnie czuje...

Herbata wystygła. Włączając elektryczny czajnik, pogłaskałam go bezwiednie, jakby to był kot. Teraz już tylko rzeczywistość musi powtórzyć wydarzenia ze snu i będzie po wszystkim.

Jak bardzo musi być chora moja dusza, jeśli nocą tak krzyczy...

Właściwie odejście Pawia już nastąpiło, we śnie, czy na jawie, to nieważne, skoro nastąpiło we mnie. Bez względu na to, co się będzie działo w najbliższej przyszłości, ja już otrzymałam znak, że w mojej psychice zakończył się pewien proces i zacznie się inny.

Młyny podświadomości miały bez przerwy, we dnie i w nocy, w pracy i na wakacjach, na weselu i pogrzebie, gdy oskarżasz i gdy pragniesz wszystko wybaczyć. Ty sobie, a twoje „państwo podziemne” sobie. I nagle w pewnej chwili wyskakuje kwit, że coś jest załatwione tak, a nie inaczej, i żadne wysiłki nie mają znaczenia.

Przegrałam, ale wygrałam. Co nas nie zabija, to nas wzmacnia.

(Das ist Friedrich Nietzsche, nicht war?) Sprzedam Pawia, w książce go zamknę i sprzedam, sprzedam całe tamto uszkodzone życie, i kupię sobie coś za to, kupię sobie nowy los.

Och, życie! Zaczynamy od nowa!

Jakie to magiczne miejsce, to domostwo w tym przyszpitalnym parku... Werandy, loggie, wieżyczki, witraże. Jaki tu stary czas żyje, ile dusz się błąka, dawnych mieszkańców, dawnych pacjentów. Niemców? Czechów? Chodzą może alejkami, przysiadają na ławkach i się smucą tym

wiotkim pośmiertnym smuteczkiem, i wzdychają, natychmiast tracąc na wadze, bo dusza to tchnienie, nieprawdaż?

A powietrze pełne jest zagubionych wspomnień, które nie wiedzą już, do kogo należą...

Jego listy. Listy M. Na biurku, na stoliku, na półce, na parapecie. Na podłodze obok materaca. Nikt się nimi nie przejmuje.

A już Paw najmniej.

Przychodzą od kilku lat, więc są już czymś oczywistym w krajobrazie naszego domu; rano wyjmuję się z koszyka na płocie butelki z mlekiem od mleczarza, w południe listy ze skrzynki, od listonosza, wieczorem wytacza się kubły dla śmieciarza (we wtorki i piątki).

Zwyczajne rytuały.

Listy M. przychodzą do mnie raz w tygodniu. Dwa razy w tygodniu. Co drugi dzień. Każdego dnia. Aż wreszcie pewnego poniedziałku dostałam naraz aż pięć... Dwie koperty wyjęłam ze skrzynki 260

o zwykłej porze, trzy pozostałe spadły mi na głowę o czwartej po południu, gdy wychodziłam na wywiadówkę do szkoły Rózi; spadły mi na głowę, gdy otwierałam drzwi od frontu, bo Babka Meir zatknęła te listy za drzwi od frontu (frontowe są „nasze”, oni mają te od ogrodu, ale i tak używają jednych i drugich), widocznie listonosz był jeszcze raz. Czy Babka Meir domyśliła się, co się święci?

Jeżeli tak, to tylko ona jedna.

W 1991 roku przyszedł od M. pierwszy list: „Kocham Cię. Porzućmy swych małżonków i pobierzmy się, bo jesteśmy dla siebie stworzeni”.

Tak od razu, tak po prostu.

Prychnęłam. Wcisnęłam kartkę z powrotem do koperty. Jak tak można napisać do kogoś, w dodatku zaraz po pierwszym spotkaniu!

To tak, jakby przywitać się, zdjąć płaszcz i - natychmiast wszystko inne... Ja, „mieszczka”, nie przyjmuję takich rzeczy do wiadomości.

M. ma płowe rzęsy. Jasne, przejrzyste oczy.

M. przypomina mi M.

Przypomina Maczka... Te same proporcje bezczelności i delikatności, i - ta inteligencja, najważniejsza ingrediencja...

W swoim zeszycie numer 23 (dobrze jest pamiętać swe życie) napisałam 19 czerwca o 22.45, jeszcze tego samego dnia, gdy dostałam ów pierwszy list: „M. napisał, że mnie kocha. I nakleił na kartkę suchy listek lubczyku z instrukcją: potrzeb, a zadziała. A ja mam 30 lat i jestem tak zmęczona, tak zmęczona, że nawet... I rozbita na tysiąc kawałków, tysiąc nie do pozbierania...”.

Kilka kartek dalej jest jakaś moja niezborna myślowo notatka zakończona niby-wierszykiem:

Kobiece marzenie

Chciałabym być mężczyzną i mieć przyjaciela

Chciałabym móc o każdej porze pójść do niego

napić się z nim i bez gadania

opowiedzieć co mnie gryzie a potem

napić się z nim i poczuć się

jak pociąg za którym zapada się most

ale to już nie ma żadnego znaczenia

(psychoanalicycy, do roboty!)

On wciąż pisał. Odpowiadałam od czasu do czasu.

Najpierw opieszale, nieregularnie, potem jednak przywiązałam się do tej korespondencji i przestałam myśleć o M. jak o jeszcze jednym narwanym poecie, któremu nie można wierzyć, bo mówi coś, przysięga, płacze, a potem wyrzuca słowa te, już niepotrzebne, jak łuski od cebuli. Bo wszystko to jest mu potrzebne - do zapisania. Bo zużywa innych na podpałkę - dla wyobraźni.

Tak myślałam o poetach ja, która też czasem czułam się poetką.

Oswajałam się z nim przez parę lat. Aż nagle okazało się, że nie mogę się odprężyć, jeśli przez dwa dni nie ma listu od M....

Bo ja w ogóle jestem listomanką. Nie wystarcza mi pisanie dziennika dla siebie, czy wierszy dla nieznanymi ludzi. Muszę mieć kogoś od listów, kogoś konkretnego. Nadawcę; na rewersie koperty imię i nazwisko, które sygnalizują, że oto nadeszły słowa, zdania, skierowane do mnie myśli, na które zaraz odpowiem słowami, zdaniami, myślami. Zbiorę się w sobie, zmobilizuję się, uwyrażnię, uwypuklę, wypiętrzę się, zaistnieję najmocniej, jak się da. W słowach.

Potrzebuję adresata, aby być.

Bo naprawdę mocno być - można tylko wobec kogoś. Czy nie jest tak, że w pustym mieszkaniu, sami dla siebie, jesteśmy tylko psychiczną chmurą, która na przykład zasłania lub odsłania słońce, z której pada deszcz (łez), albo biją wściekłe pioruny?

To inni nadają nam kształt. To dla innych trzymamy formę. Dlatego samotność bywa tak zabójcza. Dlatego ludzie trwają w złych związkach tak długo, jak się da, aż z nich samo nie oblezie to obce ciało, partnera, który jest może najgorszy z możliwych, ale jest. Bo jak to tak, odejść do

NIKOGO? Rozpadu się boimy, dezintegracji osobowości, bezimienności. Chyba że ktoś lub coś nas wyrwie, wyzwoli, na nowo stworzy!

M. stworzył mnie w naszych listach młodą, piękną, twórczą i pożądaną. To prawdziwy talent w dziedzinie epistolografii. Można było sobie poparzyć palce jego listami, były jak ogień.

SĄ jak ogień - gdy wracam do lat dziewięćdziesiątych i gdy znów mieszkam tam, na ulicy Salamandry, w domu Babki Meir, w domu ze studnią w piwnicy i z nieczynnym basenem, z (nieczynnym) Pawiem, z nieżyjącą Sarą i listami Lotty, z Nenkiem i Rózią. Palą mi się w rękach, gdy je otwieram po kolei i czytam, w tamten poniedziałek, gdy przyszło ich pięć naraz. SĄ - ratunkiem, nadzieją, obietnicą, że życie dopiero się zaczyna, chociaż okoliczności wskazują na Zupełne Wyczerpanie...

Dębowe schody na piętro. Siedemnaście stopni. W dwóch narożnikach stopnie rozsuwają się wachlarzowato, jak karty w talii, bo schody biegną w górę, dwukrotnie zakręcając.

Powyżej są jeszcze następne, te na strychu.

A pod spodem oczywiście kamienne schodki do piwnicy, tam, gdzie w cementowej posadzce jest okrągła drewniana pokrywa nad studnią.

Oto i cały kręgosłup tego domostwa.

Przyjechałam, rzuciłam torby podróżne i zatrzymałam się pod schodami na piętro; Rózia natychmiast pognęła za dom, nie wchodząc nawet do środka: „Przywitać się z ogrodem! Wsadzić nosy w smolinosy!”

Lubię te schody. Właściwie to jedyna rzecz w tym domu, którą szczerze lubię. Biegałam po nich tysiące razy. Z dzieckiem na ręku, z koszem prania, z zakupami, na powitanie Pawia wracającego z pracy, na

lekcje angielskiego, na dźwięk dzwonka listonosza, na pociąg i z powrotem, z podróży...

Leży na nich niebieski wełniany chodnik. Dzieci jeszcze nie tak dawno zjeżdżały po tych schodach siedząc, jak na sankach, na dużych metalowych tacach, które gładko ślizgały się po stopniach pokrytych chodnikiem. Hałas tych igrzysk był niesamowity.

Te tace są stąd, z tego domu. Kto wie, czy Sarah i Lotta nie urządzały sobie tutaj takiej samej zabawy?

Powoli wchodzę na górę. Niebieski chodnik na każdym stopniu przytrzymywany jest metalowym prętem, zakończonym z obu stron dwiema kulkami. Każda kulka wchodzi w obrączkę, która wystaje z deski. Podczas odkurzania należy wysunąć pręt z obrączek, by móc wyczyścić zagięcie chodnika. Tak zawsze robiłam. Trzeba mocno pchnąć palcem kulkę w obrączce, a wtedy pręt wyskoczy.

Nikogo nie ma w domu. Babka Meir pojechała do sanatorium, Huczny Dziadzio z Nenkiem podobno robią zakupy do szkoły, za trzy dni szkoła. Paw? NieWiemGdzie...

Cisza zupełna. Nie słysząc nawet kukułki, może zegar znów się popsuł?

Czuję się cudownie. Wróciłam z wakacji. A Hańcia nie wróciła!

Rozeszliśmy się. Na zawsze. Jestem wolna. Wolna od siebie, żony Pawia. Hańcia nie wróciła i ja też będę tu już tylko przez chwilę.

Wrócę do miejsca, w którym mnie jeszcze nie było.

Bo miłość to miejsce, kraj Niespotkań Dokonanych. Pojadę tam.

I wszystko się spełni. Jeszcze tylko Wielka Powódź w przyszłym roku: zaleje Wrocław i ulicę Salamadry. Będziemy siedzieli wszyscy na

pierwszym piętrze, patrząc z góry na szarą, brudną wodę, po której pływa zerwana z płotu drewniana skrzynka na listy.

Potem dostanę pracę w Warszawie i wyjadę.

Jeszcze o tym nie wiem, nie jestem jasnowidzem, stoję sobie na ostatnim, siedemnastym stopniu schodów, w zupełnie pustym domu, szczęśliwa jakimś przyszłym nie znanym mi szczęściem.

Wiem jedno: nie chcę już pisać tej książki.

Chcę zacząć zupełnie inną.

Gdańsk, styczeń 2007